

DVD z koncertem *Pamiętamy* o masakrze w kopalni „Wujek”

cena 8 zł (w tym 5% VAT)
NR 12 (145) grudzień 2017



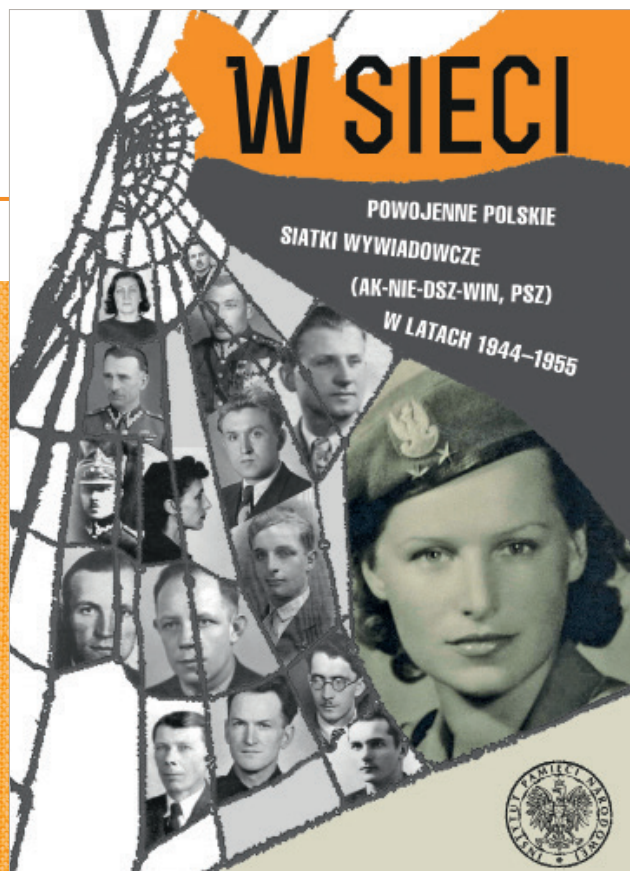
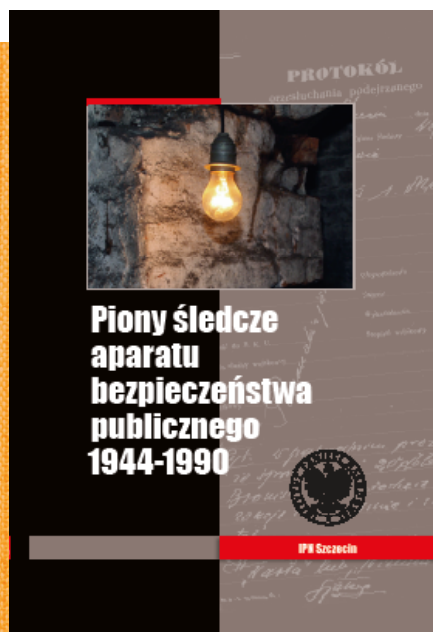
BIULETYN IPN

PISMO O NAJNOWSZEJ HISTORII POLSKI

Komuniści przeciw Polsce



Najnowsze książki IPN



SPIS TREŚCI

Stan wojenny – pamiętamy

Leszek Próchniak – „Precz z komunistyczną juntą”.

Pierwsze dni stanu wojennego w Łodzi w relacjach mieszkańców. 5



Robotnicza, rzekomo czerwona Łódź dobitnie pokazała po 13 grudnia, co myśli o komunistycznej władzy.

Grzegorz Majchrzak – Świat patrzy.

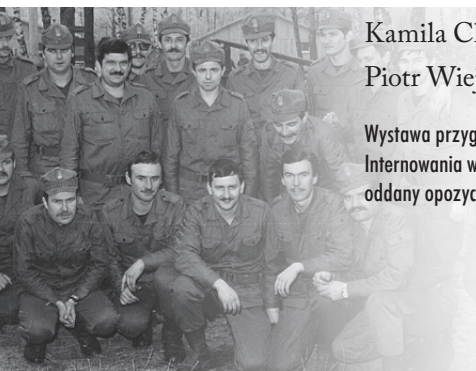
Reakcje zagraniczne na pacyfikację „Wujka” 16



Śmierć niewinnych górników w pierwszych dniach stanu wojennego nie mogła ująć uwagi Zachodu. Masakrę w Katowicach potępiły nawet tamtejsze partie komunistyczne.

Michał Siedziako – Akademycki Ruch Oporu

w stanie wojennym w Szczecinie. 26



Kamila Churska-Wołoszczak, Katarzyna Maniewska,

Piotr Wiejak – **I nazywali to Wojskiem Polskim...** 33

Wystawa przygotowana przez IPN „I nazywali to Wojskiem Polskim... Wojskowe Obozy Internowania w Polsce (1982-1983). Zbrodnia komunistyczna. Zbrodnia przeciw ludzkości” to hołd oddany opozycjonistom internowanym w stanie wojennym pod pozorem „ćwiczeń wojskowych”.



Sylwetki

Kinga Hałacińska

– **Solidarność na ulicach** 39

O Piotrze Rzewuskim słyszało niewielu, a przecież jest to z pewnością jeden z najbardziej wytrwałych i bezkompromisowych opozycjonistów lat osiemdziesiątych.

Artur Kubaj – **Walka, upór i osamotnienie.**

Stanisław Możejko (1954–2017) 49

Szczecinianin Stanisław Możejko, absolwent Technikum Budowy Okrętów, rozpoczął w 1972 r. pracę w Morskiej Stoczni Remontowej Świnoujście. W tym najbardziej wysuniętym na północny zachód polskim mieście pozostał przez całe życie. Stamtąd też nieustannie upominał się o prawa obywatelskie, działając w Solidarności.



Paweł Skibiński

– **Boży szalenciec w czasach Zagłady. Zofia Kossak-Szczuczka** 59

Była wybitną, uznaną pisarką katolicką. W czasie wojny organizowała z bezgranicznym poświęceniem konspiracyjną pomoc charytatywną, zwłaszcza dla Żydów.





Żegota - 75. rocznica

Marcin Urynowicz

– Rada Pomocy Żydom „Żegota” 70

Rada Pomocy Żydom przy Pełnomocniku Rządu RP w Kraju, zwana „Żegotą”, była jedyną w okupowanej Europie oficjalną instytucją afiliowaną przy władzach państwowych, która miała za zadanie nieść pomoc eksterminowanej przez Niemców ludności żydowskiej. Był to absolutny fenomen.

Jan Żaryn

– Polskie Państwo Podziemne

wobec Zagłady (1942–1945) 82

Polska nie tylko wzięła na siebie obowiązek informowania świata o Zagładzie, lecz także podjęła starania, by udzielanie pomocy Żydom stało się jednym z celów trwającej wojny.



Anna Zechenter – Szarytki otworzyły
drzwi Żydom.....96

Nie sposób policzyć Żydów uratowanych pod niemiecką okupacją przez zakonnice ze Zgromadzenia Sióstr Miłosierdzia św. Wincentego à Paulo, znanych jako szarytki. Ze strzępów ocalałych świadectw wytłania się imponujący obraz udzielanej przez nie pomocy.



Sprawiedliwi wzorem człowieczeństwa 106

Z dr. Mateuszem Szpytą, zastępcą Prezesa IPN, pomysłodawcą i pierwszym szefem Muzeum Polaków Ratujących Żydów podczas II wojny światowej im. Rodziny Ulmów, a także honorowym członkiem Polskiego Towarzystwa Sprawiedliwych wśród Narodów Świata rozmawia Maciej Foks



Polskie rodziny

Agnieszka Łuczak

– Zasady w czasach pogwałcenia zasad.

Radziwiłłowie w XX wieku 113



Komentarze historyczne

Sławomir Kalbarczyk

– Politechnika Lwowska 1844–1914: „kuźnia kadr” Drugiej Rzeczypospolitej 121

Piotr Olechowski – Polacy na sowieckiej uczelni.

Politechnika Lwowska po 1946 roku 135

Ludzie wolności

Andrzej Grajewski – Solidarny w wielu

wymiarach. Ján Langoš (1946–2006) 144

Miejsce na mapie

Cecylia Kuta, Maciej Zakrzewski

– Bez fundamentów 152

Kolegium:

dr hab. Adam Dziuba, dr Wojciech Frazik,
dr hab. Waldemar Grabowski,
dr Kazimierz Krajewski,
dr Mariusz Krzysztofiński,
dr Sebastian Ligarski, dr Agnieszka Łuczak,
dr Marcin Majewski, dr hab. Filip Musiał,
dr Wojciech Muszyński, Jan M. Ruman,
dr hab. Krzysztof Sychowicz, Anna Zechenter

Redaguje zespół:

Wojciech Butkiewicz – sekretarz redakcji
(tel. 22 5818813,
wojciech.butkiewicz@ipn.gov.pl),
dr Filip Gańczak (filip.ganczak@ipn.gov.pl),
Jakub Gołębiowski
(jakub.golebiowski@ipn.gov.pl),
Romuald Niedzielko –
zastępca redaktora naczelnego
(romuald.niedzielko@ipn.gov.pl),
Jan M. Ruman – redaktor naczelny
(jan.ruman@ipn.gov.pl),
Andrzej Sujka (andrzej.sujka@ipn.gov.pl),
Piotr Życieński – fotoreporter

Sekretariat: Maria Wiśniewska
(tel. 22 5818819, maria.wisniewska@ipn.gov.pl)

Projekt graficzny: Sylwia Szafrąska
Projekt okładki i tamanie:
Katarzyna Dziedzic-Boboli


Korekta: Beata Stadryniak-Saracyn

Adres redakcji:
ul. Wołoska 5, 02-675 Warszawa

Adres do korespondencji:
ul. Wołoska 7, 02-675 Warszawa

Druk:
LEGRA Sp. z o.o. ul. Albatrosów 10c,
30-716 Kraków

W winiecie: oryginalny orzełek
z czapki powstańczej, fot. Jarosław Wróblewski



Samochody milicyjne na ul. Piotrkowskiej
w Łodzi, 13 grudnia 1981 r. Fot. AIPN

Leszek Próchniak

„Precz z komunistyczną juntą”

Pierwsze dni stanu wojennego w Łodzi w relacjach mieszkańców

Robotnicza, rzekomo czerwona Łódź dobitnie pokazała po 13 grudnia, co myśli o komunistycznej władzy.

Wniedzielnny poranek, 13 grudnia 1981 r. Polacy obudzili się w zupełnie nowej, szokującej rzeczywistości. Wprawdzie przygotowania do wprowadzenia stanu wojennego trwały od wielu miesięcy, ale wiedza o nich nie przedostawała się do opinii publicznej. Spodziewano się nadzwyczajnych działań władz, jednak ich skala była ogromnym zaskoczeniem. Drastyczne rygory zawarte w dekreście o stanie wojennym i towarzyszących mu innych aktach prawnych – zawieszenie działalności wszelkich organizacji, stowarzyszeń i związków zawodowych, ograniczenie podstawowych praw obywatelskich, zakaz opuszczania miejsca zamieszkania bez przepustki oraz wprowadzenie godziny milicyjnej mię-

dzy 22.00 a 6.00 – wsparte blokadą łączności telefonicznej, militaryzacją znacznej części instytucji i zakładów przemysłowych oraz obecnością wojska na ulicach miast, miały za zadanie zastraszenie społeczeństwa i pozbawienie go woli oporu.

D(o)ręczyciele z milicji

Jednym z pierwszych akordów stanu wojennego były internowania czołowych działaczy Solidarności i osób zaangażowanych w działalność opozycyjną. Nie czekając na formalne uchwalenie przez Radę Państwa dekretu o stanie wojennym, milicjanci w asyście funkcjonariuszy Służby Bezpieczeństwa jeszcze przed północą 12 grudnia wtargnęli do mieszkań osób wytypowanych do internowania. Obawiając się oporu i prób ucieczki, często robili to pod fałszywym pretekstem lub za pomocą wybiegu. Jedna z internowanych osób wspomina:

„Dzwonek. Za piętnaście minut północ. Patrzę przez wizjer: nieznajomy mężczyzna.

– Kto tam?

– Poczta.

Chwila milczenia.

– Telegram.

– Skąd?

Za drzwiami konsternacja. Wydaje mi się, że mężczyzna porozumiewa się z drugą osobą.

– Z Wrocławia.

Mętna historia.

– To pomyłka. We Wrocławiu nie mam nikogo.

– Chce pan ten telegram czy nie?

– Nie, dziękuję.

Na taką odpowiedź słyszę ostry głos:

– Milicja, otwierać!”

W wielu innych przypadkach milicjanci uciekali się do użycia siły. Nie wszystkich – mimo intensywnych poszukiwań – udało się zatrzymać, czemu niewątpliwie sprzyjał termin akcji. Wielu niedoszłych internowanych, którzy w sobotni wieczór odwiedzili przyjaciół czy znajomych, pozostało u nich na noc, unikając aresztowania. Niemniej do końca pierwszego tygodnia stanu wojennego w Łodzi

internowano ok. 140 osób – mężczyzn umieszczono głównie w Łęczycy i Sieradzu, kobiety zaś w Olszynie Grochowskiej.

Benedykt Czuma, uczestnik ROPCio i działacz Solidarności, zanotował: „Jedziemy suką – 21 osób. Jadą co najmniej trzy suki, a więc około sześćdziesięciu ludzi. W Łęczycy jesteśmy około 5.00 rano. Przyjęto nas grzecznie, chociaż dużo klawiszy z pałkami i bardzo przejętych. Przed południem dostajemy głośnik i słyszymy przemówienie Jaruzelskiego i inne komunikaty, przetykane muzyką Chopina i marszami wojskowymi”.

Bardzo szybko się okazało, że na listach internowanych – sporządzanych przez wojewódzkie urzędy spraw wewnętrznych – znalazły się osoby, których uwięzienie było poważnym błędem politycznym. W kilku przypadkach decyzję cofnięto. Marek Edelman, jeden z przywódców powstania w getcie warszawskim, wspominał: „Kiedy 13 grudnia 1981 roku generał Wojciech Jaruzelski ogłosił stan wojenny, razem z tysiącami działaczy »Solidarności« zostałem uwięziony. Nie umieszczono mnie, jak wielu intelektualistów, przywódców ruchu czy znanych osób, w obozie internowanych dla VIP-ów. Trafiłem do normalnego więzienia w Łęczycy. Siedziałem w celi wraz z dwunastoma innymi osobami. [...] Po paru dniach Jan Józef Szczepański i Klemens Szaniawski wyjaśnili ministrowi spraw wewnętrznych Czesławowi Kiszczakowi, kim jestem i dlaczego nie powinno się mnie trzymać w pudle. Zdaje się, że również [były kanclerz RFN] Willy Brandt interweniował w mojej sprawie. Wypuścili mnie”.

ZOMO przygotowuje się do ataku na siedzibę Zarządu Regionu NSZZ „Solidarność” w Łodzi, 13 grudnia 1981 r. Fot. AIPN





Blokada ZOMO na ul. Piotrkowskiej, 13 grudnia 1981 r. Fot. AIPN

W kalendarium ośrodka jezuitów w Łodzi uchwycono dramatyzm i stan niepewności charakterystyczny dla pierwszych godzin stanu wojennego: „Na ulicach miasta jeszcze świeże (prosto z Moskwy) dekrety WRON-y, bez podpisu i nazwiska przewodniczącego Rady Państwa Henryka Jabłońskiego, przez niego jednak rzekomo sygnowane. Plakaty są już częściowo pozrywane. Ludzie ogłuszeni i zaszokowani przemówieniem Jaruzelskiego. Brak łączności telefonicznej i telegraficznej. Przed kościołem jezuitów tłumy, kompletuje się pośpiesznie pierwsze listy internowanych tej nocy działaczy »Solidarności«. Na ulicach ZOMO, MO, wojsko, terror. Po kazaniu na furcie płyną strumienie ludzi; zarówno tych pokrzywdzonych, jak i chętnych do udzielania innym wszelkiej pomocy. Przychodzą przedstawiciele różnych zawodów i warstw społecznych. Zaczątkiem naszej akcji jest spontanicznie powstałe centrum informacji – rzecz bezcenna wobec powszechnej dezorientacji i ogłuchłych nagle telefonów”.

Nerwowo w siedzibie regionu

Nad ranem 13 grudnia milicja wtargnęła do siedziby Zarządu Regionu NSZZ „Solidarność”. Funkcjonariusze włamywali się do kolejnych pomieszczeń, wynosząc z nich w skrzyniach dokumenty, prasę, wyposażenie. Po dwóch godzinach akcję zakończono. Wkrótce potem w splądrowanym budynku pojawili się powracający z posiedzenia Komisji Krajowej w Gdańsku Andrzej Słowik (przewodniczący Zarządu Regionu) i Jerzy Kropiwnicki (wiceprzewodniczący). Nie wiedzieli jesz-

cze wówczas, że Grzegorza Palkę (członka Prezydium Komisji Krajowej), który pozostał w Gdańsku, aresztowano kilkadziesiąt minut po ich wyjeździe.

Mimo groźby powrotu milicji Słowik i Kropiwnicki podjęli decyzję o pozostaniu w siedzibie Solidarności. Wydano komunikat o utworzeniu komitetu strajkowego i proklamowaniu strajku generalnego w regionie łódzkim. „Dziś w nocy – pisali liderzy związkowi – stała się rzecz w historii naszej Ojczyzny bezprzykładna: Rząd wypowiedział wojnę Narodowi. Uczynił to w 11. rocznicę podobnej decyzji, decyzji, która rozpoczęła tragedię i zbrodnię Grudnia 1970. Decyzję podjęli przedstawiciele tej samej władzy, która pod pomnikiem Ofiar w Gdańsku ślubowała Narodowi, że już nigdy więcej...”

W gmachu zaczęli się stopniowo pojawiać inni działacze Solidarności. Jeden z nich, Andrzej Sokołowski, relacjonował później: „Poszedłem do Zarządu Regionalnego na Piotrkowską 260. Tłum pod zamkniętą bramą. W budynku nerwowa. Zaczynamy wyrzucać wszystko przez okna. Lecą wydawnictwa o Katyniu, żółta *Prasówka* [*Wybór artykułów z polskiej prasy emigracyjnej*], biuletyny, komunikaty, »Tygodnik Solidarność«. Tłum łodzian zabiera wszystko. Dosłownie bitwy o lecące wydawnictwa. Ludzie chwytają i odchodzą. Napływają inni. Stoją tramwaje.

13.05, widzimy podjeżdżające nyski milicyjne. Z trzeciego piętra widzimy ustawiony szpaler ZOMO w kaskach z maskami z pleksi i tarcze plastikowe oraz broń z nasadkowymi granatami łzawiącymi. Od strony katedry tłum. Słychać krzyki: »Gestapo, gestapo«. Padają strzały. Lecą w tłum granaty. Młodzi ludzie odrzucają je na milicję. Wybuchy gazu. Robi się zamieszanie. Z wozów wychodzi milicja. Rozbijają bramę siekierami. Grupujemy się na drugim piętrze u Słowika i Kropiwnickiego. Za moment widzimy milicjantów, siedemnastoletnich i trochę starszych cywilów z pałami. Każą wychodzić”

Tłumy w kościołach

Sprzeciw wobec wprowadzenia stanu wojennego otwarcie wyrazili tego dnia nie tylko członkowie Solidarności. Miejscem, w którym gromadzili się przestraszeni, zdezorientowani i nie do końca zdający sobie sprawę z powagi sytuacji mieszkańcy miasta, były kościoły. Tu dochodziło do pierwszych kontaktów osób, które zdołały uniknąć aresztowania. Wymieniano informacje o sytuacji w mieście i uzgadniano miejsca i terminy kolejnych spotkań. Od kapłanów oczekiwano pierwszego

komentarza dotyczącego nowej, „wojennej” rzeczywistości. Najdobitniej i zarazem najcelniej istotę stanu wojennego określił ks. Stefan Miecznikowski w niedzielnej homilii na Mszy św. w kościele jezuitów: „Jest to zamach na ustroj konstytucyjny i porządek prawny. Jest to przekreślenie umów społecznych z Gdańska, Szczecina i Jastrzębia. Jest to chęć obehwładnienia narodu, który ośmielił się zażądać samorządności i był w tym żądaniu nieustępliwy – po wielu próbach oszukania go i po doprowadzeniu do ruiny gospodarczej i do progu zniewolenia społecznego. Powstaje pytanie: dlaczego sięgnięto po tak niesłychane środki przeciw własnemu społeczeństwu? Uzasadnia się to anarchizacją życia społecznego. Kto ją spowodował wczoraj – wiemy. Kto najbardziej się do niej przyczynił dzisiaj – też wiemy. Jeszcze raz interes partykularnej grupy postawiono nad dobrem społeczeństwa; jeszcze raz, aby ocalić rządców, poświęcono naród. [...] Módlmy się – nawoływał – w tej godzinie nawrotu czasów ponurych, polecajmy Bogu naszą ludzką nadzieję. Nikt nam nie jest zdolny odebrać naszej godności, choć tak boleśnie w nią ugodzono. Nikt nie pozbawi nas woli bycia narodem wolnym i samodzielnym”.

Na niedzielę, 13 grudnia w kościele Matki Boskiej Jasnogórskiej przy ul. Gogoła zaplanowano kilka tygodni wcześniej poświęcenie sztandaru Komisji Zakładowej NSZZ „Solidarność” Zakładów Aparatury Elektrycznej „Ema-Elester”. Wprowadzenie stanu wojennego nie spowodowało odwołania uroczystości. Barbara Filipek, wiceprzewodnicząca KZ w zakładach „Ema-Elester”, wspomina: „Stawił się tłum ludzi. Twarze przerażone, kościół obstawiony ubekami. Członkowie dyrekcji przyjęli nasze zaproszenie i stawili się na uroczystości, jednak nie bardzo wiedzieli, co mają ze sobą zrobić, lokując się w większości w mało widocznych miejscach. Podobnie jak my, nie do końca zdawali sobie sprawę z ewentualnych konsekwencji obecności na Mszy o takim charakterze. Starszy pan kościelny, widząc nasze przerażenie, powiedział: »Nie martwcie się, proszę państwa, nie martwcie się. Myśmy, Polacy, już tyle przeżyli. Ja pamiętam 1939 rok. Wszystko to jakoś się ułoży«”.

„Mamy tu zrobić porządek”

Następnego dnia, w poniedziałek, ruszyła fala strajkowa. Na wezwanie lokalnych władz Solidarności stanęło kilkadziesiąt zakładów w Łodzi. W wielu kilkugodzinne protesty przerwano pod wpływem argumentacji, a raczej gróźb

kierownictwa i komisarzy wojennych, w innych zaś władze decydowały się na użycie siły. W Zakładach Przemysłu Bawełnianego im. Juliana Marchlewskiego kilkugodzinny strajk odwołano, gdy przed bramę podjechały transportery opancerzone. Na rezygnację z protestu wpłynęło podobno również groźenie kobietom, stanowiącym większość załogi przedsiębiorstwa, że zostaną aresztowane ich dzieci. Brutalną interwencją wojska i milicji zakończył się strajk w Fabryce Transformatorów i Aparatury Trakcyjnej „Elta”, gdzie pracę przerwało ok. 3 tys. pracowników. Robotnicy, podejmując strajk, zaspawali bramę i wzniesli barykadę, do której sforsowania ściągnięto wojsko z ciężkim sprzętem. Wobec takiego pokazu siły załoga powróciła na stanowiska pracy. Wojskowe grupy operacyjne interweniowały tego dnia w wielu innych łódzkich zakładach.

Także Uniwersytet Łódzki 14 grudnia zastrajkował. O 9.00 na Wydziale Prawa przy ul. Składowej zgromadziło się ok. 150 studentów, do których w godzinach popołudniowych dołączyli koledzy z innych wydziałów oraz pracownicy UŁ. Następnego dnia rano budynek oplakatowano, wywieszono krzyż oraz transparent z napisem „Strajk studentów”. W oknach pojawiło się wiele haseł: „Komuniści wprowadzają faszystowski terror”, „Przewrócić czerwoną bryłę”, „Precz z komunistyczną juntą”. Zachęcano mieszkańców miasta do czynnego sprzeciwu wobec



Milicja aresztuje łódzkich działaczy Solidarności, 13 grudnia 1981 r. Fot. AIPN

władz: „Łodzianie, nie siedźcie w domach, walczcie o swoje prawa”, „13.12 dniem triumfu czy klęski? To zależy tylko od nas”, „Wolność teraz albo nigdy”.

O 16.00 do akcji wkroczyły oddziały wojska i ZOMO, blokując przy użyciu samochodów i transporterów opancerzonych rejon skrzyżowania, a następnie przystępując do pacyfikowania zgromadzonych ludzi za pomocą pałek, armatek wodnych i gazów łzawiących. Strajkujący studenci przedostali się w tym czasie do rektoratu, połączonego z budynkiem Wydziału Prawa, a stamtąd część z nich wydostała się na zewnątrz. Nieliczni ukryli się w różnych pomieszczeniach. Funkcjonariusze milicji i ZOMO wdarli się tymczasem do obydwu gmachów, przystępując do ich przeszukiwania i włamując się do zamkniętych pomieszczeń, które – niejako przy okazji – demolowano. Ofiarami tej akcji padli nie tylko zatrzymani – zresztą głównie poza budynkiem – studenci. W rektoracie odbywało się właśnie posiedzenie egzekutywy Komitetu Uczelnianego PZPR z udziałem prorektora, dziekana i prodziekanów Wydziału Prawa. Członkowie tego gremium również zostali pobici przez milicjantów. Jeden z uczestników strajku wspomina:

„Prorektor ds. dydaktycznych, przedstawiając się podoficerowi ZOMO: »Ja tu jestem rektorem«, usłyszał w odpowiedzi: »Spierd...« i dostał pałką. Podob-

nie postąpiono z I sekretarzem Komitetu Uczelnianego PZPR. W tym samym budynku przy ul. Lindleya było otwarte wejście do dziekanatu Wydziału Prawa i Administracji. Znajdowali się tam dziekani. Wszedł oficer ZOMO z podkomendnymi. Na pytanie: »Po co panowie tu przyszli?«, odrzekł:

– Mamy tu zrobić porządek.

– Porządek to tu był przed przyjściem panów.

– No, wie pan, ja to się tu tak spokojnie zachowuję, bo mam zamiar od przyszłego roku studiować prawo – odrzekł trzeźwo zomowiec.

Tymczasem w rektoracie trwało wyłamywanie wszystkich zamkniętych drzwi, zrywanie zasłon, tłuczenie popielniczek, rozbijanie stołów i szaf”.

W kolejnych dniach liczba strajków gwałtownie malała. Codziennie dochodziło natomiast do demonstracji w okolicach siedziby Solidarności i pobliskiej katedry, które były rozpędzane przez ZOMO. We wtorek w poprzek ul. Piotrkowskiej uczestnicy protestu zbudowali barykadę z płyt chodnikowych i obrzucili kamieniami i butelkami sąsiadujący z budynkiem Solidarności gmach Związku Socjalistycznej Młodzieży Polskiej. W środę i czwartek ZOMO interweniowało z wyjątkową brutalnością. Jeden z uczestników relacjonuje: „Nagle, zaskakująco szybko, z samochodów wyskoczyli zomowcy i zaczęli łąpać ludzi. Rzuciłem się do ucieczki, wpadłem w bramę. Dwoje prywatnych drzwi. Pukamy, w jedne ja, w drugie kolega. Zza jednych odezwał się przestraszony głos:

– Kto tam?

– Proszę nas wpuścić, goni nas milicja!

Ten ktoś za drzwiami gasi światło i robi się cicho. Na dole już dudnią po schodach. Pięciu. Trzech zostaje piętro wyżej, dwóch podeszło do nas:

– Dokumenty! Odwrócić się do ściany!

Stoimy w odległości metra od ściany z podniesionymi rękami, tak jak kazał. Nagle pchnięcie z tyłu. [...] Obmacują. Wszystko z kieszeni każą wyrzucić na podłogę. Przez cały czas jeden z nich zapewnia:

– Nie bójcie się, nie będziemy was bić.

W końcu każą zebrać z podłogi porzucane rzeczy. Gdy kończymy, zaczynają ładować pałkami”.

Henryk Grzywaczewski, działacz Niezależnego Zrzeszenia Studentów, zanotował: „Byłem w katedrze, w oczy szczypie gaz. W środku kilka starszych osób.

Wychodzę, a za mną dwóch młodych chłopców: 16–17 lat, jeden głośno płacze. Pytam dlaczego, przez łzy mówi: »Łobuzy nawet kościoła nie uszanowali, wrzucili gaz, a wychodzących studentów bili pałkami. Pobili również dwóch księży usiłujących bronić studentów«.

„Jest strasznie dużo dobrych ludzi”

Partyjny „Głos Robotniczy” – jedyne czasopismo lokalne, które ukazywało się w Łodzi po wprowadzeniu stanu wojennego – 16 grudnia komentował: „Tam, gdzie w swoich działaniach zabrnęto zbyt daleko, podjęły interwencję oddziały LWP i MO – spokojnie, bez używania siły, ale stanowczo, manifestując wolę przeciwdziałania anarchii. Działania te spotkały się ze zrozumieniem, ulgą, że oto siły porządkowe państwa wkraczają, niosąc spokój, ład i porządek”.

Jak wielkie „zrozumienie” wykazywali mieszkańcy Łodzi dla działań władz, najlepiej świadczy ich stosunek do członków PZPR i samej partii. Po wprowadzeniu stanu wojennego wielokrotnie wyrażano opinię, że „wszystkiemu winna jest PZPR”, członków partii nazywano „wtykami Komitetu”. Sekretarz Komitetu Dzielnicowego PZPR Łódź-Bałuty stwierdzał, że w niektórych zakładach dzielnicy członkowie partii są traktowani jak trędowaci, gdyż pozostali pracownicy nie podają im ręki i nie odpowiadają na powitania. Stan wojenny porównywano do okupacji niemieckiej, zwłaszcza po pacyfikacji strajku studenckiego i demonstracji pod Zarządem Regionu, kiedy to w Łodzi zaczęły krążyć pogłoski o biciu przez

ZOMO zatrzymuje ludzi w centrum Łodzi, 13 grudnia 1981 r. Fot. AIPN

ZOMO ciężarnych kobiet i kalek, a nawet zastrzeleniu dwóch osób. Pojawiły się wówczas opinie, że PZPR „chowa się za plecami wojska” i „rządzi jak gestapo”.

Powstawaniu pogłosek i plotek sprzyjało poczucie zagrożenia i niepewności, połączone z brakiem dostępu do niezależnych informacji. Większość z nich dotyczyła wydarzeń ogólnopolskich („w Gdańsku i w Warszawie zamieszki, że cała Warszawa obstawiona, że na drodze z Płocka do Łodzi jadą czołgi”, „Jeden z obozów dla internowanych założono tuż za granicą w ZSRR”), gdyż informacje lokalne były łatwiejsze do weryfikacji. Niemniej dopóki 19 grudnia nie rozpoczął się proces Słowika i Kropiwnickiego, po mieście krążyły plotki o ich rozstrzelaniu.


Pierwsze ofiary stanu wojennego – uwięzieni, internowani, pozbawieni pracy oraz ich rodziny – nie zostały pozostawione w tej trudnej sytuacji bez pomocy ze strony mieszkańców miasta. W zakładach pracy już od pierwszych dni składano podpisy pod petycjami o uwolnienie internowanych, rozpoczęły się też zbiórki pieniędzy przeznaczonych dla nich oraz dla ich rodzin. Ludzie spontanicznie dzielili się tym, czym mogli, ofiarowując oprócz wsparcia finansowego także ubrania, żywność i inne najpotrzebniejsze rzeczy. Elżbieta Czuma pisała w liście do internowanego męża: „Niczym się nie martw. Jest strasznie dużo dobrych ludzi. Są takie dni, że w naszym mieszkaniu drzwi się nie zamykają. Dzięki temu mamy już śliczną choineczkę i wytrzepane dywany”.

Kilkanaście miesięcy istnienia Solidarności pozwoliło na nowo obudzić w Polakach poczucie wspólnoty. Stan wojenny umożliwił władzom zdławienie związku, ale nie zdołał złamać międzyludzkiej solidarności. Nawet drobne z pozoru gesty odwagi, empatii i niezależności pozwalały żywić nadzieję, że ostateczne zwycięstwo stanie się udziałem społeczeństwa, a nie ekipy gen. Jaruzelskiego. Podtrzymywanie tej nadziei było w następnych miesiącach równie ważne, jak uczestnictwo w aktywnym i biernym oporze wobec wszechobecnej przemocy państwa. ■

Więcej na ten temat w książce *„Jest strasznie dużo dobrych ludzi...”. Stan wojenny w korespondencji i zapiskach mieszkańców Łodzi i regionu*, oprac. L. Próchniak i M. Przybysz, Łódź 2016, z której pochodzą wszystkie cytaty.



Leszek Próchniak (ur. 1976) – historyk, pracownik Oddziałowego Biura Badań Historycznych IPN w Łodzi. Autor książki *Kolektywizacja rolnictwa w regionie łódzkim* (2003).



Pacyfikacja kopalni „Wujek”,
Katowice, 16 grudnia 1981 r.
Fot. PAP/Marek Janicki

Grzegorz Majchrzak

Świat patrzy

Reakcje zagraniczne na pacyfikację „Wujka”

Śmierć niewinnych górników w pierwszych dniach stanu wojennego nie mogła ująć uwagi Zachodu. Masakrę w Katowicach potępiły nawet tamtejsze partie komunistyczne.

W trakcie pacyfikacji Kopalni Węgla Kamiennego „Wujek” w Katowicach 16 grudnia 1981 r. od kul funkcjonariuszy oddziału specjalnego ZOMO zginęło sześciu górników (Józef Czekalski – lat 48, Józef Krzysztof Giza – lat 24, Ryszard Gzik – lat 35, Bogusław Kopczak – lat 28, Zbigniew Wilk – lat 30 i Zenon Zajac – lat 22). Trzech kolejnych (Joachim Gnida – lat 28, Andrzej Pełka – lat 19 i Jan Stawisiński – lat 21) zmarło w wyniku odniesionych ran postrzałowych. Był to najkrwawszy epizod stanu wojennego. Oficjalnie o tragicznej, krwawej pacyfikacji „Wujka” poinformowano dzień później na antenie Polskiego Radia, podając liczbę ofiar śmiertelnych – wówczas siedmiu (Gnida zmarł 2 stycznia, a Stawisiński 25 stycznia 1982 r.).


Mundury splamione krwią

Ta krwawa pacyfikacja wywołała wiele komentarzy i reakcji na świecie. Już 17 grudnia na antenie Rozgłośni Polskiej Radia Wolna Europa dziennikarz tej stacji Janusz Marchwiński powiedział: „Stało się najgorsze. Jedenaście lat po pamiętnym grudniu roku siedemdziesiątego władze PRL znów skierowały lufy karabinów na robotników. Nie zawahano się wydać śmiercionośnego rozkazu. Wiadomość o zabiciu w środę siedmiu górników kopalni »Wujek« jest wstrząsająca”. Pierwszy jego komentarz był tyleż lakoniczny, co wymowny: „Siedem osób zabitych, trzydzieści dziewięć rannych. Po stronie milicji nikt nie poniósł śmierci. Bo górnicy nie mieli przecież broni. Przemocy mogli przeciwstawić tylko swój słuszny gniew”.

Wydarzenia w Katowicach były komentowane przez RWE również w następnych dniach i tygodniach. I tak np. 20 grudnia Józef Ptaczek mówił: „Wbrew solennym zapowiedziom i zakłębom w kraju znowu doszło do tragedii, do przelewów krwi. Znowu z rąk funkcjonariuszy aparatu bezpieczeństwa padli robotnicy. Znowu strzelano do bezbronných ludzi. Dokładnej liczby zabitych i rannych wciąż jeszcze nie znamy. Podały ją środki partyjnej propagandy, którym mało kto kiedykolwiek wierzył i którym w obecnej sytuacji wierzyć jeszcze trudniej”. Jako odpowiedzialnych za tę tragedię wskazywał bezpośrednich sprawców, czyli funkcjonariuszy, którzy strzelali do górników, oraz członków – jak dzisiaj wiemy, fasadowej – Wojskowej Rady Ocalenia Narodowego, funkcjonującej w czasie stanu wojennego: „To oni [członkowie WRON] też ponoszą pełną odpowiedzialność za tragedię, do której świadomie prowadzili i doprowadzili. Ich ręce są w tym

Górnicy na terenie kopalni „Wujek” przed szturmem jednostek ZOMO, milicji i wojska, Katowice, 16 grudnia 1981 r.
Fot. PAP/Marek Janicki





samym stopniu zbroczone robotniczą krwią, jak ręce tych, którzy bezpośrednio wykonali zbrodniczą politykę i wykonują zbrodnicze rozkazy”. Trzy dni później Ptacek, powołując się na artykuł z „Tygodnika Solidarność” z 4 grudnia 1981 r., stwierdzał: „Nie było może przypadkiem, że do pierwszych śmiertelnych ofiar po ogłoszeniu okupacji kraju przez obecną juntę partyjno-wojskową doszło na Śląsku. W tym bowiem województwie, gdzie na czele władz partyjnych stał powszechnie znany dogmatyk i przeciwnik odnowy, pierwszy sekretarz K[omitetu] W[ojewódzkiego] [PZPR] w Katowicach, Andrzej Żabiński, kampanię przeciwko Solidarności prowadzono już od dawna”. I przypominał: „To właśnie na terenie województwa katowickiego [...] dochodziło do mniejszych lub większych prowokacji i ciągłego szykanowania działaczy Solidarności”. Z kolei Tadeusz Podgórski, inny dziennikarz RWE, wskazywał na winę wojska, choć główną odpowiedzialnością za ofiary śmiertelne obciążał milicję. Komentował on: „U progu swych odnowicielskich rządów junta generalska splamiła swoje mundury krwią bezbronnych robotników. A ponieważ akcji milicji (nie tylko w kopalni »Wujek«) patronowało wojsko – splamiono też honor wojska. W czasie pokoju miejsce wojska jest w koszarach, a nie pod murami fabryk i kopalń. Zadaniem milicji winna być walka z przestępczością, troska o porządek publiczny, a nie rozprawy – i to krwawe – ze strajkującymi robotnikami”. Najostrzej działania milicji oceniał w RWE Zygmunt Michałowski. Pięć dni po tragedii w „Wujku” mówił: „Zabija milicja. Używając zarówno broni palnej, jak i pałek. Masakrują oddziały ZOMO. Skoszarowane specjalnie do rozbijania demon-



Górnicy bronią ogrodzenia kopalni „Wujek”, Katowice, 16 grudnia 1981 r.
Fot. PAP/Marek Janicki

stracji i tłumienia strajków, wyćwiczone. Specjalnie do takich celów wybrane i wytrenowane. Najgorsze elementy społeczne, skryminalizowane, którym przy poborze do wojska dano możliwość wybrania służby w specjalnych oddziałach milicyjnych, zamiast służby w szeregach armii, która przecież misję inną ma. Elementy, które już wcześniej swą kryminalną, aspołeczną postawą postawiły się poza nawiasem społeczeństwa. Elementy, którym gwarantuje się specjalne przywileje i suto płaci za ślepe posłuszeństwo, za brak wahania, gdy trzeba strzelać do brata Polaka”.

„Reżim wojskowy zaczyna się od strzelania do robotników”

Najważniejszy brytyjski nadawca radiowo-telewizyjny – BBC – poprosił o komentarz Antony’ego Polonsky’ego, eksperta ds. polskich, wykładowcę Londyńskiej Szkoły Nauk Ekonomicznych, który stwierdził m.in.: „Jest rzeczą oczywistą, że górnicy są jedyną kategorią społeczną, która mogłaby doprowadzić do ustania prawa stanu wojennego, odmawiając wydobycia węgla. Bez węgla kraj nie może funkcjonować”. Polonsky snuł przypuszczenia co do dalszego rozwoju wydarzeń: „Jeśli oddano strzały do górników [...], z pewnością w kopalniach panują nastroje oburzenia i istnieje obecnie całkiem realna możliwość, że górnicy nie przystąpią do pracy”. Na antenie BBC omawiano też najciekawsze artykuły z brytyjskiej prasy na temat wydarzeń w Polsce. Na pierwszych stronach właściwie wszystkich dzienników znalazły się „tragiczne wiadomości o zastrzeleniu przez milicję górników w kopalni »Wujek« na Górnym Śląsku”. Szerzej komentarze prasy

zachodniej omawiała z kolei zachodnioniemiecka rozgłośnia Deutschlandfunk, podsumowując: „Próba gen. [Wojciecha] Jaruzelskiego przeforsowania autorytetu państwa siłą, lecz bez ofiar nie powiodła się. Przeceenił on psychologiczne oddziaływanie militarnej akcji i nie docenił woli oporu ze strony ludności. Fakt, że i tym razem – tak jak w roku 1970 – robotnicy w systemie socjalistycznym polegli od kul organów państwowych, dowiódł szczególnie dobitnie zakłamania tej ideologii”.

Do wydarzeń w Katowicach odniósł się również „Morning Star”, oficjalny organ Komunistycznej Partii Wielkiej Brytanii. Jak informowało RWE, na jego łamach stwierdzano, że „zabicie strajkujących górników na Górnym Śląsku napawa robotników na całym świecie głębokim smutkiem i jednocześnie wywołuje wśród nich rozterkę”, oraz komentowano: „Jest rzeczą szczególnie tragiczną, że najnowsze wypadki rozegrały się właśnie w kraju socjalistycznym”. Nawiązywał do nich również organ Włoskiej Partii Komunistycznej, dziennik „L’Unità”, który potępił działania ekipy Jaruzelskiego. Pisano: „władze PRL uzasadniały wprowadzenie stanu wojennego tym, że tylko w ten sposób można było rzekomo zapobiec czemuś gorszemu. Lecz oto doszło do starć, są ranni, zabici, nastąpił przelew krwi [...] Te tragiczne wydarzenia są świadectwem, że [...] popełniono nieszczęsny błąd”.

Pośrednio pacyfikację „Wujka” potępiła też Komunistyczna Partia Hiszpanii. Fragment jej oświadczenia wykorzystał w swym komentarzu ma antenie BBC francuski politolog Jacques Rupnik: „Wiemy, jak zaczyna się reżim wojskowy – stwierdza oświadczenie partii hiszpańskiej. Od strzelania do robotników i stawiania ich przed sądem. Jednocześnie nikt nie wie, jak się to skończy. Komuniści hiszpańscy zabierają w tej sprawie głos na podstawie własnego doświadczenia, w oparciu o 40 lat autorytarnych rządów generała [Francisco] Franco”. Podobnie wypowiadał się były przywódca Komunistycznej Partii Szwecji, Carl-Henrik Hermansson, w wywiadzie dla dziennika „Dagens Nyheter”: „Nie powinno się bronić reżimu, który posyła wojsko, by strzelało do strajkujących robotników. Nie ulega dla mnie wątpliwości, że nie powinno się utrzymywać przyjaznych stosunków z reżimem, który dopuścił się takich krwawych czynów, ani też z partią, która broni takich postępów”.

„Z pianą na ustach”

Wobec blokady informacyjnej Polski i braku wiarygodności władz PRL oraz kontrolowanych przez nią mediów, przedmiotem wielu spekulacji była liczba

ofiar śmiertelnych, zarówno podczas pacyfikacji KWK „Wujek”, jak i w całym kraju. I tak np., według „reprezentanta Kościoła polskiego”, który przyjechał do Ystad w Szwecji, w starciach między strajkującymi i siłami porządkowymi „miałoby zginąć na Śląsku około 100 górników”. Z kolei „pewien szofer holenderski” po powrocie z Polski miał oznajmić przedstawicielowi Agence France-Press (AFP), że dowiedział się od działaczy Solidarności, jakoby w czasie starć między górnikami a siłami bezpieczeństwa jedynie w kopalni „Wujek” zginęło 66 osób. Później zresztą te szacunki liczby ofiar śmiertelnych rosły. Za granicą spekulowano, że w przypadku pacyfikacji „Wujka” byli również zabici milicjanci. I tak „New York Times” przytaczał wypowiedź „dwudziestodwuletniego mieszkańca Katowic”, którego ojciec, będący naocznym świadkiem ataku na kopalnię, miał widzieć później „zwłoki sześciu ludzi w mundurach, przykryte białym płótnem”. Z kolei „wysoki rangą dygnitarz partyjny” miał przyznać w prywatnej rozmowie, że „co najmniej jeden milicjant zginął podczas tłumienia strajku w tej kopalni”.

Z czasem na temat pacyfikacji pojawiły się również relacje i komentarze obco-krajowców obecnych w PRL. Na antenie RWE 28 grudnia 1981 r. przytoczono wypowiedź Niemki studiującej w Polsce. Cztery dni wcześniej miała ona relacjonować telefonicznie, że rzekomo podczas ataku na kopalnię „zastosowano tam środki narkotyczne działające na psychikę”, a także – co akurat było prawdą – „bito też lekarzy i siostry [...] byli ranni też wśród personelu medycznego”. Autorem innej, anonimowej relacji miał być pracownik konsulatu jednego z państw socjalistycznych w Krakowie – jak przypuszczano na podstawie akcentu i błędów językowych, Jugosłowianin lub Słowak – który miał mieć w Polsce „dużo znajomych, którzy prosili go o przekazanie na Zachód wiadomości”. Mówił on m.in.: „wielu świadków ataku na kopalnię »Wujek« twierdzi, że oddziały ZOMO przystąpiły do akcji z nieprawdopodobną furią, »z pianą na ustach«”. Funkcjonariusze mieli wręcz sprawiać wrażenie „ludzi pod wpływem narkotyków”. Jak dodawał: „Zadaniem wojska było otoczenie terenu. Wojsko nie miało ostrej amunicji. Żołnierze mówili o tym ludziom”. Mieli też prosić o jedzenie, „gdyż od dwóch dni byli w akcji”.

„Głębokie zatroskanie”

Na masakrę w „Wujku” zareagowały również władze niektórych państw zachodnich. Jako pierwsze – czy też jedno z pierwszych – Szwecji. Jak informowało 18 grud-

nia 1981 r. RWE, rząd tego kraju w opublikowanym przez siebie oświadczeniu „wyrażał wstrząs i oburzenie na wiadomość o zabiciu i ranieniu wielu osób przez siły bezpieczeństwa”, a także „zdecydowanie potępił tę – jak to nazwał – wielką zbrodnię przeciwko prawom człowieka”.

Nie mogło oczywiście zabraknąć reakcji Stanów Zjednoczonych. Rzecznik Departamentu Stanu stwierdzał: „Amerykańskie koła rządowe z niepokojem obserwują używanie przemocy przeciwko Polakom, którzy starają się korzystać z przysługujących im praw obywatelskich i politycznych”. I dodawał, że „napływają niepotwierdzone doniesienia, według których w starciach między strajkującymi i siłami bezpieczeństwa w Katowicach zginęło więcej niż 7 osób, jak to podano oficjalnie”. Ponadto „ponownie wezwał władze PRL do zaprzestania ataków na robotników, studentów czy intelektualistów i uwolnienia więźniów politycznych”. Jak podkreślało BBC, Departament Stanu zakwestionował liczbę zabitych podaną przez władze PRL, powołując się na „miarodajne źródła, które utrzymują, że liczba ofiar śmiertelnych może przekroczyć 60”. Później zresztą precyzowano, że chodzi jakoby o 66 osób, przy czym 10 miało zostać śmiertelnie pobitych, a reszta zginąć od kul. Dane te miały dotyczyć całego Śląska, a ofiary – być wynikiem „starć, do jakich doszło podczas łamania strajków”. W tym kontekście nie może dziwić deklaracja Waszyngtonu: „Rząd Stanów Zjednoczonych uważa, że władze polskie były nadmiernie brutalne i represyjne w swych posunięciach, i dlatego chce zorganizować zjednoczoną akcję odwetową”.

Z kolei belgijski parlament „uczcił minutą milczenia pamięć Polaków, którzy zginęli, broniąc wolności”, a minister spraw zagranicznych Leo Tindemans zaapelował do władz w Warszawie o poszanowanie Aktu końcowego Konferencji Bezpieczeństwa i Współpracy w Europie, podpisanego w Helsinkach w 1975 r.

Szef MSZ Irlandii, James Dooge, 18 grudnia 1981 r. wyraził „głębokie z troskanie” z powodu wydarzeń w Polsce, a śmierć górników z „Wujka” uznał za tragedię, która może doprowadzić kraj „do krawędzi katastrofy gospodarczej i obywatelskiej”. Takie też stanowisko delegacja irlandzka przedstawiła podczas obrad KBWE w Madrycie, a 23 grudnia przekazała ambasadorowi PRL w Hadze.

O górnikach zabitych w Katowicach i „ciągłych protestach robotniczych” w Polsce mówił też 23 grudnia 1981 r. w parlamencie francuskim premier, socjalista Pierre Mauroy. Nie zamierzał jednak zmieniać przyjętego 13 grudnia „miękkiego”

157
485

P O S T A N O W I E N I E

o umorzeniu śledztwa

Gliwice, dnia 20 stycznia 1982r.

Podprokurator Wojskowej Prokuratury Garnizonowej w Gliwicach, per.mgr Janusz Brol, po rozpatrzeniu śledztwa w sprawie dotyczącej użycia broni palnej przez funkcjonariuszy MO w dniu 16.12.1981r. na terenie KWK "Wujek" w Katowicach i po przeanalizowaniu zebranych w toku tego śledztwa materiałów dowodowych

p o s t a n o w i k i :

1/ na zasadzie art. 280 § 1 i art. 11 pkt.1 kpk w zw. z art. 22 § 1 kk -

umorzyć śledztwo w sprawie użycia broni palnej przez funkcjonariuszy MO w dniu 16.12.81r. na terenie KWK "Wujek" w Katowicach, z uwagi na brak w działaniu tych funkcjonariuszy MO ustawowych znamion przestępstwa przyjmując, że użycie przez nich broni palnej w konkretnych, ustalonych w toku śledztwa okolicznościach miało charakter działania w obronie koniecznej, tj. działania podjętego w celu odparcia bezprawnego i bezpośredniego zamachu, realnie zagrażającego zdrowiu i życiu działających prawnie członków sił porządkowych MO,

2/ na zasadzie art. 280 § 1 kk -

umorzyć śledztwo w części dotyczącej dopuszczenia się w dniu 16.12.1981r. na terenie KWK "Wujek" w Katowicach, przez liczną - bliżej nieustaloną grupę strajkujących - czynnej napaści połączonej ze spowodowaniem obrażeń ciała, na działających zgodnie z prawem funkcjonariuszy MO biorących udział w akcji przywracania porządku na terenie wspomnianej kopalni - z uwagi na niezidentyfikowanie bezpośrednich sprawców tego przestępstwa.

U z a s a d n i e n i e

W dniu 16 grudnia 1981r. około godz. 12.00, a więc już w czasie obowiązywania na terenie kraju dekretu o stanie wojennym,

stanowiska Paryża. Podobne podejście prezentował jego komunistyczny koalicjant. Na początku 1982 r. Georges Marchais, lider Francuskiej Partii Komunistycznej, stwierdził, że wprowadzenie stanu wojennego pociągnęło za sobą: „zawieszenie podstawowych swobód obywatelskich, aresztowania, internowania, wypadki

śmierci, [...] wszystkie te wydarzenia wstrząsnęły nami”. Nie miało to jednak wpływu na przyjęte przez FPK stanowisko, które miało polegać „na niepodjęciu żadnych poczynań, które mogłyby sprzyjać wewnętrznej konfrontacji czy umiędzynarodowieniu konfliktu”. Podobną postawę przyjął zresztą kanclerz Republiki Federalnej Niemiec Helmut Schmidt, który mimo informacji o śmierci górników z „Wujka” nie zamierzał zmieniać swej oceny stanu wojennego jako „mniejszego zła”.

Natomiast papież Jan Paweł II podczas homilii po modlitwie Anioł Pański 20 grudnia 1981 r. nie tylko powierzył Polskę opiece Matki Boskiej, ale poprosił też o wyrazy solidarności z narodem polskim – mającym prawo do życia w pokoju i poszanowania praw człowieka – i wezwał do szczególnej modlitwy za zabitych, rannych i aresztowanych.

Biją dzwony za wielką wodą

Reagowały nie tylko władze poszczególnych państw czy media. Czyniły to również osoby i organizacje, szczególnie polonijne. Nie sposób w tym miejscu nie wspomnieć o tajemniczej grupie pod nazwą „Organizacja obrony Polaków 13 grudnia”, która miała działać w Danii i Norwegii. Przy czym jej aktywność ograniczyła się do skierowania ulotki do polskich dyplomatów w Kopenhadze oraz pogroźek

Czołg przed kopalnią „Wujek”, Katowice, 16 grudnia 1981 r.

Fot. PAP/Marek Janicki



pod adresem ich kolegów w Oslo. Grupa groziła – jak raportował MSZ, monitorujący reakcje państw zachodnich na wprowadzenie stanu wojennego – zabiciem „jednego dyplomaty PRL za każdą ofiarę śmiertelną w Polsce”. Przy obecnym stanie badań nie sposób powiedzieć, czy owa organizacja była efemerydą, czy też może dziełem pojedynczej osoby lub niewielkiej grupy. Jednak związek jej działań z krwawą pacyfikacją „Wujka” nie wydaje się przypadkowy – telefon z pogrożkami do ambasady PRL w Kopenhadze wykonano 20 grudnia, czyli trzy dni po tym, jak Polskie Radio poinformowało o wydarzeniach w Katowicach.

Zazwyczaj jednak reakcje były spokojniejsze i ograniczały się do manifestacji, nabożeństw i oświadczeń. Tak było np. w Chicago, gdzie Kongres Polonii Amerykańskiej 27 grudnia 1981 r. zorganizował marsz żałobny ku czci zamordowanych górników. Wzięło w nim udział ok. 50 tys. osób, w tym przedstawiciele Stowarzyszenia Polskich Kombatantów w Stanach Zjednoczonych. Tego samego dnia na wezwanie KPA w polonijnych parafiach odprawiono Msze św. i nabożeństwa za ofiary stanu wojennego, a o godzinie czternastej przez pięć minut były dzwony kościołów. Ponadto pod koniec grudnia 1981 r. na cmentarzu w Chicago w kwaterze weteranów umieszczono napis „Solidarność”, który miał symbolizować „pomordowanych przez bezpiekę po ogłoszeniu stanu wojennego górników i robotników”. Stowarzyszenie Weteranów Armii Polskiej w Ameryce i SPK na początku 1982 r. ogłosiły w czasopiśmie „Kombatant w Ameryce” wspólną rezolucję, w której oskarżano Jaruzelskiego o wprowadzenie w Polsce terroru, jakiego nie było od czasów stalinowskich. Stwierdzono w niej m.in.: „Bracia nasi w Polsce są mordowani i więzieni za to, że domagają się chleba i wolności” i apelowano do żołnierzy ludowego Wojska Polskiego, aby nie strzelali do „braci Polaków”. Do tragedii w „Wujku” nawiązywała wprost okładka „Kombatanta w Ameryce”, ze zdjęciem górników niosących ciało zabitego kolegi. ■



Grzegorz Majchrzak (ur. 1969) – historyk, dr, pracownik Biura Badań Historycznych IPN. Autor książek: *Kontakt operacyjny „Delegat” vel „Libella”* (2009); *„Solidarność” na celowniku. Wybrane operacje SB przeciwko związkowi i jego działaczom* (2016); *Tajemnice stanu wojennego* (2016); *Smutni panowie na olimpijskim szlaku. Inwigilacja polskich olimpijczyków przez Służbę Bezpieczeństwa* (2017) i in.

Demonstracja uliczna w Szczecinie, 3 maja 1982 r.

Fot. Jan Cieślukowski /AIPN

Michał Siedziako

Akademicki Ruch Oporu w stanie wojennym w Szczecinie

Wprowadzenie stanu wojennego zakończyło okres legalnej działalności Niezależnego Zrzeszenia Studentów. Nie złamało jednak studenckiej woli oporu przeciwko komunistycznej dyktaturze.

Po 13 grudnia 1981 r. do ośrodków internowania trafiło – wedle statystyk Biura Śledczego MSW – 463 studentów, w tym 410 członków NZS (co stanowiło 4,21 proc. wszystkich internowanych)¹. Decyzją ministra nauki, szkolnictwa wyższego i techniki 5 stycznia 1982 r. Zrzeszenie zostało formalnie rozwiązane. Studenci nie zaprzestali działalności opozycyjnej (wielu wcześniejszych członków NZS zaangażowało się na rzecz podziemnej Solidarności, wychodząc poza aktywność stricte studencką), w warunkach stanu wojennego musiała ona jednak przyjąć nowe formy. Rozpoczął się okres swoistego rozproszenia organizacyjnego: na poszczególnych uczelniach w kraju tworzyły się konspiracyjne grupy i grupki, najczęściej niezależne od siebie nawzajem². Jedyne część z nich odwoływała się do szyldu zdelegalizowanej organizacji. Większość przyjmowała nowe nazwy, np. Studencki Komitet Obrony Demokracji, Akademicki Ruch Samoobrony czy Studencka Grupa Oporu (czasami dodawano do nich „NZS”). Jedną z takich inicjatyw był Akademicki Ruch Oporu w Szczecinie.

Przeciwno reżimowi

Organizacja została powołana na przełomie lutego i marca 1982 r. Tworzyli ją głównie studenci Akademii Rolniczej (m.in. Wojciech Tadajewski, Robert Górski, Małgorzata Narożna, Czesław Wesołowski, Krzysztof Krawczyk, Barbara Łyżwa, Mariusz Nowak, Anna Truskolaska) oraz Wyższej Szkoły Pedagogicznej (m.in. Marek Adamkiewicz „Adał”, Mariusz Wróblewski, Małgorzata Krogulska, Zofia Halicz, Leszek Pachla, Paweł Bartnik, Hanna Pawłowska)³. Materiały drukowane przez ARO docierały także na Politechnikę Szczecińską, gdzie

¹ T. Kozłowski, J. Olaszek, *Internowani w stanie wojennym. Dane statystyczne*, „Pamięć i Sprawiedliwość” 2010, nr 2 (16), s. 507–510, tu: s. 509–510.

² Tylko w niektórych miastach udało się powołać struktury międzyuczelniane, np. Międzyuczelniany Opozycyjny Ruch Studencki w Warszawie czy Ruch Oporu NZS w Krakowie. Stan wojenny skutecznie uniemożliwiał tworzenie struktur o szerszym, międzymiastowym czy ogólnopolskim zasięgu. Pozbawieni swojej legalnej, niezależnej organizacji, studenci w niektórych ośrodkach próbowali też „przejmować” oficjalne koła naukowe czy reaktywowany pod koniec 1982 r. samorząd studencki.

³ Marek Adamkiewicz wspominał, że współpracował z nimi również Wojciech Janusz Klukowski z Pomorskiej Akademii Medycznej, który jednak od 13 XII 1981 r. prawie do końca listopada 1982 r. był internowany. Zob. „Bez wątplenia było warto!” Z Markiem Adamkiewiczem rozmawia Michał Siedziako, Szczecin 2012, s. 38, 158; S. Wójcikowa, *Janusz Wojciech Klukowski*, http://www.encysol.pl/wiki/Janusz_Wojciech_Klukowski [dostęp: 20 X 2017 r.].

w działalność opozycyjną angażowali się m.in. Grzegorz Wilczyński, Mariusz Adamowicz, Celestyn Bachorz, Dorota Bohdanowicz, Anna Chmielewska, Bogdan Cudnowski, Irena Rosolak i Zygmunt Gałązka (grupa ta nie działała jednak pod szyldem ARO). Funkcję łącznika między AR i WSP a politechniką pełnił Krzysztof Bielawski „Perła”. Choć wszyscy wymienieni wyżej uczestnicy ARO wcześniej byli związani z NZS, zdecydowano się na przyjęcie innej nazwy, aby utrudnić Służbie Bezpieczeństwa rozpoznanie grupy. Także z myślą o lepszym zakonspirowaniu na pierwsze spotkania i druk pierwszych materiałów wybrano mieszkanie Małgorzaty Narożnej, która rozpoczęła studia na AR zaledwie kilka miesięcy wcześniej i w tym okresie mieszkała sama.

Głównym przejawem aktywności grupy było wydawanie pisma „ARO. Serwis Informacyjny Akademickiego Ruchu Oporu”. „Pierwszy numer wydanej przez nas gazetki – wspominał po latach Adamkiewicz – był dość kontrowersyjny i odbił się na uczelniach dużym echem. Dlatego, że umieściliśmy tam listę osób, tzw. kolaborantów, które w pierwszym okresie, po wprowadzeniu stanu wojennego, zadeklarowały dla niego i dla Wojskowej Rady Ocalenia Narodowego ideologiczne wsparcie. Lista oparta była głównie o te osoby, które publicznie, w lokalnej telewizji, a przede wszystkim w prasie, [...] prezentowały swoje wiernopoddańcze poparcie dla ludowej władzy w mundurze. Byli na niej m.in. rektorzy uczelni oraz znani, partyjni naukowcy. Wiem, że ta lista w środowisku akademickim była wszędzie i głośno komentowana. Był na niej m.in. prof. Andrzej Głowacki z politologii w WSP. Wiem, że go to zabolalo, bo później, kiedy jako student bodaj czwartego roku zdawałem u niego nauki polityczne, to wstawił mi co prawda czwórkę, nie można zatem mówić o jakiejś zemście, ale wspominał o tej naszej ulotce”⁴.

Na łamach tytułu drukowano informacje o bieżącej sytuacji w kraju i na szcześcińskich uczelniach czy odezwy i apele, w których wzywano do rozmaitych akcji protestacyjnych, np. gaszenia świateł w mieszkaniach o określonej porze czy spacerów w godzinach emisji „Dziennika Telewizyjnego”. Zachęcano także do zaangażowania w podziemny ruch wydawniczy oraz indywidualnego sprzeciwiania się poszczególnym decyzjom i działaniom władz. Popierano również akcje protestacyjne ogłaszane przez Tymczasową Komisję Koordynacyjną NSZZ „Solidarność”

⁴ „Bez wątpienia było warto!”, s. 159–160.

oraz inne podziemne struktury opozycyjne. Pismo drukowano nieregularnie, początkowo na powielaczu spirytusowym, później białkowym (wykorzystywano własny powielacz, ale korzystano także z „dojść” Leszka Smykowskiego, któremu dostarczano gotowe matryce, do innych podziemnych drukarni) oraz techniką sitodruku, w nakładach sięgających kilkuset egzemplarzy. Ogółem ukazało się prawdopodobnie dwanaście dwustronicowych numerów. Z kolei według informacji aparatu represji, w sumie grupa wydrukowała łącznie ok. 12 tys. „ulotek” (jak pogardliwie nazywano w esbeckim żargonie pisma tzw. drugiego obiegu), z których 10 tys. miało zostać „przejętych operacyjnie i odzyskanych”⁵.

Bezpieka kontratakuje

Grupie od początku bacznie przyglądali się funkcjonariusze SB. Pierwsze mocne uderzenie, które ograniczyło działalność ARO, nastąpiło po opozycyjnych manifestacjach ulicznych, do których doszło w Szczecinie na początku maja 1982 r. W miesiącu przeprowadzono wówczas serię zatrzymań, obejmujących także działaczy studenckiej opozycji. Do ośrodka internowania trafili m.in. Górski oraz Adamkiewicz. „Do czasu zatrzymania go – czytamy w aktach internowanego dotyczących drugiego z wymienionych – pozostawał [on] duchowym przywódcą nielegalnej grupy ARO. Dostarczał wiele tekstów do wydawanych przez tę grupę ulotek. Również po internowaniu, co nastąpiło na skutek decyzji Komendanta Wojewódzkiego MO w Szczecinie w dn. 8 V 1982 r., dostarczał kolejne teksty w postaci grypsów przekazywanych z m[iejsca] odosobnienia. W wielokrotnie prowadzonych z nim rozmowach, a także w przekazywanych grypsach zaświadczał swą nieugiętą postawę antysocjalistyczną i wolę dalszego przywództwa w środowisku ARO”⁶.

W kolejnych miesiącach 1982 r. nastąpiły dalsze internowania studentów zaangażowanych w działalność organizacji. W lipcu do „internatu” trafiła Zofia Halicz, z końcem sierpnia – Małgorzata Narożna, w październiku – Czesław

⁵ Archiwum Instytutu Pamięci Narodowej w Warszawie (dalej: AIPN), 001708/2326, R. Chodorowski, L. Łozienko, *Działalność „Akademickiego Ruchu Oporu” w środowisku studenckim miasta Szczecina*, Legionowo 1985, k. 43–44.

⁶ Archiwum Instytutu Pamięci Narodowej w Szczecinie (dalej: AIPN Sz), 0012/367, t. 3, Wniosek dotyczący uchylecia internowania wobec Marka Adamkiewicza, zatwierdzony przez zastępcę komendanta wojewódzkiego MO w Szczecinie ds. Służby Bezpieczeństwa płk. Mariana Pietrzaka, Szczecin, 23 XI 1982 r., k. 12.



Spreżenie poligraficzne ARO przejęte przez SB 9 listopada 1982 r. Fot. AIPN

Wesołowski (według SB, to właśnie on miał prezentować „najbardziej wrogą postawę” w całej grupie⁷), w listopadzie zaś – Małgorzata Krogulska, Hanna Pawłowska i Wojciech Tadajewski. Ostatnim zatrzymaniom towarzyszyło przejście przez SB materiałów i sprzętu poligraficznego grupy. Szczególne znaczenie miało internowanie Tadajewskiego. W aktach internowanego możemy odnaleźć następującą charakterystykę: „W.T. zaprezentował się jako jeden z głównych działaczy tego ruchu. Jego działalność w ARO obejmuje głównie przygotowanie materiałów do druku w ulotkach ARO, redagowanie tekstów tych ulotek oraz ich wykonywanie, a także organizowanie kolportażu na Akademii Rolniczej. W jego też gestii leży organizowanie punktów poligraficznych wykorzystywanych do produkcji ulotek ARO. Wg dotychczasowego rozpoznania, W.T. należy do kręgu osób z ARO prezentujących najbardziej zdeterminowaną postawę. Jego pozycja w ARO bierze się i stąd, że posiada on najświeższe wiadomości dot. spraw kadry naukowo-dydaktycznej AR, a to z racji, że jego ojciec jest pracownikiem tejże uczelni”. Podczas rozmowy z funkcjonariuszami SB bezpośrednio przed internowaniem Tadajewski miał prezentować „arogancką postawę” i udawać „niewinnego i naiwnego”. Oceniono go jako „ekstremistę”, który swoją działalnością

⁷ *Ibidem*, t. 10, Notatka służbowa dot. Czesława Wesołowskiego, podpisana przez starszego inspektora Sekcji III Wydziału III-1 KW MO w Szczecinie por. A. Kobierskiego, Szczecin, 12 X 1982 r., k. 47.

może doprowadzić do „poważnego zagrożenia w środowisku studenckim, a także zagrożenia bezpieczeństwa wewnętrznego państwa”⁸.

Istotną rolę w rozbiściu ARO odegrała najprawdopodobniej Hanna Pawłowska, która w lipcu 1982 r. została zarejestrowana jako tajny współpracownik SB o pseudonimie „Jurek”. Niestety, materiały dotyczące jej współpracy z aparatem bezpieczeństwa PRL zachowały się tylko w szczątkowej formie. Możemy jednak dowiedzieć się z nich, że wyraziła zgodę na tajne kontakty z funkcjonariuszami pod wpływem szantażu, że jeśli odmówi, zostanie ujawniona jej „wroga działalność” (co wiązało się z określonymi konsekwencjami). Najwyraźniej nie próbowała zbyt ostro oponować, gdyż już podczas „pozyskania” na TW przekazała oficerowi SB pisemne „informacje dotyczące osób i kontaktów związanych z działalnością wydawniczą Akademickiego Ruchu Oporu”⁹. Internowanie Pawłowskiej w listopadzie 1982 r. prawdopodobnie miało służyć uwiarygodnieniu i umocnieniu jej pozycji w środowisku opozycyjnym. Pozostawała ona bowiem zarejestrowanym kontaktem SB aż do lutego 1990 r., choć w jej aktach personalnych zapisano, że TW „nie przekazywał istotnych informacji, jak również unikał spotkań”¹⁰.

Środki zaangażowane przez SB w rozbiściu działalności szczecińskiego ARO były jednak znacznie większe. „Włożony wysiłek w rozpoznanie i likwidację grupy – czytamy w pracy dyplomowej dwóch funkcjonariuszy, przygotowanej w 1985 r. w Wyższej Szkole Oficerskiej MSW im. Feliksa Dzierżyńskiego w Legionowie – w pewnym stopniu charakteryzuje poniższe zestawienie stosowanych środków i form pracy operacyjnej: – wykorzystanie 11 T[ajnych] W[spółpracowników], 6 K[ontaktów] O[peracyjnych], – przeprowadzono 5 kombinacji operacyjnych, – zastosowano 3-krotnie dezinformacje, – korzystano 19 razy ze środków techniki operacyjnej, – przeprowadzono 18 przeszukań, – przeprowadzono 28 rozmów ostrzegawczych, – przeprowadzono 36 rozmów profilaktycznych, – internowano 6 osób, – ostrzeżono 1 osobę, – zatrzymano na 48 godzin 18 osób (na zasadzie wielokrotności), – realizowano 8 zasadzek, – daktyloskopowano

⁸ *Ibidem*, t. 9, Notatka służbowa dot. Wojciecha Tadajewskiego, podpisana przez starszego inspektora Sekcji III Wydziału III-1 KW MO w Szczecinie por. A. Kobierskiego, Szczecin, 8 XI 1982 r., k. 202.

⁹ AIPN Sz, 0010/2680, Kwestionariusz dotyczący Hanny Pawłowskiej, [Szczecin], b.d., k. 7.

¹⁰ *Ibidem*, k. 9.

4 osoby, – dokonano 18 badań porównawczych pisma ręcznego i maszynowego”¹¹. I chociaż wymienione przedsięwzięcia przyniosły wymierny efekt – aktywność opozycyjnej organizacji faktycznie wygasła wraz z końcem 1982 r. – trudno jednak mówić o długofalowym sukcesie SB. Większość studentów, którzy tworzyli ARO, nie zrezygnowała bowiem z działalności antykomunistycznej. Po opuszczeniu ośrodków internowania, do końca lat osiemdziesiątych, angażowali się oni w kolejne inicjatywy opozycyjne, tworząc zręby niezależnego społeczeństwa, które walnie przyczyniło się do upadku PRL. ■

BIBLIOGRAFIA

- Archiwum Instytutu Pamięci Narodowej w Szczecinie.
 Archiwum Instytutu Pamięci Narodowej w Warszawie.
 „Bez wątplenia było warto!” Z Markiem Adamkiewiczem rozmawia Michał Siedziako, Szczecin 2012.
 Kozłowski T., *Niezależne Zrzeszenie Studentów 1980–1989*, [w:] NSZZ „Solidarność” 1980–1989, red. Ł. Kamiński, G. Waligóra, t. 7: *Wokół „Solidarności”*, Warszawa 2010.
 Kozłowski T., Olaszek J., *Internowani w stanie wojennym. Dane statystyczne*, „Pamięć i Sprawiedliwość” 2010, nr 2 (16), s. 507–510.
 Kubaj A., *Nie wyrosli z marzeń. Szczecińska podziemna Solidarność*, Warszawa 2011.
 Kubaj A., „Wiosna nasza!” *Demonstracje uliczne w województwie szczecińskim*, „Biuletyn Instytutu Pamięci Narodowej” 2011, nr 11–12 (132–133), s. 72–79.
 Ozga M., „ARO”, <http://www.encysol.pl/wiki/%E2%80%9EARO%E2%80%9D> [dostęp: 20 X 2017 r.].
 Paziewski M., *Wydawnictwa pozacenzuralne w aglomeracji szczecińskiej (między stanem wojennym a likwidacją Głównego Urzędu Kontroli Prasy i Widowisk)*, [w:] *Narodziny III Rzeczypospolitej. Pomorze Zachodnie w latach 1988–1990*, red. M. Machałek, J. Macholak, Szczecin 2006.
 Relacja Marka Adamkiewicza z 12 X 2017 r.
 Relacja Wojciecha Tadjajewskiego z 12 X 2017 r.
 Wójcikowa S., *Janusz Wojciech Klukowski*, http://www.encysol.pl/wiki/Janusz_Wojciech_Klukowski [dostęp: 20 X 2017 r.].

¹¹ AIPN, 001708/2326, R. Chodorowski, L. Łozienko, *Działalność „Akademickiego Ruchu Oporu”...*, k. 67.



Michał Siedziako (ur. 1985) – politolog, dr, pracownik Oddziałowego Biura Badań Historycznych IPN w Szczecinie. Autor książki „Bez wątplenia było warto!” Z Markiem Adamkiewiczem rozmawia Michał Siedziako (2012).



Rezerwiści WOI w Czerwym Borze. Fot. ze zbiorów Józefa Stachowiaka

I nazywali to Wojskiem Polskim...

W Nowym Domu Poselskim w Warszawie od 8 do 13 listopada była prezentowana wystawa przygotowana przez IPN „I nazywali to Wojskiem Polskim...! Wojskowe Obozy Internowania w Polsce (1982–1983). Zbrodnia komunistyczna. Zbrodnia przeciwko ludzkości”. To hołd oddany opozycjonistom internowanym w stanie wojennym pod pozorem ćwiczeń wojskowych.

W PRL „ludowe” Wojsko Polskie, które pomogło komunistom przejąć władzę po II wojnie światowej, wielokrotnie uczestniczyło w represjonowaniu obywateli oraz tłumiło wraz z bezpieką różnorakie przejawy oporu społecznego. Ponadto rządzący wykorzystywali ustawowy obowiązek powszechnej służby wojskowej do przymusowej izolacji osób uznawanych za wrogie. Wcielanie

tysięcy ludzi m.in. do batalionów pracy i specjalnych kompanii służyło represjonowaniu przeciwników politycznych i czerpaniu korzyści z niewolniczej pracy uwięzionych.

Służbę wojskową jako formę represji wykorzystano również w okresie stanu wojennego. Rada Wojskowa Ministerstwa Obrony Narodowej 23 września 1982 r. zobowiązała gen. Antoniego Jasińskiego, zastępcę szefa Sztabu Generalnego WP ds. organizacyjno-mobilizacyjnych, do utworzenia tzw. kompanii specjalnych. Niespełna miesiąc później, w drugiej dekadzie października, Sztab Generalny WP i Ministerstwo Spraw Wewnętrznych zajęły się organizacją wojskowych obozów internowania (WOI). W pracach, oprócz Jasińskiego, uczestniczyli gen. Florian Siwicki z MON oraz gen. Władysław Ciastoń, płk Józef Sasin, gen. Bogusław Stachura, gen. Józef Beim i gen. Edward Poradko z MSW. Wojsko wzięło na siebie przygotowanie obozów, funkcjonariusze resortu spraw wewnętrznych – sporządzenie list osób, które zamierzano powołać do odbycia służby wojskowej lub ćwiczeń rezerwy, a w istocie zamknąć w wojskowych obozach. W zachowanych dokumentach jest mowa o konieczności „odizolowania”



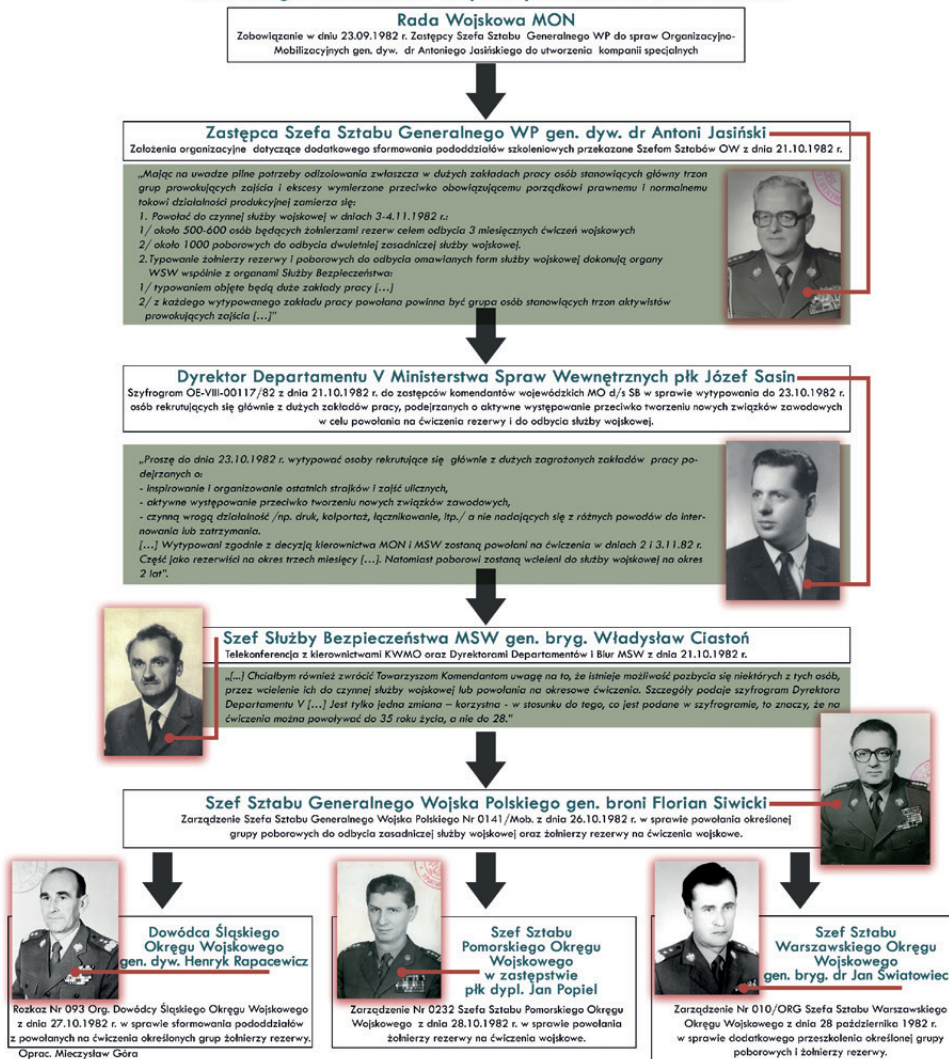
Pamiątka wykonana przez rezerwistów WOI.
Fot. AIPN



Namioty na poligonie WOI w Chełmnie.
Fot. ze zbiorów Archiwum Stowarzyszenia
Osób Internowanych „Chełminiacy 1982”



Chronologia utworzenia Wojskowych Obozów Internowania



Chronologia utworzenia Wojskowych Obozów Internowania.

Fot. ze zbiorów WBH i AIPN

czy „pozbycia się” określonej grupy rezerwistów i poborowych, zatrudnionych w dużych zakładach pracy, „kwestionujących porządek prawny”.

Internowania pod pozorem ćwiczeń bądź służby wojskowej miały na celu izolację najbardziej niepokornych opozycjonistów. Tych, których władza podejrzewała o to, że mogliby zainicjować lub włączyć się w akcję protestacyjną przeciwko

Bydgoszcz, dnia 15 marca 2012 roku

S 85/08/Zk

AKT OSKARŻENIA
przeciwko:

1. Józefowi Sasinowi
2. Władysławowi Ciasionowi
3. Florianowi Siwickiemu

oskarżonym o czyn z art. 231 § 1 i 2 kk w zw. z art. 3 i art. 2 ust. 1 Ustawy z dnia 18 grudnia 1998 roku o Instytucie Pamięci Narodowej – Komisji Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu /Dz.U. Nr 155, poz. 1016 z późn. zm./ w zw. z art. 4 § 1kk

OSKARŻAM:**o to, że:**

w okresie od 21 października 1982 roku do 16 lutego 1983 roku w Warszawie i Chełmnie, działając wspólnie i w porozumieniu jako funkcjonariusze publiczni państwa komunistycznego w strukturach państwa totalitarnego pełniąc funkcje: Józef Sasin Dyrektora Departamentu V Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, Władysław Ciasion Zastępcy Ministra Spraw Wewnętrznych Szefa Służby Bezpieczeństwa, Florian Siwicki Szefa Sztabu Generalnego Wojska Polskiego oraz z ustalonymi i nie żyjącymi funkcjonariuszami Sztabu Generalnego Wojska Polskiego, Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, Wojskowej Służby Wewnętrznej, Komendy Głównej Milicji Obywatelskiej i innymi nieustalonymi funkcjonariuszami Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, Ministerstwa Obrony Narodowej, Sztabu Generalnego Wojska Polskiego, Wojskowej Służby Wewnętrznej, Komitetu Centralnego Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej - **dopuszcili się popełnienia zbrodni przeciwko ludzkości będącej jednocześnie zbrodnią komunistyczną [...]**

z zamierzony wykorzystała ćwiczenia i czyniła wszystko aby zachować zone śledztwo obalilo domniemanie i wojskowych na podstawie – Zarzą-go Wojska Polskiego nr 0141/Mob. t. w sprawie powołania określonej zasadniczej służby wojskowej oraz ojskowe – pokazując ich charakter tycznego.

ieriał dowodowy w szczególności ia pokrzywdzonych, świadków, tne nie cechujące się szukaniem podejrzeni dopuścili się zarzucca- ludzkości będącej jednocześnie ił przestępstwo według polskiej e jego popełnienia. W swoim h czasów, iż najważniejsze są partyjnego i państwowego. e przestępstwa. Nie było dla zującego prawa w tym Kon- omość, tego co czynią, iż za- q faktycznie internowaniem.

państwa totalitarnego wykorzystali Wojsko Polskie do realizacji celów politycznych - zwalczania opozycji demokratycznej. Żądali od dowódców wyznaczonych jednostek wojskowych nadzwyczaj srogiego traktowania wcielonych do wojska działaczy opozycji oraz wykonania narzuconej przez nich, z przekroczeniem prawa decyzji centralnego kierownictwa partyjno-politycznego, z którą się identyfikowali i popierali.

uchwalonej w październiku 1982 r. ustawie o związkach zawodowych, delegalizującej NSZZ „Solidarność” i przekreślającej szanse na reaktywację związku.

W pierwszych dniach listopada 1982 r. sympatyków i członków zdelegalizowanej Solidarności powołano jako „rezerwistów” na trzymiesięczne „ćwiczenia wojskowe” (1447 osób), a poborowych skierowano do odbycia dwuletniej zasadniczej służby wojskowej (264 osoby). Utworzono trzynaście wojskowych obozów internowania – dziesięć dla „rezerwistów” i trzy dla poborowych. Obozy te nazywano kompaniami specjalnymi. Władze PRL utrzymywały, że chodzi o rutynowe „ćwiczenia



Fragment mostu pontonowego na Wiśle, zbudowanego przez rezerwistów WOI w Chełmnie.
Fot. ze zbiorów Archiwum Stowarzyszenia Osób Internowanych „Chełmniacy 1982”

wojskowe”. Internowania w przypadku „rezerwistów” trwały trzy miesiące – do początku lutego 1983 r., a poborowi zakończyli „służbę wojskową” dopiero w 1984 r.

Opozycjonistów zakwaterowano w koszarach wojskowych, prowizorycznych barakach, wagonach towarowych i namiotach. Najgorsze warunki panowały na poligonach. „Ćwiczenia” odbywały się w miesiącach zimowych i płócienne namioty, drewniane lub metalowe baraki nie dawały odpowiedniego schronienia. Wielu rezerwistów i poborowych wyposażono w zniszczone, stare mundury, tenisówki i kalosze. Mieszkańcom okolicznych miejscowości oraz żołnierzom przebywającym w tych samych jednostkach wojskowych wmawiano, że internowani opozycjoniści są groźnymi przestępcami.

Przetrzymani w tych obozach – wśród nich wiele osób niezdolnych do służby wojskowej z powodu poważnych problemów zdrowotnych – byli zmuszani do wykonywania ciężkich, często bezsensownych prac fizycznych, np. kopania dołów, które musieli zasypywać tego samego lub następnego dnia. Kazano także czyścić rowy melioracyjne, karczować, przenosić ciężkie przedmioty (np. atrapy min lub skrzynie z kamieniami), budować i sprzątać tory kolejowe oraz drogi. Poddawano ich wielogodzinnym nocnym przesłuchaniom. Ograniczano lub wręcz uniemożliwiano

kontakty z rodzinami. Brutalnie ich zastraszano, grożąc nawet śmiercią im samym lub śmiercią bliskich. Z kolei cenzurowanie korespondencji, rewizje, podsłuchiwanie, werbowanie spośród nich tajnych współpracowników służyły kontroli i zablokowaniu ewentualnych protestów oraz poznaniu „słabych stron” opozycjonistów, co wykorzystywano później w trakcie przesłuchań.

Żołnierze opozycjoniści przetrzymywani we wszystkich wojskowych obozach wykonywali różnego rodzaju pieczętki, legitymacje, pocztówki, przypinki, obrazki, koperty, krzyżyki i orzelki w koronie z monet. Najczęściej umieszczano na nich napis „Solidarność”, symbole religijne, znaki Polski Walczącej oraz „V”. Niektórzy internowani pisali wiersze i piosenki patriotyczne. Tego rodzaju twórczość była dla nich nie tylko sposobem spędzania czasu wolnego, lecz przede wszystkim okazją do zmanifestowania swojego światopoglądu i przywiązania do tradycji patriotycznej. Te przedmioty stanowią swoistą pamiątkę czasu przeżytego w obozach.

Na przygotowanej przez nas wystawie, objętej patronatem marszałka Sejmu RP Marka Kuchcińskiego, wykorzystano m.in. materiały przekazane przez Stowarzyszenie Osób Internowanych „Chełmniacy 1982”, prokuratora Mieczysława Górę, Archiwum IPN oraz Wojskowe Biuro Historyczne im. gen. Kazimierza Sosnkowskiego w Warszawie. ■

Opracowując tekst, korzystaliśmy z książki Piotra Pawłowskiego *Trzystu z Kępy Panińskiej. Monografia wojskowego obozu internowania dla działaczy „Solidarności” na poligonie wodnym w Chełmnie (5 listopada 1982–2 lutego 1983)*, Koszalin 2008, opracowania *Inteligentna forma internowania. Ćwiczenia i powołania do Ludowego Wojska Polskiego jako forma represji po 13 grudnia 1981 r.*, red. G. Majchrzak, Warszawa 2016 oraz materiałów przekazanych przez prok. Mieczysława Górę.



Kamila Churska-Wołoszczak (ur. 1983) – historyk, dr, pracownik Biura Edukacji Narodowej w Delegaturze IPN w Bydgoszczy. Autorka książki *Referendum ludowe i wybory do Sejmu Ustawodawczego w województwie pomorskim (1946–1947)* (2014) i in.



Piotr Wiejak (ur. 1988) – archeolog, pracownik Biura Edukacji Narodowej w Delegaturze IPN w Bydgoszczy.



Katarzyna Maniewska (ur. 1976) – historyk, dr, pracownik Biura Edukacji Narodowej w Delegaturze IPN w Bydgoszczy. Autorka książki *Kościół katolicki w Bydgoszczy wobec prób laicyzacji i dezintegracji społeczeństwa w okresie rządów Edwarda Gierka (1970–1980)* (2007) i in.



Demonstracja Solidarności przed katedrą św. Jana w Warszawie, 1 maja 1984 r. Fot. AIPN

Kinga Hałacińska

Solidarność na ulicach

O Piotrze Rzewuskim słyszało niewielu, a przecież jest to z pewnością jeden z najbardziej wytrwałych i bezkompromisowych opozycjonistów lat osiemdziesiątych.

Szare teczki z dokumentami z lat stanu wojennego w Instytucie Pamięci Narodowej. Sygnatura akt śledczych: S-103/82. Można w nich przeczytać: „Podejrzany Marek Boszko, syn Józefa, rocznik 1957. Oskarżony m.in. o to, że działając wspólnie i w porozumieniu z Kazimierzem Hałatem w celu przeprowadzenia akcji protestacyjnej, polegającej na uniemożliwieniu odbycia się akademii z okazji rocznicy Rewolucji Październikowej, zakłócił prawidłowe funkcjonowanie Teatru Wielkiego w Warszawie. W ten sposób, że na widowni tego teatru rozrzucił trzy fiolki szklane, zawierające akrylan metylu i dwa granaty łzawiące typu UGŁ-200”. Oskarżonym w tej sprawie był również Hubert Kossowski. „Chłopcy mieli zasmrodzić widownię przed fetą z udziałem towarzyszy radzieckich.

Udało się. Śmierdziało i łyzy leciały, władze musiały zmienić miejsce przeprowadzenia akademii. To była organizacyjnie pośrednio i moja akcja. Dostarczyłem im granat, ale udziału w niej nie brałem. Stało się to 6 listopada 1982 r. Siedziałem już wtedy od dwóch dni na Rakowieckiej” – rozpoczyna opowieść o czasach stanu wojennego Piotr Rzewuski, długowłosy mężczyzna o przenikliwych oczach, dziś przewodniczący stowarzyszenia Solidarność Walcząca w Warszawie.

Młodość dla Solidarności

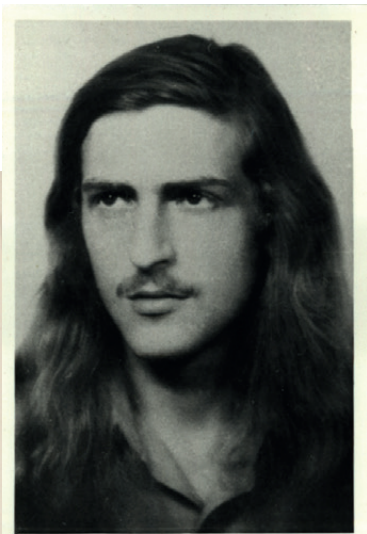
Strajki solidarnościowe wybuchły, gdy miał 24 lata. Cieszył się. Antysystemowość wyniósł z domu rodzinnego. Wola Sławińska to dzisiaj dzielnica Lublina, dawniej majątek jego dziadków. W szkole słyszał o złych obszarниках, którzy gnębili chłopów. Kiedy jako młody chłopak pojechał tam z rodziną, przyjmowano ich ze łzami. Wychowywał się w blokach najpierw w Aninie, potem na podwarszawskim Marysinie. Ojciec, anglista na politechnice, dbał, by syn miał świadomość, co się dzieje w kraju. „W 1968 r. trwał strajk studentów, a my razem z tatą podjechaliśmy pod politechnikę. Wrzucaliśmy dla strajkujących studentów jedzenie. Zawiózł mnie też wtedy na uniwersytet, żebym wiedział i pamiętał” – wspomina. Ta jego wiedza przekładała się na problemy w szkole. Był typem buntownika. W piątej klasie odmówił złożenia przysięgi harcerskiej, założył własną grupę z takimi samymi jak on. W ósmej klasie zawieszono go w prawach ucznia. Poszedł więc do wieczórówki, skończył ją z nagrodami. W liceum już pracował. W 1980 r. ożenił się, na świat przyszło dziecko. Gdy przez Polskę przetaczała się fala strajków, właśnie trafił na etat w warszawskim oddziale Towarzystwa Opieki nad Zwierzętami. Po tygodniu został szefem tamtejszego koła Solidarności. W czerwcu 1981 r. kończyła mu się umowa i nie została przedłużona. Jednak, gdy wybuchł stan wojenny, nadal był wiceprzewodniczącym Komisji Zakładowej NSZZ „Solidarność” przy TOZ. „Nie byłem znanym działaczem, nie internowano mnie. Ale miałem dobre kontakty w regionie, co potem się przydało” – uśmiecha się.

Rankiem 13 grudnia pojechał pod siedzibę Regionu Mazowsze. Żona go powstrzymywała. „Nie ryzykuj, masz małe dziecko” – mówiła, ale on czuł, że trzeba działać. Pod budynkiem stała milicja, pomyślał: „Nic tu po mnie”. Następnego dnia zjawił się w dawnym miejscu pracy. Wraz z Małgorzatą Zembrowską, koleżanką z Solidarności, wynieśli papier, matryce, pieniądze, książ-

ki i powielacz spirytusowy. „Do drukowania się nie nadawał, ale plakaty można było na nim zrobić. Pierwsze »Wrona Orła nie pokona« powstały na Służewie. Spokojne mieszkanie przy ul. Bacha, gdzie mieszkała Małgosia z mężem Marianem, który włączył się do naszej pracy” – mówi Rzewuski. Setkę porozlepiał sam w centrum stolicy. Nikt go nie niepokoił.

W tym czasie spotkał się z Markiem Hołuszką, ukrywającym się członkiem Zarządu Regionu Mazowsza. Ustalili, że coś należy robić. Zaczęli spotykać się z ludźmi z warszawskich zakładów pracy. „Nie byłem robotnikiem, to Marek miał więcej kontaktów. To on organizował MKK (Międzyzakładową Komisję Koordynacyjną). Ja budowałem własną strukturę, niezależnie od struktur związkowych. Na początku były trzy osoby, potem około trzydziestu. Mój sukces polegał na tym, że stworzyłem ją z osób, których nie znałem” – wspomina. Mieli robić akcje ulotkowe, malować na murach. Ucieszył go kontakt z Jackiem Turskim, studentem polonistyki. Wraz z kolegami stworzyli gazetkę „Druk”. Mieli dostęp do informacji i dobry kolportaż.

Rzewuski przez cały czas brał udział w tajnych spotkaniach MKK NSZZ „Solidarność”. W opozycyjnych kontaktach posługiwał się pseudonimami „Nordyk” i „Przemek”. Zauważyli, że w zakładach pracy zaczęły funkcjonować różne podziemne struktury, rywalizujące ze sobą. W czerwcu 1982 r. poznał Teosia Klincewicza, który zakładał grupy do zadań specjalnych. Przypadli sobie do gustu.



Fot. AIPN

Umówili się, że ich chłopcy będą wspólnie zabezpieczać przed ZOMO zapowiadaną na 31 sierpnia demonstrację solidarnościową. Mieli mieć ze sobą butelki z benzyną, kolce, RMG, czyli ręczne miotacze gazowe. Ale nie mieli szczęścia. Konspiracja tym razem zawiodła. Pod adresem, gdzie podali hasło, zamiast odzewu usłyszeli: „Oj, to chyba piętro wyżej”. Ale kolejna wspólna akcja była już sukcesem – na Barbakanie warszawskiej

KWESTIONARIUSZ
osoby rozpracowywanej – sprawdzanej*)

1. Nazwisko i imię RZEWUSKI. Piotr
2. Imiona rodziców i nazwisko panięskie matki Jenny, Barbara Zdziemicka

Starówki wmurowali tablicę poświęconą pamięci ofiar Grudnia. „Ekipa, która ją montowała, udawała robotników. Reszta chłopców obstawiała ich, ale równocześnie malowaliśmy na murach znaki Solidarności Walczącej. Udało mi się zrobić taki piękny na gmachu prokuratury. Inni rozrzucali na ulicach ulotki. Wchodziliśmy na dachy, ale najczęściej szły prosto z ręki. Ktoś wsiadał do autobusu i je zamasyście wrzucał” – relacjonuje Rzewuski.

W więzieniu

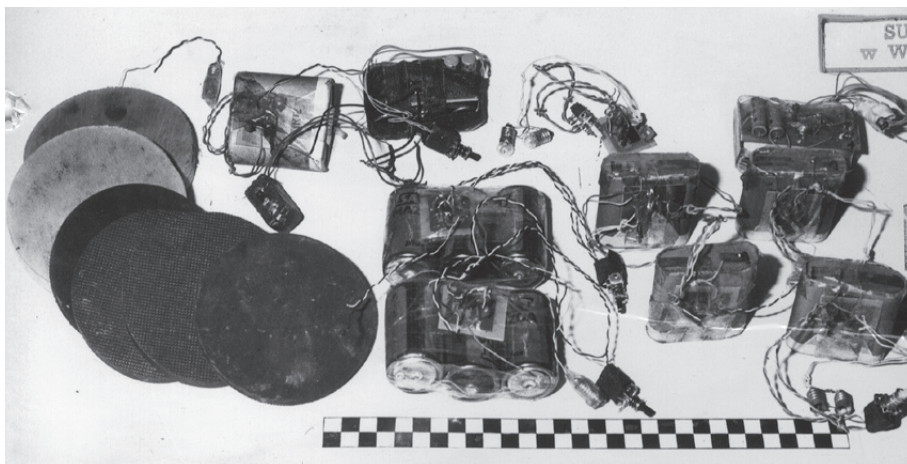
Jego grupa postanowiła postawić 1 listopada 1982 r. na Powązkach Wojskowych krzyż. Wybrali miejsce w okolicach Dolinki Katyńskiej. Widać go było z daleka, ogromny, siedmiometrowy, z dwiema tablicami. Na jednej widniały nazwiska ofiar stanu wojennego, a na drugiej znalazł się fragment wiersza Adama Asnyka. Postawili ten krzyż w nocy. Nad ranem miały przyjść i opiekować się nim panie spod krzyża kwietnego z pl. Zwycięstwa. „Czekamy na nie do świtu, ale nie doczekaliśmy się. Koło siódmej postanowiliśmy się zbierać i gdy szliśmy w stronę wyjścia, nagle ruszyło w naszym kierunku kilku panów po cywilnemu. Wiedziałem, kim są, choć potem w zeznaniach utrzymywałem, że nie wiem. Twierdziłem, że myślałem, że to chuligani lub bandyci, którzy nas zaczepiali. Gdy wtedy, na cmentarzu, zażądali dokumentów, to się odwróciłem i jednemu z nich dałem gazem po oczach. Potem cios w głowę. Moja szybka reakcja ostudziła ich i zdołaliśmy dobiec do furtki” – wspomina. Niestety, najmłodszy z siódemki spiskowców pobiegł między groby i tam go dorwali. Wszyscy biorący udział w akcji dobrze się znali, pracowali razem. Znali swoje dane. Wieczorem sami się zgłosili na komisariat. „Nie wydali mnie, bo byłem z zewnątrz. Znali tylko mój pseudonim. Ale opowiedzieli, że taki ktoś taki jak ja jest, i wspomnieli o wcześniejszych akcjach, w których brali ze mną udział” – opowiada Rzewuski.

Mimo nieprzespanej nocy dotarł na spotkanie do Teosia Klinewicza. Zdał relację z tego, co się wydarzyło. Ostrzegł też przed kolegą z konspiracji o pseudonimie „Tadeusz”. Uważał, że donosi on Słubie Bezpieczeństwa. Choć padał z nóg ze zmęczenia, ruszył na Służew, by ostrzec Zembrowskich. „Chciałem im powiedzieć, że lepiej by oczyścili mieszkanie. Było koło południa. Małgosia mówi: »Poczekaj, dam ci obiad, a potem pójdziesz«. Zasnąłem na stole. Gdy się obudziłem, w kuchni było pełno ubecji. Robili rewizję, a ja udawałem przypadkowego,



Materiały dowodowe znalezione przez SB u Piotra Rzewuskiego. Fot. AIPN

skacowanego gościa, który wpadł na obiad. Zostałem nawet świadkiem rewizji. Gdy wyciągnęli nasze plakaty, powielacz, zacząłem grać zdziwionego. »No, że bym ja wiedział, że wy takie rzeczy macie, to bym do was na obiad nie przychodził«. Esbecy wzięli to za dobrą monetę. Gdy chodziłem do toalety, pozbywałem się z kieszeni rzeczy, które mogłyby mnie zdradzić. Po trzech, czterech godzinach mówię im, że już muszę jechać, a oni sympatycznie, że »jeszcze chwila, bo kolega spisuje protokół, a pan musi podpisać«. I wtedy wszedł do mieszkania ten esbek, który rankiem dostał ode mnie w twarz na cmentarzu. Od razu przestało być miło” – wspomina Rzewuski. W kajdankach wyprowadzono go do czarnej wołgi. Jeden z funkcjonariuszy odbezpieczył broń i straszył zabiciem w razie ucieczki. Zawieźli go nad Wisłę. Pytali, czy słyszał o topielcach. Odpowiedział, że tak, tylko żeby go wywieźli dalej, gdzie woda czystsza. Trafił do Pałacu Mostowskich, siedziby Wojewódzkiego Urzędu Spraw Wewnętrznych. Kapitan Celejewski z miejsca przedstawił, co na niego mają. Padła też propozycja – wyjazd na Zachód w zamian za doprowadzenie ich do ukrywającego się Zbyszka Bujaka. „Prokurator Walczyk chciał zrobić z jego sprawy pokazówkę przed Warszawskim Sądem Garnizonowym, marzyła mu się kariera prawnicza i akt oskarżenia był bogaty. Mówił mi też, co zeznali moi chłopcy. A ja mu na to, żeby ich wypuścił, bo to ja



Urządzenia elektroniczne wykorzystywane do produkcji ładunków wybuchowych. Fot. AIPN

ich do tego namówiłem. I tak się stało – wyszli po pięciu miesiącach. Zatrzymali tylko Mariana Zembrowskiego, bo, podobnie jak ja, twierdził, że wszystko robił świadomie” – wspomina Rzewuski. W więzieniu dał się klawiszom we znaki. Słał łóżko po swojemu, nie składał w kostkę ubrania. Naczelnik więzienia skarżył się jego żonie, że tak krnąbrnego więźnia jeszcze nie miał. Gdy siedział w celi razem z Janem Rulewskim i z Edkiem Mizikowskim, już nikt nie żądał od nich ścielenia łóżek. Zorganizowali głodówkę, bo zbliżała się wizyta Jana Pawła II w Polsce. Rozprawa była cały czas w toku. Prokurator żądał dla Rzewuskiego czterech lat, jednak do ogłoszenia wyroku nie doszło. Po dwóch godzinach sąd stwierdził, że nie jest właściwy do rozpoznania sprawy. Przyszedł lipiec 1983 r., a wraz z nim amnestia.

Walki z komuną ciąg dalszy

Po dziewięciu miesiącach spędzonych w więzieniu Piotr Rzewuski wrócił do żony i dziecka. Dała sobie radę, była otoczona wsparciem ludzi z Solidarności. Postanowili odpocząć, wybrali się nad Wigry. Wtedy odwiedził ich Tomek Karpiński, najmłodszy z grupy stawiającej krzyż. Osiemnaste urodziny obchodził w więzieniu, ale chciał coś robić dalej. Postanowili dokończyć sprawę upamiętnienia pomordowanych w kopalni „Wujek”. Tym razem na Powązkach miała stanąć tablica z ich nazwiskami. „Zrobiliśmy to w ciągu dnia. Po prostu weszliśmy w rozmodlony



Urządzenia miotające ulotki. Fot. AIPN

tłum pań. Byłem z nimi w stałym kontakcie, bo wcześniej wydałem im śpiewniczki. Przyszły, śpiewały, modliły się, a my w tym czasie murowaliśmy. Spokojnie wyszliśmy z cmentarza” – mówi Rzewuski.

By zarobić na utrzymanie rodziny, poszedł do pracy w ośrodku opieki społecznej na Grochowie – tam, gdzie pracowała jego żona. W innych miejscach odmawiano mu zatrudnienia, gdy tylko przychodziły jego papiery. Z Grup Oporu nie zrezygnował – z chłopcami od Klincewicza rozrzucali ulotki. Rzewuski stale rozmyślał, jak robić to lepiej, skuteczniej. Dzięki znajomym z nowego miejsca pracy trafił na Krzysztofa Michalskiego. Chłopak był konstruktorem z zakładów urządzeń telefonicznych ZWUT i miał swoiste hobby – na każde święta konstruował petardy. Rzewuski postanowił, że skorzystają z jego talentów. W styczniu 1984 r. rozpoczęli eksperymenty. Wypchali stalową rurę gazetami i środkiem przygotowanym przez Krzysztofa. Gazety co prawda wyleciały, ale przypalone. Po wielu próbach zdecydowali się na używanie do swoich wyrzutników pirotechnicznych dwudziestopięciocentymetrowej rury PCV, zamkniętej od dołu krążkiem. Po raz pierwszy odpalili je na Starówce. „Lont był krótki. Za daleko nie mogliśmy odejść. Dopóki dla ubeków to była nowość, byliśmy bezpieczni” – wspomina. Na ulotkach napisali po prostu, że „Solidarność Walczy”. Nie przestali kombinować dalej. Wprowadzili elektroniczny opóźniacz zapłonu. Wszystko po to, by mieć półtorej minuty na odejście. „Pierwszą pokazówkę zrobiliśmy między

pl. Konstytucji a składnicą harcerską. Potem te wyrzutniki zaczęli stosować inni chłopcy z Grup Oporu” – opowiada Rzewuski. Tą metodą fruwały ulotki we Wrocławiu, w Katowicach, Częstochowie, Poznaniu i Szczecinie. Było o nich głośno.

Głośno było na warszawskich ulicach, gdy Grupy Oporu odpalały tzw. gadały. Były to urządzenia nagłaśniające domowej produkcji, magnetofony z głośnikiem zasilane akumulatorem. Uruchamiali je, gdy odchodzili na odległość kilkudziesięciu kroków. Dzięki temu urządzeniu warszawiacy usłyszeli w rocznicę Powstania Warszawskiego głos Zbigniewa Bujaka, a więźniowie na Rakowieckiej solidarnościową audycję.

W 1985 r. Rzewuski rozluźnił jednak kontakty z ludźmi od Klincewicza. Powodem był wspomniany mężczyzna o pseudonimie „Tadeusz”. Człowiek, do którego Rzewuski nie miał zaufania, został prawą ręką Teosia i oczekiwał, że Piotr ujawni osoby, z którymi pracuje. A on chciał zachować niezależność. „Wyczuwałem, że próbuje wnikać w różne struktury, chroniłem więc swoją” – tłumaczy. Wtedy oskarżono go o malwersacje. Oddał więc swojemu zastępcy, Mariuszowi Zielińskiemu, rozliczenie finansowe, wyjaśnił, ile kosztowały poszczególne akcje i podpisał dokument swoim imieniem i nazwiskiem.

W maju wezwano go na przesłuchanie, esbecy zaproponowali mu współpracę. Odmówił. W lipcu przyszli po niego pierwszego dnia pracy, po powrocie z urlopu. W Pałacu Mostowskich zobaczył na biurku funkcjonariusza swoje rozliczenie. Dokument stanowił jedyny dowód w kolejnej sprawie, jaką mu wytoczono. Znowu trafił na Rakowiecką 31 lipca 1985 r. „Zainteresowała się mną nawet telewizja” – uśmiecha się. Wyparł się wszystkiego. Zakwestionował swój podpis. Sędzia Kołtuniak i prokurator Aleksandrowicz żądali pięciu lat więzienia. W uzasadnieniu była mowa o terroryzmie i wysadzaniu komisariatów. Dostał dwa i pół roku. Wyrok się nie uprawomocnił, bo znów przyszła amnestia. Wyszedł po czternastu miesiącach, jako jeden z ostatnich. W styczniu 1986 r. przyszło na świat jego kolejne dziecko. Niestety, martwe.

Pod cełą na Rakowieckiej Rzewuski poznał Zbigniewa Romaszewskiego. Gdy tylko wyszedł, poszedł mu podziękować za pomoc. A on na to: „Ty mi nie dziękuj, tylko się weź do roboty”. Zaczął więc działać w Komisji Interwencji. Podjął pracę w spółdzielni Unikom, został przedstawicielem handlowym. Zaangażowali go ludzie, których poznał w Ursusie. Wszyscy konspirowali, a pomocą służył im



Piotr Rzewuski. Fot. Wikimedia Commons

adwokat Bogusław Nizieński – wspaniały mecenas, do którego mogli się zwrócić z każdym problemem. To wtedy trzeba było przewieźć kilka osób na spotkanie z Czechami. Rzewuski pożyczył poloneza i pojechali: Jacek Kuroń, Zbigniew Romaszewski, Anatol Lawina i Jan Lityński. Mieli dojechać w Sudety, ale samochód zepsuł się w Rawie Mazowieckiej. Żaden mechanik nie podjął się naprawy. Wrócili na hoku do Warszawy i przesiedli się do fiata. „Mojego służbowego. Dotarliśmy na umówione spotkanie z kilkugodzinnym opóźnieniem” – relacjonuje Rzewuski. Przerzucał też powielacz dla Karty. Poprosił go o to Zbigniew Janas. Mieli go dostarczyć Czechom, a miejscem spotkania był szczyt Grześ w Tatrach Zachodnich. Powielacz ważył 30 kilogramów i ledwo mu się udało go wynieść z Grzegorzem Podbielskim z Doliny Chochołowskiej.

„Pod koniec lat osiemdziesiątych nie miałem poczucia, że komuna się kończy. Raczej, że nasza walka jest beznadziejna. Towarzystwo się wykruszało. I nie chodzi mi o aktywnych działaczy, ale o wspomagającą grupę. Ludzie byli zmęczeni. Miałem wrażenie, że przyzwolenie społeczne na naszą działalność jest na wyczerpaniu. Dlatego początek »okrągłego stołu« przyjąłem z ulgą” – opowiada. Wykonał jedną z pierwszych pieczętek Komitetu Obywatelskiego. Mieli startować do Sejmu. Najpierw miały się odbyć prawybory środowiskowe, a potem pojawił się pomysł ze zdjęciami z Lechem Wałęsą. „Często słyszałem, że uważają go za bufona i buca. No to zapytałem, dlaczego nie prawybory, dlaczego godzicie się na zdjęcie

z człowiekiem, którego nie szanujecie? Przecież z waszymi nazwiskami przejdziecie na pewno. I wtedy usłyszałem: »Jak ty możesz!«. Jedyne Jacek Kuroń był szczery: »Wiesz, Piotrek, ja czuję, że nawet gdyby zdjęcie z małpą miałooby mnie tam wprowadzić, to ja się na to zdecyduję«. Powiedział to otwarcie” – wspomina Rzewuski.

Zapomniany bohater

Po 1990 r. wyłączył się z działalności politycznej. Do środowiska Grup Oporu „Solidarni” miał dystans. W 2005 r. Kazimierz Hałat zaprosił go na spotkanie dawnych kolegów. Miała być mowa o „Tadeuszu”, czyli Marianie Pękalskim, który w czasach komuny posługiwał się nazwiskiem Kotarski. Był majorem kontrwywiadu, skierowanym do rozpracowywania opozycjonistów. Wszystko się wyjaśniło.

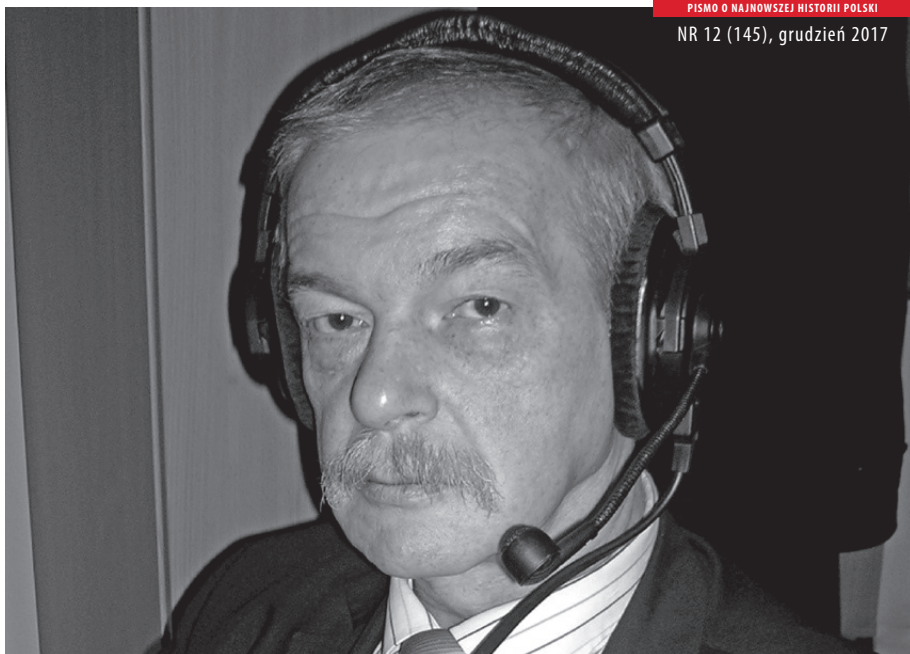
Wtedy poznał Włodzimierza Domagalskiego z Solidarności Walczącej z Łodzi, który przymierzał się do pisania o Grupach Oporu. Zaprosił go na spotkanie Solidarności Walczącej. „Poszedłem i zostałem. Był tam Edek Mizikowski, którego znałem z pierwszej odsiadki na Rakowieckiej i MRKS-u (Międzyzakładowego Robotniczego Komitetu Solidarności). W czasie komuny zdarzało się nam razem coś robić. W 1987 r. MRKS wszedł w struktury SW” – wyjaśnia. „Czułem się w tym środowisku dobrze. Byli podobni, tylko nie chcieli w 1989 r. pójść na kompromis z czerwonym. Spotkałem w opozycji Teosia Klincewicza, a nie Kornela Morawieckiego. Tylko że wtedy nie pytało się: »Skąd jesteś?«. – Myślę, że moje środowisko i Solidarność Walcząca tylko przez przypadek nie były razem w tamtym czasie. Ich cele i metody były podobne, albo nawet takie same” – podkreśla Rzewuski.

Po 1990 r. wszystkie bezkompromisowe odłamy opozycji antykomunistycznej były skazane na niepamięć. Zepchnięto je na margines. Tak się stało też z Solidarnością Walcząca i z Grupami Oporu „Solidarni”. Rzewuski na uhonorowanie musiał czekać do 2009 r. – odznaczył go wówczas Krzyżem Komandorskim Orderu Odrodzenia Polski prezydent Lech Kaczyński. ■



Kinga Hałacińska (ur. 1967) – dziennikarka, współpracuje z wieloma pismami. Członek Warszawskiej Rodziny Katyńskiej oraz Stowarzyszenia Pokoleń Legionowych i Katyńskich.

Stanisław Możejko w 2007 r. Fot. Polskie Radio Szczecin/Olaf Nowicki



Artur Kubaj

Walka, upór i osamotnienie

Stanisław Możejko (1954–2017)

Szczecinianin Stanisław Możejko, absolwent Technikum Budowy Okrętów, rozpoczął w 1972 r. pracę w Morskiej Stoczni Remontowej Świnoujście. W tym najbardziej wysuniętym na północny zachód polskim mieście pozostał przez całe życie. Stamtąd też nieustannie upominał się o prawa obywatelskie, działając w Solidarności.

Jego niepokromiony charakter nie pozwalał mu na obojętność wobec przejawów niesprawiedliwości. Już w 1976 r. znalazł się w grupie osób, które zaprotestowały przeciwko postępowaniu jednego z brygadzistów wobec podwładnych, i jako pierwszy podpisał petycję z żądaniem usunięcia go z zajmowanego stanowiska. Wkrótce sam musiał się na cztery lata pożegnać z pracą

w swoim zakładzie. Wykorzystał jednak ten czas na studia na wydziale elektrycznym Politechniki Szczecińskiej. W 1980 r. Możejko, jak większość jego kolegów z MSR, zasilili Solidarność, choć początkowo, z racji młodego wieku i krótkiego stażu zawodowego, nie odgrywał większej roli w jej strukturach zakładowych. We wrześniu 1981 r. zaangażował się w proces organizacji samorządu pracowniczego w MSR zgodnie z wytycznymi tzw. Sieci – wiodących zakładów pracy NSZZ „Solidarność”. Dzięki temu zawarł liczne znajomości z osobami powołującymi rady pracownicze w całym kraju. W stanie wojennym był jednym z czterech internowanych działaczy opozycji świnoujskiej. W zakładzie karnym w Wierchowiu spędził trzy i pół miesiąca. Wówczas to, na skutek najść i gróźb funkcjonariuszy Służby Bezpieczeństwa, oczekująca dziecka żona Możejki poroniła.

Aktywność i pomysłowość Stanisława Możejki w upominaniu się o swobodną działalność związkową powodowały, że wielokrotnie dokonywano u niego rewizji i zatrzymywano. W 1983 r., z inspiracji SB, został zwolniony z pracy. Był też karany przez Kolegium ds. Wykroczeń przy Prezydencie Miasta w Świnoujściu. Nie oszczędzano jego rodziny i najbliższych przyjaciół. Upór i determinacja Możejki sprawiły, że stał się liderem świnoujskiej Solidarności, najlepiej zorganizowanej struktury związku na Pomorzu Zachodnim, nie licząc stolicy regionu – Szczecina. Doświadczenia z wymiarem sprawiedliwości i konieczność obrony swoich racji zaowocowały znajomością ze świnoujskim adwokatem Bohdanem Kopczyńskim (po 1989 r. posłem Obywatelskiego Klubu Parlamentarnego oraz Ligi Polskich Rodzin), a później możliwością korzystania z konsultacji prawnej, dotyczącej działalności opozycyjnej. Po dyskusjach z Kopczyńskim zrodziła się koncepcja rejestrowania ogniw Solidarności w zakładach pracy w oparciu o prawo PRL.

Walka o komitety założycielskie

W listopadzie 1986 r., kilka miesięcy po ogłoszeniu przez władze amnestii dla więźniów politycznych, spodziewając się złagodzenia oficjalnego stosunku do inicjatyw społecznych, Możejko, wówczas pracownik Przedsiębiorstwa Państwowego Żegluga na Odrze w Świnoujściu, podjął pierwsze kroki zmierzające do zalegalizowania zakładowych struktur niezależnych związków zawodowych, tzw. komitetów założycielskich NSZZ „Solidarność”. Początkowo dotyczyć to miało MSR w Świnoujściu oraz Zarządu Portu Szczecin-Świnoujście (Zakładu Przeładunków



Członkowie komitetu założycielskiego „S” w „Warskim” oraz wspomagający Andrzej Milczanowski, Stanisław Możejko i Mieczysław Lisowski przed gmachem Sądu Najwyższego w Warszawie w 1987 r. Fot. ze zbiorów autora

Świnoujście). Możejko, powołując się na stosowne zapisy ustawy z 8 października 1982 r. o związkach zawodowych, złożył w Sądzie Wojewódzkim w Szczecinie wnioski o zarejestrowanie obu komitetów, załączając wymagane prawem podpisy założycieli oraz statuty tych organizacji. Już kilka dni później, 14 listopada 1986 r., sędzia Sądu Wojewódzkiego w Szczecinie wydał postanowienia w tych sprawach, w obu przypadkach odmawiając wpisu do rejestru związków zawodowych z uwagi na uchybienia w nazwie. W opinii sądu winna ona zawierać jedynie oznaczenie „związek zawodowy pracowników” i w dalszej części nazwę danego zakładu pracy (sąd dopuszczał jednak, co ciekawe, dodanie określeń „niezależny” czy „samorządny”). Niedopuszczalne miało być posłużenie się w nazwie słowem „Solidarność”. Ponadto, z uwagi na działalność w MSR legalnego, bo zrzeszającego osoby lojalne wobec władz komunistycznych, Niezależnego Samodzielnego Związku Zawodowego Pracowników MSR, niemożliwe było, w ocenie sądu, rozpoczęcie działalności drugiego związku w tym zakładzie, jako niezgodne z art. 60 ust. 3 ustawy o związkach zawodowych („W okresie, którego termin końcowy określi Rada Państwa, w zakładzie pracy działa jedna organizacja związkowa”). Możejko

zaskarżył owe postanowienia, wnosząc rewizję do Sądu Najwyższego i powołując się na treść art. 20 ust. 1 tej samej ustawy („Związek zawodowy nabywa osobowość prawną oraz prawo do działania z dniem zarejestrowania”), a dodatkowo wskazując na naruszenie przez ustawodawcę konwencji nr 87 oraz 98 Międzynarodowej Organizacji Pracy, ratyfikowanych przez Radę Państwa PRL. W ramach działań wspierających skuteczność złożonej rewizji 28 listopada 1986 r. grupa siedmiu prawników, członków działającego niejawnie Komitetu Helsińskiego, złożyła do prezesa Trybunału Konstytucyjnego wniosek, by zbadał zgodność art. 60 ust. 3 z konstytucją i konwencjami międzynarodowymi. Możejko kontaktował się w tej sprawie z mec. Piotrem Andrzejewskim. Nie czekając na rozpatrzenie tego wniosku, Sąd Najwyższy oddalił rewizję, a w uzasadnieniu podtrzymał argumentację sądu wojewódzkiego. Stwierdził również, że nie dostrzegł sprzeczności z konwencjami międzynarodowymi, podnoszonej we wniosku do Trybunału.

Poszukiwanie sojuszników

Próba rejestracji komitetów założycielskich NSZZ „Solidarność” w zakładach pracy Świnoujścia była pierwszą w kraju inicjatywą tego typu. Mimo negatywnych rozstrzygnięć sądu, działania członków komitetów założycielskich spotkały się z poparciem pracowników obydwu zakładów i przyczyniły się do aktywizacji robotniczego środowiska opozycyjnego. Możejko zwrócił się wobec tego z prośbą do liderów szczecińskiej Solidarności, zarówno do Mariana Jurczyka, jak i do Andrzeja Milczanowskiego, o wsparcie swojej idei jako jedyne w zasadzie środka legalnego kreowania niezależnych struktur społecznych, licząc na podjęcie podobnych działań w Szczecinie. Oczekiwał też rychłego wystąpienia o rejestrację Komitetu Założycielskiego NSZZ „Solidarność” w Stoczni im. Adolfa Warskiego – największym zakładzie pracy w regionie, stanowiącym symbol walki z władzami komunistycznymi. Skuteczna rejestracja komitetu miała być wzorem dla kolejnych takich inicjatyw w całym regionie i w kraju. Idea Możejki nie spotkała się z uznaniem Jurczyka, w którego opinii stan wojenny nie stanowił kresu legalnej działalności Solidarności, wobec czego zbędne było, jego zdaniem, kreowanie nowych struktur. Zainteresował się nią jednak Milczanowski. W styczniu 1987 r. spotkał się on z Możejką, a relację z przebiegu tych rozmów przedstawił Radzie Koordynacyjnej NSZZ „Solidarność” Regionu Pomorze Zachodnie. Członko-

wie RK uznali nową inicjatywę za godną propagowania – mimo sceptycznego nastawienia tego środowiska do jakiegokolwiek jawnej działalności. Pod koniec lutego 1987 r. szczeciński „Grot”, pismo RK i tajnej komisji zakładowej NSZZ „Solidarność” w „Warskim”, zrelacjonował wydarzenia ze Świnoujścia, przedstawiając bliżej sylwetkę Stanisława Możejki oraz wzory dokumentów rejestracyjnych komitetów założycielskich. Był to swego rodzaju instruktaż postępowania dla działaczy podziemia w regionie.

Milczanowski opowiedział się za rejestracją komitetów także na forum Tymczasowej Komisji Koordynacyjnej. Na jednym z kolejnych posiedzeń TKK w Gdańsku, pod koniec marca 1987 r., przekonywał zebranych o konieczności kontynuowania procesu rejestracji związków zawodowych i zachęcał kierownictwo Solidarności do zaangażowania się w ten proces. Spotkało się to ze zróżnicowanymi reakcjami członków gremiów kierowniczych związku. Do pomysłu rejestracji komitetów udało się przekonać Antoniego Stawikowskiego, reprezentanta regionu toruńskiego w TKK, i na początku maja 1987 r. trzy takie komitety powstały w toruńskich zakładach pracy: „Geofizyce”, „Merinoteksie” i „Elanie”. Kolejny wniosek złożyli działacze Solidarności w Zakładach Mechanicznych „Ursus”. Także w Szczecinie przystąpiono do tworzenia komitetów założycielskich. Próby zawiązania komitetu w „Warskim” podjął się Władysław Dżiczek, członek Rady Koordynacyjnej i Tajnej Komisji Zakładowej. Bezpośrednio po odmowie jego rejestracji, na początku lipca 1987 r., RK wystosowała apel do członków i sympatyków związku o tworzenie podobnych jednostek w innych zakładach pracy. Zwróciła się także do zagranicznych central związkowych o podjęcie solidarnościowych akcji poparcia i protestu na forum międzynarodowym przeciwko bezprawnym działaniom władz PRL wobec nowych komitetów. Po kolejnych odmownych rozstrzygnięciach sądu założyciele wskazywali w swych rewizjach na to, że do legalnie działających związków zawodowych należało mniej niż 50 proc. załogi, przez co ponad połowa pracowników była pozbawiona reprezentacji i ochrony związkowej. Wszystkie wyroki Sądu Najwyższego były jednak identyczne, tj. oddalające rewizję. Chociaż orzeczenia sądów odpowiadały oczekiwaniom najwyższych władz PRL, w kierownictwie SB narastała świadomość, że orzecznictwo to pozostawało w zasadniczej sprzeczności z obowiązującym w Polsce prawem, co potwierdzała treść opracowania Zespołu Analiz MSW z lipca 1987 r. Stwierdzono w nim w szczególności: „Z punktu



Podczas rozprawy rewizyjnej przed Sądem Najwyższym w Warszawie w 1987 r. Od lewej NN, Andrzej Milczanowski, Jan Kot, Stanisław Możejko i Władysław Dzikzek. Fot. ze zbiorów autora

widzenia ustawy o związkach zawodowych nie istnieją formalnoprawne przeciwwskazania dla istnienia wielości związków zawodowych i ich central. W obecnych warunkach wewnętrznych Polski oraz z uwagi na uwarunkowania międzynarodowe dotychczasowe utrzymywanie O[gólnopolskiego] P[orozumienia] Z[wiązków] Z[awodowych] jako monopolisty związkowego wydaje się coraz trudniejsze. Może wystąpić sytuacja, kiedy niezależnie od postawy i opcji władz zaczną powstawać inne związki zawodowe, funkcjonujące poza strukturą OPZZ. Istnieje więc konieczność przejścia przez władzę inicjatywy w tworzeniu pluralizmu związkowego”.

Władze skupiły się odtąd na nowej taktyce Solidarności, zauważając, że proces rejestrowania komitetów założycielskich w zakładach pracy był drugim już etapem – po ujawnianiu się Tymczasowych Rad NSZZ „Solidarność” w regionach – walki o legalizację związku. Sugerowano też, że próby rejestracji były skoordynowane z trzecią pielgrzymką Jana Pawła II do Polski. Na podstawie wnikliwej analizy wypowiedzi przedstawicieli kierownictwa Solidarności dostrzeżono, że w tamtym czasie legalizacja NSZZ „Solidarność” oraz „formalnoprprawne usankcjonowanie pluralizmu związkowego i społecznego” należały do „najważniejszych celów wytyczonych przez te środowiska”. Władze miały świadomość, że usankcjonowanie pluralizmu związkowego doprowadzi w późniejszym czasie także do pluralizmu politycznego. Co więcej, moralne poparcie dla idei pluralizmu szeroko akcentował

też papież Jan Paweł II w czasie swojej wizyty w Polsce. Pobyt w PRL w maju 1987 r. Francisa Blancharda, dyrektora generalnego Międzynarodowego Biura Pracy MOP, a także jego spotkania z czołowymi postaciami kierownictwa Solidarności władze oceniły jako wyraz „angażowania się państw kapitalistycznych” w sprawy polskie.

W lipcu 1987 r. Milczanowski zaprosił Możejko do Szczecina. W szczecińskim porcie Możejko pomógł założyć komitet Tadeuszowi Olczakowi i Edwardowi Radziewiczowi, a Zbigniewowi Zybale, swojemu przyjacielowi ze Świnoujścia, towarzyszył przy zawiązaniu komitetu założycielskiego w Komunalnym Przedsiębiorstwie Robót Inżynieryjnych. Jego pomysłem było także nadanie temu komitetowi nazwy „Jedność”, w ten sposób bowiem zamierzał się przekonać, czy władza odmawia rejestrowania związku jedynie pod nazwą „Solidarność”, czy też sama nazwa ma znaczenie drugorzędne. W sierpniu 1987 r. na zaproszenie Józefa Piniora, członka Tymczasowej Rady NSZZ „Solidarność” Dolnego Śląska, Możejko wyjechał do Wrocławia, gdzie asystował przy zakładaniu dolnośląskich komitetów.

W akcję tworzenia komitetów w tamtym regionie był zaangażowany Eugeniusz Szumiejko, przewodniczący RKS NSZZ „Solidarność” Dolny Śląsk. Pod koniec sierpnia 1987 r. powstały dwa ogniwa związku: we wrocławskim „Polarze” i w Zakładach Koksowniczych w Wałbrzychu. Nie powiodły się natomiast próby powołania komitetu w Zakładach im. Hipolita Cegielskiego w Poznaniu – tam bowiem sytuację kontrolowała poznańska SB.

W styczniu 1988 r. Możejko, wspólnie z dziesięcioma przedstawicielami komitetów ze Szczecina i Świnoujścia, zwrócił się o pomoc dla szykanowanych pracowników, członków komitetów założycielskich Solidarności, do rzecznika praw obywatelskich, prof. Ewy Łętowskiej. W skierowanym do niej piśmie wnioskował o postawienie przed Trybunałem Stanu członków Rady Państwa PRL za to, że od 25 listopada 1985 r., tj. od ogłoszenia w Dzienniku Ustaw jednolitego tekstu ustawy o związkach zawodowych, opóźniali oni wydanie przepisu wykonawczego dotyczącego terminu, od którego – z mocy art. 60 ust. 3 ustawy – mogłaby rozpocząć działalność w zakładzie pracy również druga i kolejna organizacja związkowa (oprócz już działającej). Stanowiło to, zdaniem Możejki, działanie sprzeczne z wolą ustawodawcy. W odpowiedzi prof. Łętowska odmówiła jednak zajęcia się tą sprawą, argumentując: „RPO nie zamierza uzurpować sobie prawa do zastępowania czy wyręczania ośrodków decyzji politycznych w podejmowaniu przez nie ocen i działań”.

» **Nie miał własnego mieszkania, samochodu ani większych oszczędności. Żył ze środków pomocy społecznej i pomocy życzliwych ludzi.** »

o uzyskanie dla niego poparcia od przywódcy Solidarności Lecha Wałęsy. W tym celu grupa kilkunastu szczecińskich działaczy Solidarności udała się 27 lutego 1988 r. na spotkanie z Wałęsą do Gdańska. Podczas rozmów Możejko „wychodził ze skóry”, by przekonać Wałęsę, ten jednak, kończąc godzinne spotkanie, lekceważąco skwitował argumenty Możejki: „Dajcie inne tematy, demagoga macie! Miły chłopak, ale demagog...”

Niezrażony Możejko nadal propagował zakładanie komitetów w regionie i w całym kraju. Oprócz szczecińskich struktur Solidarności korzystał także z pomocy Kornela Morawieckiego, lidera Solidarności Walczącej. Warto podkreślić, że zarówno w maju, jak i w sierpniu 1988 r. członkowie „komitetów Możejki” stawali na czele strajków w szczecińskim porcie i w Wojewódzkim Przedsiębiorstwie Komunikacji Miejskiej, a także w całej Polsce: w Nowej Hucie, Gdańsku i Stalowej Woli. Wybory czerwcowe 1989 r. nie zakończyły starań Możejki o realizację jego koncepcji.

Zapomniany prezydent

Działalność opozycyjna otworzyła przed Możejką możliwości udziału w organizowaniu nowej rzeczywistości. Po 1989 r. Możejko był wybierany przez kilka kadencji na członka rady miejskiej w Świnoujściu, a w latach 1998–2000 pełnił funkcję prezydenta miasta. Wykonując te obowiązki, podjął m.in. działania na rzecz budowy tunelu łączącego Świnoujście z lądową częścią kraju.

Wydawać by się mogło, że osoby tak aktywne i zdeteminowane jak Stanisław Możejko powinny się znakomicie odnaleźć w demokratycznej rzeczywistości. Jak się jednak okazało, w nowo ukształtowanym porządku Rzeczypospolitej został on zmuszony, podobnie jak wielu innych działaczy Solidarności, do pozostania na marginesie, często bez środków do życia. Nie miał własnego mieszkania, samochodu ani większych oszczędności. W ostatnich latach żył ze środków po-

Aby upowszechnić ideę zakładania komitetów, Możejko, przekonany do swojego pomysłu, który jego zdaniem szybko i skutecznie, upowszechniony w skali całego kraju, mógł dokonać przełomu politycznego, podjął starania



Pogrzeb Stanisława Możejki. Fot. Polskie Radio Szczecin/Olaf Nowicki

mocy społecznej i dzięki pomocy życzliwych ludzi. Do kresu swoich dni zabiegał o prawa obywateli, stawał w obronie lokatorów mieszkań komunalnych przeciwko Urzędowi Miasta Świnoujście, ostatnio napisał także traktat poświęcony reformie sądownictwa, który, podobnie jak kwestię zakładania komitetów Solidarności w latach osiemdziesiątych, pomagał mu spopularyzować Kornel Morawiecki.

Stanisław Możejko zmarł w przeddzień swoich 63. urodzin, 12 kwietnia 2017 r. w Świnoujściu. Na jego pogrzebie zjawili się setki mieszkańców miasta i regionu, głównie przyjaciele z opozycji. Kornel Morawiecki żegnał przyjaciela słowami Cypriana Kamila Norwida. I nawiązując do nich, mówił: „Ja nie pytam, czemu Staszek młodo umarł, umrzemy wszyscy. Pytam, czemu Staszek umarł w opuszczeniu. Czemu jego idee, jego walka, upór, jego śmiałość, przenikliwość były tak osamotnione. On chciał Polski praworządnej, taką Polskę sobie wymarzył. Takiej Polsce poświęcał siły, czas, życie. I chciałbym obiecać Ci, Staszku, że taką Polskę – praworządną, wolną, solidarną, pociągniemy za Tobą. Że to, czego chciałeś, się ziści. Że będziemy Twoimi naśladowcami. Za Twoją walkę, Twoje życie, bardzo Ci dziękujemy”. Andrzej Milczanowski, żegnając przyjaciela, podkreślał jego wyjątkowe zasługi dla Świnoujścia, Szczecina, regionu i Polski. Wymieniał wielkie zadania, których się podjął, tj. zakładanie komitetów Solidarności w latach osiemdziesiątych, działalność społeczną w roli radnego i prezydenta Świnoujścia oraz pracę w charakterze wydawcy i redaktora „Wyspiarza”, a później „Nowego Wyspiarza”, na koniec zaś starania

o budowę tunelu łączącego Świnoujście ze stałym lądem. Powiedział o nim: „Staszek był człowiekiem wielkiego formatu, był człowiekiem wielkich zasług, był niezłomnym człowiekiem Solidarności, twardo walczącym o Solidarność”.

Mimo niewątpliwych zasług, Stanisław Możejko nie znalazł uznania w oczach szczecińskich historyków odpowiedzialnych za przygotowanie najnowszej edycji *Encyklopedii Szczecina*. Milczy ona na temat działalności Możejki, podobnie jak pomija wielu innych zasłużonych dla polskiej walki o niezależność od sowieckiej okupacji, jak choćby Marka Adamkiewicza, Aleksandra Krystosiaka czy gen. Mieczysława Borutę-Spiechowicza. ■

BIBLIOGRAFIA

- Kubaj A., *Komitety Założycielskie NSZZ „Solidarność” (4 XI 1986–27 II 1988)*, [w:] *Zarejestrujcie nam „Solidarność”. Strajk sierpniowy 1988 r. w Szczecinie*, red. A. Kubaj, M. Maciejowski, Szczecin 2009, s. 57–69.
- Kubaj A., *Stanisław Możejko – pomysłodawca komitetów założycielskich „Solidarności” na drodze do relegalizacji Związku*, [w:] *Tam też była „Solidarność”. Małe ośrodki ruchu związkowego i ich rola w latach 1980–1990*, red. A. Pyżewska, M. Zwolski, Białystok 2012 (seria „Konferencje IPN”, t. 43), s. 175–183.
- Mowa pogrzebowa Andrzeja Milczanowskiego, 15 IV 2017 r., zarejestrował Tomasz Duklanowski, Polskie Radio Szczecin.
- Mowa pogrzebowa Kornela Morawieckiego, 15 IV 2017 r., zarejestrował Tomasz Duklanowski, Polskie Radio Szczecin.
- Spotkanie działaczy szczecińskiej „Solidarności” – członków Komitetów Założycielskich NSZZ „Solidarność” zakładów pracy Regionu Pomorza Zachodniego z przewodniczącym NSZZ „Solidarność” Lechem Wałęsą, które odbyło się 27 lutego 1988 roku w kościele św. Brygidy w Gdańsku*, oprac. A. Kubaj, M. Siedziako, [w:] *Zarejestrujcie nam „Solidarność”. Strajk sierpniowy 1988 r. w Szczecinie*, red. A. Kubaj, M. Maciejowski, Szczecin 2009, s. 207–241.



Artur Kubaj (ur. 1972) – historyk i politolog, dr, prezes Zarządu Polskiego Radia Szczecin, długoletni pracownik Oddziału IPN w Szczecinie. Autor książki *Nie wyrosli z marzeń. Szczecińska podziemna Solidarność* (2011) i współautor kilkunastu innych pozycji.



Zeskanuj kod lub wpisz adres internetowy i posłuchaj reportażu radiowego **Komu z nami nie po drodze o Stanisławie Możejce**.
Autorka – Małgorzata Furga-Jurgiel z Polskiego Radia Szczecin S.A. w tegorocznym konkursie „Audycja Historyczna Roku”, organizowanym przez IPN, zdobyła tym reportażem Nagrodę Imienia Prezydenta Ryszarda Kaczorowskiego w kategorii „Losy”.

<http://radioszczecin.pl/276,4760,komu-z-nami-nie-po-drodze-reportaz-malgorzaty-fu>



Paweł Skibiński

Boży szalencie w czasach Zagłady

Zofia Kossak-Szczucka

Była wybitną, uznaną pisarką katoliczką. W czasie wojny organizowała z bezgranicznym poświęceniem konspiracyjną pomoc charytatywną, zwłaszcza dla Żydów.

Kilka lat temu Żydowski Instytut Historyczny opublikował książkę włoskiej badaczki literatury polskiej i reprezentantki bardzo w ostatnich latach popularnej dziedziny badań nad Holocaustem, Carli Tonini, na temat Zofii Kossak-Szczuckiej, najwybitniejszej bodaj katolickiej powieściopisarki

Zofia Kossak, 1933 r. Fot. Wikimedia Commons

polskiej. Wykładowczyni uniwersytetu w Bolonii zatytułowała swoje opracowanie: *Antysemityka, która ratowała Żydów*¹. W komentarzach umieszczanych na łamach prasy polskiej można znaleźć opinię Tonini, że Kossak-Szczucka była rasistką i antysemitką, ale „odeszła od antysemityzmu rasowego i wróciła do tradycyjnego katolickiego antyjudajizmu”². Sprawa jednak nie jest oczywista, skoro współpracownik pisarki z czasów wojny – Władysław Bartoszewski – mówił na jej temat: „Ona nigdy nie była antysemitką. Ona była żarliwą katoliczką, fundamentalną, bo tacy wtedy byli w Polsce katolicy przedsoborowi”³.

Trzeba postawić sobie jeszcze raz pytanie, czy rzeczywiście można określić postawę naszej wybitnej powieściopisarki w sposób taki, w jaki czyni to jej włoska biografka. Czy Kossak-Szczucka była rasistką i antysemitką? W jakich okolicznościach i z jakich właściwie powodów zaangażowała się w pomoc Żydom w czasie wojny?

Kim była Kossak-Szczucka?

Pisarka pochodziła ze znakomitej rodziny Kossaków – jej dziadkiem był malarz Juliusz Kossak, ojcem – major kawalerii Tadeusz Kossak, a stryjem – inny znakomity malarz Wojciech. Była stryjeczną siostrą wybitnej poetki Marii Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej oraz humorystki – Magdaleny Samozwaniec. Wywodziła się ze środowiska ziemiańskiego, w którym spędziła dzieciństwo i młodość. Studiowała malarstwo w Warszawie i Genewie, ale ostatecznie wybrała drogę poświęcenia się życiu rodzinnemu. Wyszła za Stefana Szczuckiego, zarządcę dóbr na Wołyniu. Tam młodą matkę (urodziła bowiem podczas I wojny światowej dwóch synów) zastał bolszewicki przewrót.

Ze swych niełatwych doświadczeń rewolucyjnych pozostawiła bardzo plastyczne wspomnienie – *Pożogę* (wyd. 1922). Był to zresztą jej debiut literacki. Opisała całą bezwzględność bolszewików, Ukraińców i wojny, która niszczyła dotychczasową sielską rzeczywistość. W przebraniu chłopskim uciekła w 1919 r. przez linię frontu do Lwowa. Wkrótce owdowiała, a los wygnał ją wraz z dziećmi i ojcem do

¹ C. Tonini, *Czas nienawiści i czas troski. Zofia Kossak-Szczucka – antysemityka, która ratowała Żydów*, Warszawa 2007.

² *Antysemityka, która ratowała Żydów. Z Carlą Tonini rozmawia Piotr Zychowicz*, „Rzeczpospolita”, 25 X 2008 r.

³ Cytat z wypowiedzi Władysława Bartoszewskiego z 2008 r. za: J. Jurgała-Jureczka, *Zofia Kossak. Opowieść biograficzna*, Warszawa 2014, s. 131.

Górek Wielkich na Śląsku Cieszyńskim. W 1925 r. ponownie wstąpiła w związek małżeński – tym razem z porucznikiem, z czasem – majorem, Zygmunt Szatkowskim, który przed ślubem przeszedł z protestantyzmu na katolicyzm.

Pisała intensywnie, a do wybuchu wojny opublikowała przynajmniej 27 większych utworów (powieści, zbiorów opowiadań i esejów). Ta literacka płodność po części wynikała z trudnej sytuacji materialnej rodziny, którą w znacznym stopniu pisarka utrzymywała swymi honorariami. Kossak-Szczucka w 1936 r. otrzymała bodaj najcenniejszą międzywojenną nagrodę literacką – Złoty Wawrzyn Polskiej Akademii Literatury. Szczególnie chętnie pisała powieści i opowiadania historyczne – związane z dziejami Polski, a także z historią Kościoła. Pozostawiła wspaniałe literackie portrety wielu świętych, m.in. w zbiorze genialnych opowiadań *Szaleńcy Boży*.

Wybuch II wojny światowej we wrześniu 1939 r. zastał ją u szczytu literackiego powodzenia i z ustabilizowaną sytuacją osobistą – była bowiem szczęśliwą mężatką, a dorastała żyjąca trójka z czworga jej dzieci. Zaraz po wybuchu wojny przeniosła się z rodziną ze Śląska Cieszyńskiego do Warszawy, gdzie zaangażowała się niemal natychmiast w działalność konspiracyjną.

W konspiracji

Kossak-Szczucka założyła w 1941 r. działający w podziemiu Front Odrodzenia Polski. Była to organizacja o charakterze religijnym, kontynuująca w konspiracji zadania, które w normalnych warunkach spełniała w społeczeństwie polskim Akcja Katolicka. Jej działania religijno-wychowawcze miały przyczynić się do powstania po wojnie Polski katolickiej. Głównym współpracownikiem pisarki i współzałożycielem tej organizacji był ks. Edmund Krause CM, wikary w war-



Dzieci w getcie warszawskim. Fot. Wikimedia Commons



Bp Kazimierz Bukraba. Fot. NAC

szawskim kościele Świętego Krzyża, zmarły przedwcześnie w 1943 r.

Kossak-Szczucka działała pod konspiracyjnymi pseudonimami: „Ciotka”, „Weronika”, „Pani Zofia”. W ramach FOP współpracowała m.in. z Witoldem Bienkowskim, późniejszym zwierzchnikiem Rady Pomocy Żydom „Żegota”, a także z Janem Koziulewskim-Karskim, późniejszym słynnym kurierem Polskiego Państwa Podziemnego do Londynu. Była zaangażowana w różne formy działalności konspiracyjnej. Przede wszystkim wydawała „Prawdę”, centralny organ prasowy FOP. Poza tym współpracowała z pismem „Polska żyje!”, z „Biuletynem Informacyjnym”

wydawanym przez Komendę Główną Armii Krajowej, a także z organem Delegatury Rządu na Kraj – „Rzeczpospolita Polska”.

Prowadziła działalność charytatywną, organizując wysyłkę paczek dla więźniów na Pawiaku i w obozach koncentracyjnych, wspierała osierocone rodziny konspiratorów zamordowanych przez okupantów. Pomagała wszystkim, niezależnie od ich poglądów politycznych i pochodzenia. Jednocześnie – jak twierdzi jej biografka, Joanna Jurgała-Jureczka – miała spory dystans do konspiracyjnej działalności politycznej, której starała się unikać.

Kierowany przez nią FOP organizował wsparcie duchowe dla więźniów przetrzymywanych w obozach koncentracyjnych oraz w aresztach gestapowskich, w których praktyki religijne były surowo zabronione. Zofia Kossak-Szczucka miała użyć własnej puderniczki jako skrytki, w której przenoszono na Pawiak konsekrowane komunikanty. Była to bezprecedensowa działalność wymagająca zgody biskupiej. Miał jej udzielić wygnany z Polesia przez Sowieców i przebywający w Warszawie biskup pomocniczy diecezji pińskiej Kazimierz Bukraba.

Dziennikarz i pisarz Waldemar Piasecki cytuje wypowiedź Jana Karskiego na temat Zofii Kossak-Szczuckiej, w której podkreśla on niezachwiany patriotyzm

PROTEST!

W ghetcie warszawskim, za murem odcinającym od świata, kilkadziesiąt tysięcy skazańców czeka na śmierć. Nie istnieje dla nich nadzieja ratunku, nie nadchodzi żaden pomoc. Ulicami przebiega oprawy, strzelając do każdego, kto się ośmieli wyjść z domu. Strzelają podobnie do każdego, kto stanie w oknie. Na jezdni walają się nieopogrzone trupy.

Dzienna przepiętowa ilość ofiar wynosi 8—10 tysięcy. Policjanci żydowscy obowiązani są do starczy ich do rąk katów niemieckich. Jeżeli tego nie uczynią, zginą sami. Dzieci nie mogą iść do własnych siłach są ładowane na wozy. Ładowanie odbywa się w sposób tak brutalny, że mało które żywe dojeżdża do rampy. Matki patrzące na to dostają objętości. Ilość obłąkanych z rozpaczy i grozy równa się ilości zastrzelonych.

Na rampie czekają wagony kolejowe. Kaci upychają w nich skazańców po 150 osób w jednym. Na podłodze leży gruba warstwa wapna i chloru polana wodą. Drzwi wagonu zostają zaplombowane. Czasem pociąg rusza zaraz po załadowaniu, czasem stoi na bocznym torze dobę, dwie... To nie ma już dla nikogo żadnego znaczenia. Z ludzi stłoczonych tak ciasno, że umarli nie mogą opuścić i stoją nadal ramie w ramie z żyjącymi, z ludzi konających zwolna w oparach wapna i chloru, pozbawionych powietrza, kropili wody, pożywienia — i tak nikt nie pozostanie przy życiu. Gdziekolwiek, kiedykolwiek dojadą śmiertelne porągnięcia — zawierać będą tylko trupy...

Wobec tej męki wyzwoleniem stały się rychły zgon. Oprawy to przewidzieli. Wszystkie apteki na terenie ghetta zostały zamknięte, by nie dostarczyły trucizny. Broni nie ma. Jedynie co pozostaje, to rzucenie się z okna na bruk. To też bardzo wielu skazańców wymyka się katom w ten sposób.

To samo co w ghetcie warszawskim, odbywa się od pół roku w stu mniejszych i większych miasteczkach i miastach polskich. Ogółem na liczbę zabitych żydów przelotnie już milion, a cyfra ta powiększa się z każdym dniem. Ginią wszyscy. Bogaćcy i ubodzy, starcy, kobiety, mężczyźni, młodzież, niemowlęta, katolicy umierający z imieniem Jezusa i Marii, równie jak starozakonni. Wszyscy zawiśli tym, że się przedzieli w narodzie żydowskim, skazanym na zagładę przez Hitlera.

Świat patrzy na tę zbrodnię, strasząc się nie wszystko, co widzieli dzieje i — milczy. Rzeź milionów bezbronnych ludzi dokonywa się wśród powszechnego, złowrokiego milczenia. Milczą kaci, nie chępią się tym co czynią. Nie zabierają głosu Anglia, ani Ameryka, milczą nawet wpływowi międzynarodowe żydostwo, tak dawnie przeczułone na każdą krzywdę swoich. Milczą i Polacy. Polscy polityczni przyjaciele żydów ograniczają się do notatek dziennikarskich, polscy przeciwnicy żydów objawiają brak zainteresowania dla sprawy im obcej. Giniący żydzi otoczeni są przez samych umyślających ręce Piłatów.

Tego milczenia dłużej tolerować nie można. Jakiegokolwiek są jego pobudki — jest ono nikczemne. Wobec zbrodni nie wolno pozostawać biernym. Kto milczy w obliczu mordu — staje się współnikiem mordercy. Kto nie potępia — ten przyzwala.

Zabieramy przeto głos my, katolicy-Polacy. Uczucia nasze względem żydów nie uległy zmianie. Nie przestajemy uważać ich za politycznych, gospodarczych i ideowych wrogów Polski. Co wiedzialnymi za swoje nieszczęście. Dlaczego, na jakiej podstawie — to pozostaje tajemnicą duszy żydowskiej, niemniej jest faktem nieustannie potwierdzanym. Świadomość tych uczuć jednak nie zwalnia nas z obowiązku potępienia zbrodni.

Nie chcemy być Piłatami. Nie mamy możności czynnie przeciwdziałać morderstwom niemieckim, nie możemy nic poradzić, nikogo uratować, — lecz protestujemy z głębi serca przeciwko litości, obrzuceniu i groź. Protestu tego domaga się od nas Bóg, Bóg który nie pozwolił zabić zniego. Krew bezbronnych woła o pomstę do nieba. Kto z nami tego protestu nie popiera — jest katolikiem.

Protestujemy równocześnie jako Polacy. Nie wierzymy, by Polska odniosła korzyść z okrucieństw niemieckich. Przeciwnie. W upartym milczeniu międzynarodowego żydostwa, w zabiegach propagandy niemieckiej usiłującej już teraz zrzucić odium za rzeź żydów na Litwinów i... Polaków, wyczuwamy planowane wrogi dla nas akcji. Wiemy również, jak trujący bywa posiew zbrodni. Przymusowe uczestnictwo narodu polskiego w krwawym widowisku spełniającym się na ziemiach polskich, może nadto wyhodować zubożenie na krzywdę, sadymy i ponad wszystko groźne przekonanie, że wolno mordować bliźnich bezkarnie.

Kto tego nie rozumie, kto dumna, wolną przyszłość Polski śmiałyby łączyć z nikczemną radością z nieszczęścia bliźniego — nie jest przeto ani katolikiem, ani Polakiem!

FRONT ODRODZENIA POLSKI



Apel Zofii Kossak-Szczuckiej. Fot. Wikimedia Commons

„Ciotki”, a także jej niezwykle hart ducha, przy czym nie była to chyba jedynie prywatna opinia. Jan Dobraczyński, inny wybitny powieściopisarz katolicki, w czasie działań wojennych członek podziemia narodowego, który w tym właśnie okresie poznał i zaprzyjaźnił się z Kossak-Szczucką, do końca życia zwracał się do niej konspiracyjnym pseudonimem: „Ciociu”.

Wspomniany już Bartoszewski podkreślał, że podchodziła ona do reguł konspiracji z pewną dezynwolturą, bynajmniej nie wynikającą z głupoty czy nie dbalstwa, lecz z zawierzenia się opiece Opatrzności. Jak pisał Karski: „Zwykła mówić: »Jeśli Bóg zechce, abym została aresztowana, żaden pseudonim ani ukrycie mi nie pomogą«. Potem dodawał jeszcze: »Jej naiwność nie miała granic«. Trudno się jednak zgodzić w tej kwestii ze słynnym kurierem. Precyzyjna intelektualnie i logiczna do bólu, wymagająca od siebie i skłonna do bezgranicznego poświęcenia, Kossak-Szczucka nie była, jak się wydaje, osobą „naiwną”, lecz raczej – jak chce jej biografka – prawdziwym „Bożym szaleńcem”⁴.

Za swoją działalność zapłaciła izolacją od rodziny. Miesiącami ukrywała się jako pensjonariuszka domu starców przy ul. Radnej wraz z pozostającą pod jej opieką matką – Anną Kossakową.

Aktywnie uczestnicząca w życiu konspiracyjnym Kossak-Szczucka zabierała głos w wielu palących kwestiach moralnych. Jak wynika z relacji Karskiego, Żydów nie uważała za naród wybrany. Była zdania, że mają oni zgubną tendencję do izolowania siebie od innych narodów. Ten swoisty ekskluzywizm tłumaczył, w jej przekonaniu, w znacznej mierze tragiczną izolację, w której znaleźli się Żydzi w trakcie wojny. To oczywiście nie usprawiedliwiało zbrodni niemieckich. Według niej, były one absolutnie nie do zaakceptowania – przede wszystkim z chrześcijańskiego punktu widzenia. Pisarka obawiała się, by część polskiego społeczeństwa nie przyjęła polityki niemieckiej, ulegając znieczuleniu w sytuacji nieprawdopodobnych zbrodni okupanta.

Protest

Przełomowe znaczenie zarówno w działalności konspiracyjnej Kossak-Szczuckiej, jak i w stosunku całej konspiracji polskiej do losu Żydów stanowił artykuł tej katolickiej pisarki opublikowany na łamach wspomnianego już organu FOP – warszawskiej „Prawdy”. Nosił on znamienity tytuł *Protest* i ujrzał światło dzienne 11 sierpnia 1942 r.⁵

⁴ J. Jurgała-Jureczka, *Zofia Kossak...*, s. 150.

⁵ Z. Kossak-Szczucka, *Protest*, 14 VIII 1942 r., [w:] *Polacy – Żydzi 1939–1945. Wybór źródeł*, red. A.K. Kunert, Warszawa 2001, s. 213.

Tekst został podpisany przez Front Odrodzenia Polski, jednak autorką była właśnie Kossak-Szczucka. Rozpoczęła ona swój apel od opisu straszliwej sytuacji w getcie warszawskim u progu ostatecznej zagłady jego mieszkańców. Stwierdziła: „W getcie warszawskim, za murem odcinającym od świata, kilkaset tysięcy skazańców czeka na śmierć. Nie istnieje dla nich nadzieja ratunku, nie nadchodzi znikąd pomoc”. To, co szczególnie szokowało autorkę protestu, to milczenie międzynarodowej opinii publicznej: „Świat patrzy na tę zbrodnię, straszliwszą niż wszystko, co widziały dzieje – i milczy. Rzeź milionów bezbronnych ludzi dokonywa się wśród powszechnego, złowrogiego milczenia. Milczą kaci, nie chełpią się tym, co czynią. Nie zabierają głosu Anglia ani Ameryka, milczy nawet wpływowe międzynarodowe żydostwo, tak dawniej wyczulone na każdą krzywdę swoich”. Wydawało się pisarce, że milczącą obojętność zachowują wobec niesłychanej zbrodni także Polacy, zarówno przedwojenni „polityczni przyjaciele Żydów”, jak i ich przeciwnicy.

Tę obojętność Kossak-Szczucka oceniała niezwykle surowo: „Ginący Żydzi otoczeni są przez samych umywających ręce Piłatów. Tego milczenia dłużej tolerować nie można. Jakiegokolwiek są jego pobudki – jest ono nikczemne. Wobec zbrodni nie wolno pozostawać biernym. Kto milczy w obliczu mordu – staje się współnikiem mordercy. Kto nie potępia – ten przyzwala”.

Swój protest pisarka sformułowała w imieniu „katolików-Polaków”. Wypowiedziała niezwykle twarde i szczere słowa: „Nie przestajemy uważać ich [Żydów] za politycznych, gospodarczych i ideowych wrogów Polski. Co więcej, zdajemy sobie sprawę z tego, iż nienawidzą nas oni więcej niż Niemców, że czynią nas odpowiedzialnymi za swoje nieszczęście. Dlaczego, na jakiej podstawie – to pozostanie tajemnicą duszy żydowskiej”. Ale jednocześnie wzywała: „Świadomość tych uczuć jednak nie zwalnia nas z obowiązku potępienia zbrodni. Nie chcemy być Piłatami. Nie mamy możliwości czynnie przeciwdziałać morderstwom niemieckim, nie możemy nic poradzić, nikogo uratować, lecz protestujemy z głębi serc przejętych litością, oburzeniem i grozą. Protestu tego domaga się od nas Bóg, Bóg, który nie pozwolił zabijać. Domaga się sumienie chrześcijańskie. Każda istota zwąca się człowiekiem ma prawo do miłości bliźniego. Krew bezbronnych woła o pomstę do nieba. Kto z nami tego protestu nie popiera – nie jest katolikiem”. A zaraz potem dodawała: „Protestujemy równocześnie jako Polacy. Nie wierzymy, by Polska odnieść mogła korzyść z okrucieństw niemieckich. Przeciwnie. [...] W zabiegach propagandy niemieckiej,

PRAWDA

PISMO FRONTU ODRODZENIA POLSKI

Marzec 1943

Fot. Wikimedia Commons

W IMIENIU RZECZYPOSPOLITEJ

Rozplakatowane zawiadomienia o dwóch wykonanych wyrokach na zdrajców sprawy polskiej zostały przez ludność Warszawy przyjęte entuzjastycznie. Oczekiwanie dalszych tego rodzaju unuciancji oczyszcza atmosferę. Nie ulęga bowiem wątpliwości, że znajdujemy się w tej chwili na samym dnie rozwydrzenia tych wszystkich elementów, które zdemoralizowała wojna.

Nie trzeba prawdy owijać w bawełnę. Nie trzeba dla względów prestiżowych, choćby wobec zagranicy, milczeć o tych rodzimych kanałach, które zerują na nędzy ludzkiej i nieszczęściu. Zatrważająco wzrósł donucianiem, niesprawdopodobne rozszerzenie się zgranych kół szantazystów zagraża spokojowi coraz większej ilości ludzi, czyni nieznosnym życie tych, którzy przesładowani przez okupantów czują się jak zgłębione wściekłe psy.

Mylimy też o żydach. Na tych ostatnich przede wszystkim zeruje szantaz. Dawaliśmy już wyraz n-

szemu stosunkowi do społeczeństwa żydowskiego. Dziś podkreślamy z całym naciskiem, że jesteśmy świadkami najbardziej hanbiącego procesu zerowania na ich nieszczęściu. Dla faktu tego nie ma usprawiedliwienia. Niczyj antysemityzm nie zmieni faktu, że szantazysta jest kanał.

Enuncjacja Pełnomocnika Rządu o karaniu delatorów i szantazystów. Umieszczona poniżej „ostrzeżenie” Kierownictwa Walki Cywilnej jest tego dowodem. Prosimy aby teksty wyroków, rozplakatowane na murach miast, słowa „w imieniu Rzeczypospolitej” wpłynęły otrzeźwiająco. Tak samo, jak ostatnie ogłoszenie wyroków wpłynęło na zwiększenie samopoczucia wśród tłumów warszawian, znajdujących na różnorodnych sferach dowód opieki ze strony Rządu Rzeczypospolitej.

OSTRZEŻENIE

Społeczeństwo polskie, mimo iż samo jest ofiarą okropnego teroru ze strony i głębokim współczuciem patrzy na mordowanie przez Niemców resztek ludności żydowskiej w Polsce. Zabożyło ono przeciw tej zbrodni protest, który doszedł do świadomości całego wojennego świata. Za żydów, którzy odmówili całego wojennego świata, udzieliło tak wydatnej pomocy, że okupant opublikował zarządzenie grożące śmiercią tym Polakom, którzy pomagają ukrywającym się żydom. Niemniej znalazły się jed-

nostki wyczułe ze czci i sumienia, rekrutujące się ze świata przestępczego, które stworzyły sobie nowe źródło występczego dochodu przez szantazowanie Polaków ukrywających żydów i żydów samych.

K. W. C. ostrzeża, że tego rodzaju wypadki szantazu są rejestrowane i będą karane z całą surowością prawa w miarę możliwości już obecnie, a w każdym razie w przyszłości.

Kierownictwo Walki Cywilnej

usiłującej już teraz zrzucić odium za rzeź Żydów na Litwinów i... Polaków, wyczuwamy wrogą dla nas akcję. [...] Wiemy również, jak trujący bywa posiew zbrodni. Przymusowe uczestnictwo narodu polskiego w krwawym widowisku spełniającym się na ziemiach polskich może snadno wyhodować zobojętnienie na krzywdę, sadyzm i ponad wszystko groźne przekonanie, że wolno mordować bliźnich bezkarnie”.

Swoją przejmującą protest pisarka kończyła jednoznaczną i dramatyczną anatamą: „Kto tego nie rozumie, kto dumną, wolną przyszłość Polski śmiałby łączyć z nikczemną radością z nieszczęścia bliźniego – nie jest przeto ani katolikiem, ani Polakiem!”.

Czytany dzisiaj tekst Kossak-Szczuckiej tchnie surową prawdą o okupacyjnej rzeczywistości i może być w niektórych fragmentach dla wielu – zwłaszcza zwolenników politycznej poprawności – zbyt bezpośredni. Jednak nikt nie może zaprzeczyć, że jest to z pewnością autentyczny zapis poglądów autorki, a także wielu ówczesnych katolików, którzy już wkrótce stali się istotnym filarem zorganizowanej przez Polskie Państwo Podziemne pomocy zagrożonym eksterminacją polskim Żydom.



Tramwaj w getcie warszawskim, październik 1940 r. Fot. Bundesarchiv

Włoska biografka Kossak-Szczuckiej mówi o „hipokryzji” polskiej pisarki. Uważna lektura protestu nie potwierdza tego zarzutu. Powiedziałbym raczej, że jej protest był jedną z najszczerzych wypowiedzi w czasie okupacji. Nie mieli też poczucia zafałszowania czy nieszczerości w tym tekście warszawscy Żydzi, którzy „ucząc się niemal jego fragmentów na pamięć – płakali”⁶.

Rada Pomocy Żydom i pomoc w praktyce

Co jednak najważniejsze, pisarka nie poprzestała na słowach. Wraz z socjalistką Wandą Krahełską-Filipowiczową, reprezentującą zgoła odmienne poglądy ideowe i polityczne, powołała do życia Tymczasowy Komitet Pomocy Żydom im. Konrada Żegoty (Żegota był fikcyjną postacią, którą wymyśliła sama Kossak-Szczucka w celach konspiracyjnych). Wkrótce Komitet stał się fundamentem utworzonej w grudniu 1942 r. – i podległej Departamentowi Spraw Wewnętrznych Delegatury Rządu – Rady Pomocy Żydom „Żegota”, czyli instytucji organizującej pomoc dla środowisk żydowskich. Sama pisarka, która starała się trzymać z dala od polityki, a ceniła społeczny wymiar wysiłków pomocowych, w skład rady nie weszła, lecz skoncentrowała się na realizacji konkretnej pomocy dla bliźnich zagrożonych ludobójstwem⁷.

⁶ T. Prekerowa, *Konspiracyjna Rada Pomocy Żydom w Warszawie 1942–1945*, Warszawa 1982, s. 192.

⁷ Por. J. Żaryn, T. Sudoł, *Polacy ratujący Żydów. Historie niezwykle*, Warszawa 2014, s. 42–44.

Zofia Kossak-Szczucka zajęła się dostarczaniem pomocy materialnej i fałszywych dokumentów uciekinierom z getta, wyszukiwaniem i umieszczaniem w bezpiecznych kryjówkach dzieci i całych rodzin żydowskich. W swoim mieszkaniu przy ul. Radnej 14 stale przetrzymywała żydowskich zbiegów.

Kossak-Szczucka zajęła się dostarczaniem pomocy materialnej i fałszywych dokumentów uciekinierom z getta, wyszukiwaniem i umieszczaniem w bezpiecznych kryjówkach

dzieci i całych rodzin żydowskich. W swoim mieszkaniu przy ul. Radnej 14 stale przetrzymywała żydowskich zbiegów. Angażowała się w akcję pomocy nie tylko osobiście, lecz z całą swoją rodziną.

W opublikowanym liście napisanym już po wojnie autorka *Krzyżowców* w następujący sposób pisała o tym, z czym wiązała się ta działalność – w końcu wszystkim osobom w nią zaangażowanym groziła kara śmierci: „Pamiętam, jak kiedyś przeprowadzałam z Powiśla na Śniadeckich Żydówkę. Witold [syn pisarki] osobno na ten sam punkt prowadził jej męża, a Anna [córka pisarki] córkę, swoją rówieśnicę... Boże, jak się bałam o te moje dzieci! [...] Nigdy nie zapomnę tego okropnego uczucia lęku, tego poczucia, że własne, najukochańsze dzieci narażam na śmierć prawie pewną. A z drugiej strony to przeświadczenie, że to obowiązek. A potem ta szalona radość i wdzięczność Bogu, gdy po półtorej godziny spotkaliśmy się na Powiślu, cali i zdrowi”⁸.

Aresztowanie i dalsze losy

Kossak-Szczucka wpadła w ręce Niemców raczej przypadkowo (choć niektóre biogramy podają, że z powodu donosu dalekiego krewnego). Została zatrzymana 25 września 1943 r. na ul. Tamka w Warszawie. Znalaziono przy niej konspiracyjne druki. Została aresztowana, wkrótce rozpoznana i poddana brutalnym przesłuchaniom na gestapo. Gestapowcy wybili jej zęby, przestała słyszeć na jedno ucho. Po dziesięciu dniach przesłuchań wysłano ją do obozu koncentracyjnego Auschwitz. Dostała tam numer 64491⁹. Cudem przeżyła tyfus plamisty. Nie wiedziała, że w tym samym obozie zmarł w 1943 r. jej syn Tadeusz.

⁸ Z. Kossak, *Umarli nie wracają...*, „Tygodnik Powszechny” 1995, nr 16 [list do Ireny Rybotyckiej, luty 1954 r., opublikowany przez A. Bugnon-Rosset, córkę pisarki].

⁹ Swoje wspomnienia obozowe opisała w książce *Z otchłani. Wspomnienia z lagru*, Warszawa 1946.

W kwietniu 1944 r. Niemcy odesłali ją do więzienia w Warszawie, gdzie nie zgodziła się na antysowiecką współpracę z Rzeszą. Została skazana na karę śmierci. W niewytlumaczalny sposób wyszła na wolność dwa dni przed wybuchem powstania.

Razem z leciwą matką przetrwała walki na Powiślu. Pisała do prasy powstańczej. Wyszła z Warszawy wraz ze spotkaną przypadkiem córką Anną. Trafiła do Częstochowy, gdzie zastał ją koniec wojny. Podjęła tam współpracę z tygodnikiem diecezjalnym „Niedziela”, redagowanym przez ks. Antoniego Marchewkę.

Władze komunistyczne – które wzięły pod uwagę oddanie pisarki dla akcji ratowania Żydów – postanowiły jej nie aresztować, lecz zdecydowały się zmusić ją do wyjazdu z kraju. Rozmawiał z nią o tym sam Jakub Berman, nadzorca aparatu bezpieczeństwa i członek ścisłego kierownictwa partii komunistycznej. Kossak-Szczucka opuściła Polskę w sierpniu 1945 r.

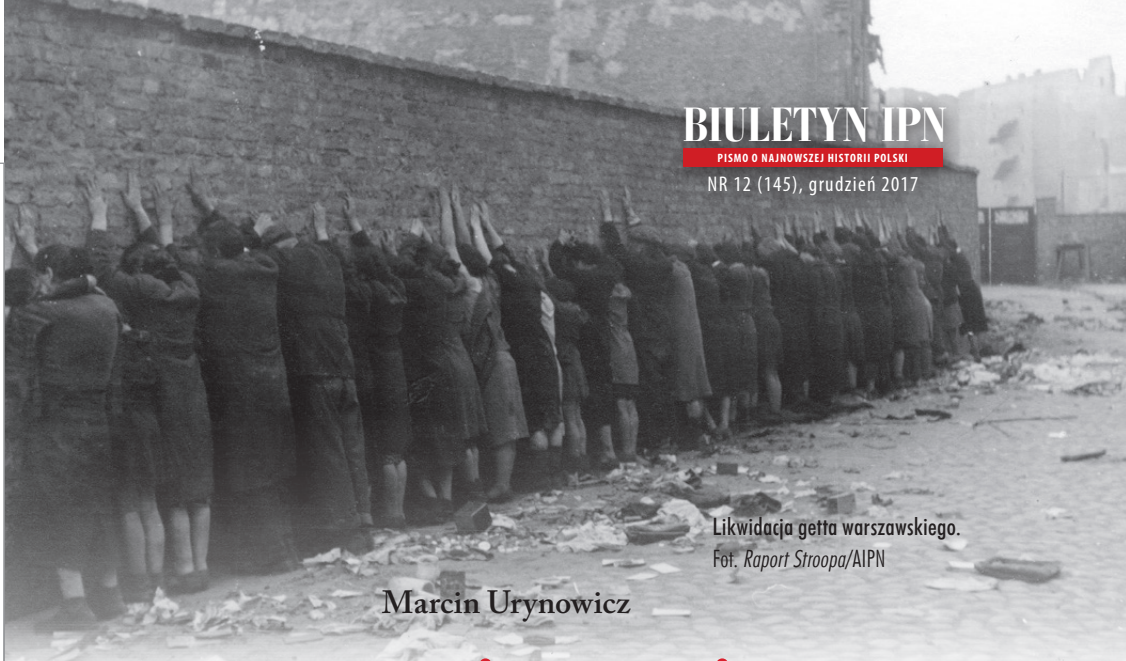
Na emigracji spędziła dwanaście lat, zajmując się wraz ze spotkanym tam mężem – Zygmuntem Szatkowskim – prowadzeniem gospodarstwa rolnego w Kornwalii. Po powstaniu nigdy już nie przerwała działalności pisarskiej, zawieszonej w latach konspiracyjnej aktywności – publikowała swoje kolejne książki. Ostatnie swe dzieło, trzeci tom trylogii *Dziedzictwo*, wydała wspólnie z mężem w 1967 r.

Po powrocie do kraju w 1957 r. zamieszkała w Górkach Wielkich na Śląsku Cieszyńskim, gdzie dziś znajduje się poświęcone jej muzeum. Zmarła w kwietniu 1968 r. i spoczęła na cmentarzu w Górkach Wielkich.

Jej wojenną działalność izraelski Instytut Yad Vashem uhonorował dopiero w 1982 r. Przyznano jej pośmiertnie tytuł Sprawiedliwy wśród Narodów Świata. Podstawą odznaczenia było świadectwo Maurycego Gelbera, który ukrywał się w jej warszawskim mieszkaniu przez sześć miesięcy. Była to tylko jedna z tysięcy osób, którym zdołała pomóc osobiście w czasie okupacji. Na miliony osób wpłynęła jako pisarka i konsekwentna katoliczka. ■



Paweł Skibiński (ur. 1973) – historyk, dr hab., wykładowca Uniwersytetu Warszawskiego. Autor książek: *Państwo generała Franco. Ustrój Hiszpanii w latach 1936–1967* (2004); „Człowiek o sercu bohaterskim...”. *Książdź Jan Salamucha 1903–1944* (2005); *Między ołtarzem a tronem. Państwo i Kościół w Hiszpanii w latach 1931–1953* (2013); *Żywot człowieka wiernego. Błogosławiony Álvaro del Portillo 1914–1994* (2014) i in.



Likwidacja getta warszawskiego.
Fot. Raport Stroopa/AIPN

Marcin Urynowicz

Rada Pomocy Żydom „Żegota”

*O kim możemy powiedzieć,
że uczynił wystarczająco dużo dla ratowania ludzkich istnień?*

O tym, kto zapłacił za to własnym życiem! [...]

*Bo jeśli zginął, to nikt nie może o nim powiedzieć,
że nie uczynił wystarczająco dużo.*

Ten zaś, kto przeżył, zawsze może i powinien zadać sobie pytania:

– Czy naprawdę uczyniłem wystarczająco dużo?

A jeśli mogłem uratować jeszcze jednego albo dwóch ludzi, i tego nie zrobiłem?

Władysław Bartoszewski¹.

Rada Pomocy Żydom przy Pełnomocniku Rządu RP w Kraju, zwana „Żegotą”, była jedyną w okupowanej Europie oficjalną instytucją afiliowaną przy władzach państwowych, która miała za zadanie nieść pomoc eksterminowanej przez Niemców ludności żydowskiej. Był to absolutny fenomen.

¹ M. Komar, *Władysław Bartoszewski. Wywiad rzeka*, Warszawa 2006, s. 96.

Chociaż w latach II wojny światowej zawiązywały się inne organizacje niosące pomoc Żydom, żadna z nich nie miała oficjalnego i praktycznego poparcia ze strony własnego rządu. Żadna też nie rozwinęła tak szerokiej działalności jak „Żegota”, a przy tym żadna nie działała w tak trudnych warunkach.

Fenomen „Żegoty” na tle innych organizacji wynikał z dwóch powodów. Pierwszym był rozmiar tragedii żydowskiej na okupowanych ziemiach polskich, drugim – niezwykle rozbudowane struktury konspiracji polskiej. W Rzeczypospolitej do 1939 r. żyło blisko 3,5 mln Żydów, co stanowiło ponad połowę całej społeczności żydowskiej w Europie. I to właśnie na ziemiach polskich, położonych nie za daleko na wschód (gdzie przebiegał front i występowały duże utrudnienia transportowe) i nie za blisko na zachód (gdzie, według narodowych socjalistów, żyły wyższe rasowo narody) Niemcy zdecydowali się ulokować główne ośrodki zagłady, uśmiercające ludzi na skalę przemysłową. Z kolei polska konspiracja, mając za sobą doświadczenia z epoki rozbiorów, stworzyła – mimo panującego terroru – wiele wyspecjalizowanych komórek realizujących bieżące zadania propaństwowe oraz przygotowujących się do zorganizowania w odpowiednim czasie walki zbrojnej. Jedną z nich była właśnie Rada Pomocy Żydom.

Kamień poruszył lawinę

Jej powołanie poprzedziła działalność Komisji¹ Pomocy Społecznej dla Ludności Żydowskiej im. Konrada Żegoty², powołanej 27 września 1942 r. w Warszawie. Czas i miejsce nie były przypadkowe. W mieście istniało największe getto okupowanej Europy, a jednocześnie działało też kierownictwo polskiego podziemia – na czele z Delegatem Rządu RP na Kraj. Powołanie Komisji nastąpiło zaś w reakcji na trwającą od końca lipca do połowy września akcję mordowania warszawskich Żydów w komorach gazowych Treblinki.

Do powstania Komisji przyczyniło się bezpośrednio co najmniej kilka inicjatyw oddolnych. Jako pierwszą należy wymienić działalność Zofii Kossak-Szczuckiej, stojącej na czele katolickiej organizacji Front Odrodzenia Polski, która na początku

¹ Zwanej też w literaturze wymiennie „Komitetem”.

² Stąd wziął się kryptonim tej organizacji i całej akcji pomocy Żydom – „Żegota”. Nazwę tę wymyśliła Zofia Kossak-Szczucka. Miała ona wprowadzać Niemców w błąd, kierując ich na tropy nieistniejącej osoby – niejakiego Konrada Żegoty.

» **Najważniejsze było dostarczenie ukrywanym osobom fałszywych dokumentów (pozwalających na swobodne poruszanie się i znalezienie pracy) oraz zasiłku finansowego na bieżące, najpilniejsze potrzeby (przede wszystkim znalezienie dachu nad głową).** »

sierpnia 1942 r. wydała odezwę wymownie zatytułowaną *Protest*. Pisała w niej m.in.: „Świat patrzy na tę zbrodnię, straszliwszą niż wszystko, co widziały dzieje – i milczy. [...] Tęgo milczenia dłużej tolerować nie można [...] jest ono nikczemne. Wobec

zbrodni nie wolno pozostawać biernym. Kto milczy w obliczu mordu – staje się współnikiem mordercy. Kto nie potępia – ten przyzwala”.

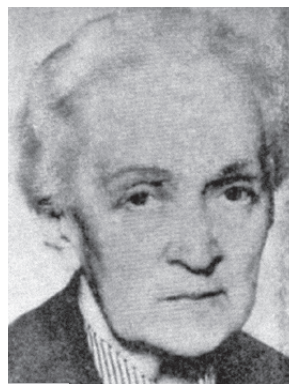
Odezwa ta odbiła się głośnym echem w społeczeństwie polskim. Jeszcze w tym samym miesiącu rozmowy z Delegaturą Rządu podjął Henryk Woliński, kierownik Referatu Żydowskiego w strukturach Biura Informacji i Propagandy Komendy Głównej Armii Krajowej. Prócz FOP i AK interweniowały inne organizacje i ugrupowania polityczne, jak np. Polska Organizacja Demokratyczna, reprezentowana przez bezpartyjną Wandę Krahełską-Filipowiczową; Stronnictwo Demokratyczne w osobach Czesławy i Teofila Wojeńskich czy Związek Syndykalistów Polskich w osobie Stefana Szwedowskiego.

Przełomem na drodze do podjęcia akcji pomocy dla ginących Żydów okazała się postawa Leopolda Rutkowskiego „Trojanowskiego”, „Muszyńskiego”, szefa administracji (odpowiednik ministra spraw wewnętrznych) Delegatury. Pod koniec września 1942 r. zdecydował on o przyznaniu pierwszej dotacji dla organizacji społecznych zajmujących się docieraniem do uciekinierów z getta i organizowaniem siatki pomocy. On też, jeśli wierzyć słowom Kossak-Szczuckiej przekazanych przez Teresę Prekerową³, miał być inicjatorem powołania stałej Komisji na rzecz pomocy, a decyzją o przyznaniu stałej dotacji miał nawet zaskoczyć organizacje interweniujące w Delegaturze.

Decyzja tego wysokiego przedstawiciela konspiracyjnych władz polskich była kamieniem, który poruszył całą późniejszą lawinę. Od tego momentu było możliwe podjęcie szerszej, prowadzonej przez wiele organizacji, akcji na rzecz pomocy.

³ Sama Prekerowa niekoniecznie daje wiarę tym słowom, doszukując się w nich, zdaniem autora niesłusznie, jedynie skromności Z. Kossak-Szczuckiej, która miałaby nie chcieć wysuwać się na pierwszy plan. Zob. T. Prekerowa, *Konspiracyjna Rada Pomocy Żydom w Warszawie 1942–1945*, Warszawa 1982, s. 54.

Na czele Komisji stanęły wspomniane Zofia Kosak-Szczucka i Wanda Krahelska-Filipowiczowa. Głównymi działaczami Komisji byli: Ignacy Barski (FOP), Władysław Bartoszewski, Witold Bieńkowski, Zofia Demciuch, Maria Lasocka, Janina Raabe-Wąsowiczowa, Stefan Szwedowski (ZSP) i Czesława Wojeńska (SD)⁴. Akces do Komisji zgłosiła też Polska Partia Socjalistyczna – „Wolność, Równość, Niepodległość”, nie wiadomo jednak, czy i kto ją reprezentował. Informacja o utworzeniu Komisji ukazała się 14 października 1942 r. w organie Delegatury „Rzeczpospolita Polska”. Brzmiała ona następująco: „Proszeni jesteśmy o podanie do wiadomości publicznej, iż na skutek inicjatywy szeregu organizacji społecznych z kół katolickich i demokratycznych organizuje się Komisja Pomocy Społecznej dla ludności żydowskiej dotkniętej skutkami bestialskiego prześladowania Żydów przez Niemców. Komisja będzie się starała w miarę możliwości i środków oraz możliwości, z jakimi liczyć się trzeba w okupacyjnych warunkach życia kraju, nieść pomoc ofiarom hitlerowskich gwałtów”.



Wanda Krahelska-Filipowiczowa.
Fot. Wikimedia Commons

Rada w miejsce Komisji

Powstała 27 września organizacja działała niewiele ponad dwa miesiące. Już 4 grudnia 1942 r. zastąpiła ją Rada Pomocy Żydom z zupełnie nowym kierownictwem. Na jej czele stanął przedstawiciel Polskiej Partii Socjalistycznej – „Wolność, Równość, Niepodległość” Julian Grobelny „Trojan”, zastępował go Leon Feiner „Lasocki” z Bundu, sekretarzem został Adolf Berman „Borowski”, reprezentujący Żydowski Komitet Narodowy, skarbnikiem był zaś Ferdynand Marek Arczyński (SD). Przedstawicielami Delegatury w Radzie byli Witold Bieńkowski „Wencki” i Władysław Bartoszewski „Teofil”.

Wszystko wskazuje na to, że Delegatura postawiła na współpracę z organizacjami politycznymi, a zrezygnowała z organizacji społecznych. Te pierwsze były

⁴ Rzecz jasna, grono współpracowników było znacznie większe. Tak np. z syndykalistami współpracowały harcerki, m.in. Zofia Janiczek „Zosia”, Aleksandra Mackiewiczówna „Halinka”, Maria Tomaszewska „Urszula” i Stanisława Wdowińska „Irena”.



Julian Grobelny. Fot. Wikimedia Commons

bowiem zdyscyplinowane i można je było kontrolować (do RPŻ weszły tylko organizacje lojalne wobec Delegatury Rządu), te drugie zaś nie tylko chciały zachować samodzielność, lecz również opierały się w swojej pracy czynnikom politycznym. Kossak-Szczucka i Kraheńska-Filipowiczowa nie zaprzestały mimo to działalności. Dotychczasowa przewodnicząca Komisji powołała inną organizację na rzecz pomocy Żydom – Społeczną Organizację Samoobrony, której skrót nawiązywał do powszechnie znanego na całym świecie wołania o ratunek w kodzie Morse'a: „S-O-S”.

Rada Pomocy Żydom bardzo szybko prześcignęła dotychczasową Komisję w zakresie i intensywności prowadzonych prac. Wpływ na to miało włączenie się w aktywność Rady partii żydowskich, które z powodu naturalnych powiązań środowiskowych zdecydowanie lepiej od polskich mogły docierać do uciekinierów z gett i obozów. Nie bez znaczenia był też większy dopływ funduszy ze strony Delegatury. Dość wspomnieć, że spośród ok. 12 tys. podopiecznych RPŻ nie więcej niż 3 tys. pozostawało pod opieką organizacji polskich; reszta to osoby, którym dzięki „Żegocie” mogła pomagać konspiracja żydowska. Z kolei fundusze RPŻ, jakkolwiek przez cały czas mocno niewspółmierne do lawinowo rosnących potrzeb, szybko się zwiększały – od 150 tys. zł w styczniu 1943 r. do 750 tys. w grudniu tegoż roku oraz 8 mln w listopadzie 1944 r.⁵

Niemożliwość objęcia opieką wszystkich potrzebujących powodowała, że za główny cel pomocy postawiono umożliwienie podopiecznym samodzielnego, normalnego funkcjonowania, tak by sami mogli o siebie zadbać. Najważniejsze było więc dostarczenie fałszywych dokumentów (pozwalających na swobodne poruszanie się i znalezienie pracy) oraz zasiłku finansowego na bieżące, najpilniejsze potrzeby (przede wszystkim znalezienie dachu nad głową). Fałszywe dokumenty dostarczano głównie dzięki współpracy z komórkami legalizacyjnymi Armii Krajowej i Delegatury (np. Międzyorganizacyjnym Biurem Legalizacyjnym, kierowanym przez Henryka

⁵ Pamiętać jednak trzeba o zmieniającej się drastycznie sile nabywczej tych pieniędzy w warunkach permanentnego okupacyjnego kryzysu gospodarczego.

Aleksandra Weissa). Skarbnik „Żegoty”, wspomniany Ferdynand Marek Arczyński, oceniał po wojnie, że RPŻ przekazała podopiecznym nawet do 40 tys. takich dokumentów.

Większość jednak podopiecznych z uwagi na swoją trudną sytuację otrzymywała comiesięczną zapomogę w wysokości ok. 500 zł. Była to suma niezwykle niska jak na potrzeby osoby funkcjonującej samotnie i niemającej oparcia w rodzinie (na ogół wystarczała zaledwie na opłacenie lokum). Z drugiej strony była to kwota znacznie wyższa niż przeciętna renta lub emerytura. W najtrudniejszej sytuacji byli ci, którzy nie mogli funkcjonować samodzielnie. W grupie tej były przede wszystkim osoby małoletnie i ci, których pochodzenie z uwagi na wygląd mogło zostać łatwo zdekonspirowane. Dzieci starano się umieszczać w instytucjach opiekuńczych oraz u osób prywatnych. Irena Sendlerowa, kierująca referatem dziecięcym, oszacowała wraz z grupą współpracowniczek już po wojnie, że tylko odnośnie do Warszawy udało się w ten sposób zapewnić schronienie ok. 2,5 tys. dzieci. Z kolei dorośli musieli na ogół pozostawać w zamkniętych mieszkaniach, a czasami w ukrytych schronach – o których wiedzieli tylko zaufani – gdzie dbano o ich najpilniejsze potrzeby. Z myślą o nich powstał m.in. referat lekarski. Celina Jezierska chodziła po tych lokalach, zbierając



Adolf Berman. Fot. Wikimedia Commons

Dzieci starano się umieszczać w instytucjach opiekuńczych i u osób prywatnych. Dorośli musieli na ogół pozostawać w zamkniętych mieszkaniach, a czasami w ukrytych schronach, o których wiedzieli tylko zaufani.

informacje, gdzie potrzebny jest lekarz, a następnie przekazywała je Ludwikowi Rostkowskiemu juniorowi, który jako student medycyny chodził na pierwsze oględziny. Jeśli uznał, że potrzebna jest pomoc specjalisty, przekazywał tę informację referatowi lekarskiemu,

a nierzadko swojemu ojcu (Ludwikowi Rostkowskiemu seniorowi), który współorganizował dla „Żegoty” konspiracyjną siatkę lekarzy i był jednym z jej liderów.

Lista potrzeb podopiecznych Rady na tym się nie kończyła. Nie wszystkie można było zaspokoić, ale „Żegota” w miarę możliwości starała się wychodzić im naprzeciw.



Działacze RPŻ podczas obchodów trzeciej rocznicy powstania w getcie warszawskim, kwiecień 1946 r. Siedzą od prawej: Piotr Gajewski, Ferdynand Marek Arczyński, Władysław Bartoszewski, Adolf Berman, Tadeusz Rek. Fot. Wikimedia Commons

Starano się nawet o dostarczanie odpowiednich ubrań. Nie tylko dlatego, że niektórzy nie mogli ich zakupić, lecz przede wszystkim po to, by nie wzbudzały one podejrzeń, by ułatwiały wtapianie się w tłum. Organizowano też lokale przejściowe, w których można się było zatrzymać na krótki okres. Służyły one tym, którzy po ucieczce dopiero szukali stałego lokum, lub tym, których mieszkanie zostało zdekonspirowane i którzy musieli szybko znaleźć nowe.

Poza Warszawą stałe komitety okręgowe Rady Pomocy Żydom powstały jeszcze w Krakowie i we Lwowie. Na czele krakowskiej Rady stanął, podobnie jak w Warszawie, członek PPS – Stanisław Wincenty Dobrowolski „Staniewski”. Sekretarzem był Władysław Wójcik „Żegota”, skarbnikiem – Anna Dobrowolska „Michalska”. W Prezydium znaleźli się ponadto: Jerzy Matus, działacz ludowy; Janusz Strzałecki (malarz i działacz demokratyczny) oraz reprezentantka ludności żydowskiej, Maria Hochberg-Mariańska. Przedstawicielem cywilnych władz konspiracyjnych był Tadeusz Seweryn, szef okręgowego Kierownictwa Walki Cywilnej. We Lwowie na czele RPŻ stała Władysława Laryssa Chomsowa „Dionizy”, działaczka społeczna, członek Stronnictwa Demokratycznego. Skarbnikiem był Przemysław Ogrodziński „Stanisław”. Wśród bliskich współpracowników był też okręgowy Delegat Rządu RP, Adam Ostrowski. W Prezydium zasiadały też osoby znane tylko pod pseudonimami: „Walery” (zarazem sekretarz Rady) i niejaki „Herburt”.

Działająca w Warszawie, Krakowie i we Lwowie RPŻ starała się też, na ile to było możliwe, interesować losami Żydów na prowincji, od 1943 r. skoncentrowanych przeważnie już nie w gettach, lecz w obozach pracy. W Warszawie powołano w tym celu referat terenowy, na którego czele stał Stefan Sendłak; kurierami byli m.in. Tadeusz i Ewa Sarnecky. Wiemy o co najmniej kilkudziesięciu miejscowościach, w których RPŻ jednorazowo lub na stałe udawało się w jakiejś formie (czasami były to tylko pieniądze lub fałszywe dokumenty) udzielić pomocy. Wymienić można: Będzin, Białystok, Biłgoraj, Bochnię, Brześć, Budzyń, Drobników⁶, Drzewicę, Izbicę, Kielce, Krosno, Lublin, Łódź, Nowe Miasto, Ostrowiec Świętokrzyski, Oświęcim, Pionki, Piotrków Trybunalski, Poniatową, Puławy, Pustków, Radom, Siedlce, Skarżysko-Kamienną, Starachowice, Szebnię (pod Jasłem), Trawniki, Zakopane, Zamość. O niektórych miejscowościach wiadomo jedynie, że udało się tam wysłać emisariuszy, którzy zbierali informacje o lokalnym getcie lub obozie i zdawali z tego raport. Dotyczyło to głównie miast na Kresach, takich jak Borysław, Brody, Drohobycz, Kołomyja, Przemyśl, Stryj, Wilno. Wiadomo też, że Radzie udało się ulokować ok. 50 osób na Węgrzech.

Potrzeby większe niż środki

Nie wszystkie misje „Żegoty” kończyły się powodzeniem. Nie brakowało wpadek, aresztowań, a także, niestety, śmierci. Fiaskiem zakończyła się próba szerszego działania i powołania stałych przedstawicielstw w Białymstoku i Wilnie. Osoba, której powierzono tę misję i dano na ten cel znaczne środki finansowe, okazała się, jak wszystko na to wskazuje, zwykłym oszustem. Nie tylko nie pojechała do wskazanych wyżej miast, lecz także nigdy nie zwróciła otrzymanych funduszy. Przez cały okres okupacyjny unikała odpowiedzialności, a po wojnie próbowała wykorzystywać metody politycznej presji, by zamknąć usta tym, którzy domagali się wyjaśnień.

Głównym problemem „Żegoty” przez cały okres jej istnienia była niemożność rozwinięcia szerszej działalności. Na przeszkodzie stało chroniczne niedofinansowanie. Chociaż bowiem budżet wciąż rósł, potrzeby, z uwagi na ogrom tragedii polskich Żydów, rosły zdecydowanie szybciej. Rada stale prosiła Delegaturę o zwiększenie nakładów, a nawet pisała, że przyznawana kwota „nie pozwala na

⁶ Odnalezienie tej miejscowości na mapie przedwojennej Polski okazało się niemożliwe. Być może nazwa została zniekształcona lub miejscowość ta ani przed 1939, ani po 1945 r. nie wchodziła w obręb państwa polskiego.

jakąkolwiek działalność, która mogłaby być poważnie traktowana”. Nie wiadomo, ile pieniędzy Rada otrzymała do końca swej działalności. Szacuje się, że było to ok. 30 mln zł. Można mieć wątpliwości, czy Rada dostała od Delegatury wszystkie kwoty, jakie przesyłały dla niej Rząd RP i zagraniczne organizacje żydowskie. Z łącznej sumy 1,3 mln dolarów mamy bowiem potwierdzenie dostarczenia jedynie 600 tys. Nie wiadomo, co się stało z pozostałymi 700 tys. dolarów. Warto przy tym zauważyć, że sumy przeznaczane na „Żegotę” w ogólnym budżecie Delegatury nie były wysokie i sięgały maksymalnie 2,2 proc.

Nie można wykluczyć, że Delegatura przyznawała „Żegocie” jedynie takie sumy w ramach Budżetu Opieki Społecznej, które odpowiadały przedwojnemu udziałowi Żydów w społeczeństwie polskim (ok. 10 proc.)⁷. Potwierdzać to może rozdział funduszy na opiekę społeczną w 1943 r., z blisko 16,1 mln zł – na „Żegotę” przeznaczono 1,6 mln. Tymczasem na pomoc więźniom i dla pracowników umysłowych przeznaczono po ok. 5 mln zł, a więc przeszło trzykrotnie więcej. Prawie 8 mln zł wydano zaś na opiekę prowadzoną w ramach Departamentu Oświaty i Kultury⁸.

Napięcia między Delegaturą a Radą wywoływały także inne kwestie: organizacja lokalnych rad („Żegota” domagała się, by organizowała je Delegatura, ta jednak się wzbraniała, twierdząc, że obejmie opieką jedynie ciała już powołane oddolnie), zakup broni dla bojowników żydowskich (Rada traktowała to jako jedną z dróg pomocy, a Delegatura kategorycznie tego zakazywała), współpraca z komunistami (Rada uznawała, że dla ratowania życia ludzkiego musi szukać sojuszników wszędzie, ale Delegatura tego nie akceptowała), zwalczanie szantaży (Rada domagała się szybkich reakcji na plagę szmalcownictwa i wydawania wyroków śmierci, Delegatura zaś działała w tej kwestii ostrożnie i powoli), propaganda nawołująca do pomocy Żydom (Rada chciała, by pisano i mówiono na ten temat jak najwięcej, z kolei Delegatura, dążąc do przywództwa wśród konspiracji politycznej w kraju, nie chciała zniechęcić do siebie tych środowisk polskich, które były nastawione antysemitcko). Atmosfery nie poprawiało też to (choćby Delegatura nie miała zapewne na to więk-

⁷ M. Urynowicz, *Zorganizowana i indywidualna pomoc Polaków dla ludności żydowskiej eksterminowanej przez okupanta niemieckiego w okresie drugiej wojny światowej*, [w:] *Polacy i Żydzi pod okupacją niemiecką 1939–1945. Studia i materiały*, red. A. Żbikowski, Warszawa 2006.

⁸ W. Grabowski, *Rada Pomocy Żydom w strukturach Polskiego Państwa Podziemnego*, „Biuletyn IPN” 2010, nr 11 (120), s. 40–51.

Skład Prezydium RPŻ zmieniał się z biegiem czasu w następujący sposób: 1) prezesi: Julian Grobelny („Wolność, Równość, Niepodległość”) I 1943–II 1944; Roman Jabłonowski (bezpartyjny socjalista) V–VII 1944; Leon Feiner (Bund) XI (?) 1944–I 1945; 2) wiceprezesi: Tadeusz Rek (Stronnictwo Ludowe) I 1943–VII 1944; Leon Feiner (Bund) I 1943–VII 1944; 3) sekretarze: Adolf Berman (ŻKN) I 1943–I 1944, V–VII 1944; Szymon Gottesman (ŻKN) XI (?) 1944–I 1945; 4) skarbnik: Ferdynand Marek Arczyński (SD / Stronnictwo Polskiej Demokracji) I 1943–I 1945; 5) członkowie Rady: Ignacy Barski (FOP) zima 1942/1943; Władysław Bartoszewski (FOP) XII 1942–VII 1944; Piotr Gajewski (Robotnicza Partia Polskich Socjalistów) IV–VII 1944; 6) kierownicy referatów: mieszkaniowego – Emilia Hiżowa (POD/SPD) lato 1943; dziecięcego – Aleksandra Dargielowa lato 1943, Irena Sendlerowa (RPPS) jesień 1943–VII 1944; terenowego – Stefan Sendlak („Wolność, Równość, Niepodległość”) VII 1943–VII 1944; lekarskiego – Ludwik Rostkowski senior X 1943–VII 1944; Emilia Hiżowa (SPD) X 1943–VII 1944; 7) biuro Rady: Zofia Rudnicka (SD/SPD) XII 1942–VII 1944; Janina Raabe-Wąsowiczowa (SD/SPD) XII 1942–I 1945; Celina Jezierska-Tyszko (SD/SPD) jesień 1943–VII 1944; Władysława Paszkiewicz (SD/SPD) jesień 1943–VII 1944; przedstawiciel Delegatury Rządu przy RPŻ: Witold Bieńkowski (FOP) XII 1942–VII 1944; 8) Komisja Rewizyjna: Tadeusz Rek; Leon Feiner.

sięgo wpływu), że formułowana już w grudniu 1942 r. prośba Rady o utworzenie analogicznej instytucji w Londynie została spełniona dopiero w kwietniu 1944 r. Wówczas, kiedy było już zdecydowanie za późno, rząd RP powołał Radę do Spraw Ratowania Ludności Żydowskiej w Kraju z Adamem Ciołkoszem na czele.

Problemem dla Rady były też czasami postawy ludności żydowskiej, która nierzadko miała własne pomysły na przetrwanie wojny lub zorganizowanie akcji pomocy. Na przykład wiele osób, które można było uratować, nie chciało rozstać się z rodziną czy przekazać swych dzieci pod opiekę lub zbytnio obawiało się opuszczenia getta czy obozu i życia w konspiracji. Jak pisał kronikarz getta warszawskiego Emanuel Ringelblum: „Tych niebezpieczeństw jest o wiele mniej, niż się Żydowi wydaje. Toteż głównym niebezpieczeństwem są te wymyślone niebezpieczeństwa, te rzekome obserwacje sąsiada, dozorczy, administratora czy przechodnia na ulicy [...]”. Niektórzy też na tyle uwierzyli propagandzie niemieckiej – mówiącej, że dzięki pracy przetrwają wojnę – że nie chcieli z tej nadziei rezygnować. W raporcie z wyjazdu do obozu pracy w Starachowicach Tadeusz Sarnecki pisał: „Miejscowi Żydzi obawiali się kontaktu z nami i wprost powiedzieli, abyśmy więcej nie przychodzili. Stwierdzili, że mają znośne warunki bytu i że ze względu na swą użyteczność spodziewają się przetrwać wojnę”. Kłopotem było także upolitycznianie (analogiczne



Kontrola dokumentów w warszawskim getcie. Fot. AIPN

do tego po stronie polskiej) działalności w „Żegocie” przez konspirację żydowską. O skali problemu świadczy to, że już w raporcie Komisji Pomocy Społecznej dla Ludności Żydowskiej z grudnia 1942 r. jako jeden z powodów jej rozwiązania podawano „niemożność współdziałania z przedstawicielstwem ż[ydowskich] org[anizacji] pol[itycznych] / wniesienie [momen]tów pol[itycznych] do pracy wyłącznie charytatywnej”. Żydowskie ugrupowania polityczne domagały się też czasami, by pomagać tylko określonym osobom – zależnie od ich przynależności partyjnej. Cytowany wyżej Sarnecki wyznał po wojnie, że nie chcąc tracić możliwości ratowania ludzi, których jedyną „winą” były niewłaściwe sympatie polityczne (lub apolityczność), nie zawsze mówił swym zwierzchnikom prawdę: „podawaliśmy Radzie fikcyjne zestawienia, a więc tylu i tylu syjonistów, tylu i tylu bundowców, tylu ortodoksów itp. Wtedy bez kłopotu otrzymywaliśmy dla nich pieniądze i dokumenty, inną stosowną pomoc”.

Nie wiadomo oczywiście, jak przebiegałaby akcja pomocy, gdyby Rada nie miała tych wszystkich problemów. Bez wątpienia zawsze pozostawałoby uczucie, że zrobiono zbyt mało. Konspiracja polska, chociaż bardzo rozbudowana i zorganizowana, nie była w stanie obronić samej siebie. W niemieckie ręce wpadali nawet jej przywódcy – szef pionu cywilnego, Delegat Rządu na Kraj, Jan Piekalkiewicz



Żydzi przechodzący przez zasieki, getto warszawskie. Fot. NAC

(luty 1943 r.), czy dowódca pionu wojskowego, komendant Armii Krajowej, gen. Stefan Rowecki „Grot” (czerwiec 1943 r.). Nie mówiąc o przeciętnych Polakach – chwytanym w ulicznych łapankach, wysyłanym do przymusowej pracy, więzionym w obozach, osadzonym w więzieniach, rozstrzeliwanym i mordowanym za jakiegokolwiek prawdziwe lub wymyślone „przestępstwo”. Jedyną realną pomoc mogła przyjść od aliantów. Rosjanie jednak zerwali kontakty z rządem RP, by utorować drogę do utworzenia własnego, komunistycznego rządu w Polsce. Przywódcy Wielkiej Brytanii i USA uważali zaś zagładę Żydów za zbyt nieistotną, by się nią zainteresować. Jan Karski, kurier polskiego rządu, wspominał: „Szczzerze im mówiłem o beznadziejnej sytuacji Żydów, podkreślając, że pomoc może przyjść tylko z Zachodu. Polacy są bowiem bezsilni, mogą uratować jednostki, ale nie mogą zatrzymać procesu niszczenia Żydów”⁹. ■

⁹ M. Wierzyński, *Jan Karski. Emisariusz własnymi słowami*, Warszawa 2012, s. 170–172.



Marcin Urynowicz (ur. 1976) – historyk, dr, pracownik Biura Badań Historycznych IPN. Autor książek: *Żydzi w samorządzie miasta Kozienice 1919–1939* (2003); *Adam Czerniaków 1880–1942. Prezes getta warszawskiego* (2009); *Archiwum Ringelbluma. Konspiracyjne Archiwum Getta Warszawy*, t. 20: *Prasa getta warszawskiego. Ugrupowania prawicowe* (oprac., 2015) i in. Współautor tomu *Polacy i Żydzi pod okupacją niemiecką 1939–1945. Studia i materiały* (2006).



Żydzi przed wywiezieniem do Treblinki. Fot. *Raport Stroopa/AIPN*

Jan Żaryn

Polskie Państwo Podziemne wobec Zagłady (1942–1945)

Polska nie tylko wzięta na siebie obowiązek informowania świata o Zagładzie, lecz także podjęta starania, by udzielanie pomocy Żydom stało się jednym z celów trwającej wojny.

Zagłada na terenie Generalnego Gubernatorstwa – jednostki administracyjnej utworzonej przez Niemców z części okupowanych ziem polskich – trwała od pierwszych miesięcy 1942 r., a szczególnie od lipca tegoż roku, gdy

ruszyła akcja likwidacji getta w Warszawie. Już w sierpniu podziemna organizacja katolicka Front Odrodzenia Polski wystosowała apel pod znamionym tytułem Protest wybitnej pisarki Zofii Kossak-Szczuckiej: „Ginący Żydzi otoczeni są przez samych umywających ręce Piłatów. [...] Nie chcemy być Piłatami. Nie mamy możliwości czynnie przeciwdziałać morderstwom niemieckim, nie możemy nic poradzić, nikogo uratować – lecz protestujemy z głębi serc przejętych litością, oburzeniem i grozą. Protestu tego domaga się od nas Bóg, Bóg, który nie pozwolił zabijać. Domaga się sumienie chrześcijańskie. [...] Kto z nami tego protestu nie popiera – nie jest katolikiem”.

Te piękne słowa służyły autorce nie tylko do stworzenia pozytywnego klimatu wobec Żydów, z którymi nie zawsze było Polakom po drodze, lecz także do aktywnego włączenia się w indywidualne dzieło pomocy potrzebującym, uciekającym z gett czy z pociągów zmierzających do obozów śmierci. Pozostawieni bez środków do życia, schronienia i odzieży, skazani byli na tułaczkę po lasach, denuncjację i śmierć – bądź wstępowanie do grabieżczych band.

Czas „Żegoty”

Ucieczki z getta na stronę „aryjską” – coraz bardziej masowe od jesieni 1942 r., także z racji zbliżających chłódów – spotkały się z natychmiastową reakcją administracji cywilnej Polskiego Państwa Podziemnego. Z inicjatywy Kossak-Szczuckiej już we wrześniu 1942 r. powstał Tymczasowy Komitet Pomocy Żydom, przemianowany ostatecznie trzy miesiące później w Radę Pomocy Żydom „Żegota”, w skład której weszli przedstawiciele zarówno strony żydowskiej, jak i część środowiska Polski Podziemnej, głównie socjaliści i ludowcy oraz działacze FOP. Była to jedyna taka organizacja w skali całego świata, a jej cel stanowiło ratowanie Żydów i Polaków pochodzenia żydowskiego, według definicji wyznaczonej przez rasistowskie prawo okupanta. Rada została afiliowana przy Departamencie Spraw Wewnętrznych Delegatury Rządu na Kraj, stanowiąc kolejną część cywilną PPP¹. W kierownictwie RPŻ nie znalazła się ani Kossak-Szczucka, ani Wanda Krahelska – główne twórczynie Komitetu. Powodem – sądząc po zachowanych materiałach

¹ Zob. J. Żaryn, *Polacy ratujący Żydów w świetle nowych źródeł*, [w:] J. Żaryn, T. Sudoł, *Polacy ratujący Żydów. Historie niezwykle*, Warszawa 2014, s. 41 i nast.

RPŻ w Archiwum Akt Nowych – był spór co do formy działania „Żegoty”. Pisarka katolicka widziała powołaną przez siebie organizację jako strukturę konspiracyjną i obywatelską zarazem, która nie miałaby żadnych celów politycznych. Obawiała się, że zinstytucjonalizowanie organizacji stworzy wiele komplikacji i napięć, nie tylko na linii polsko-żydowskiej, lecz także wewnątrz polskich ugrupowań politycznych. Jednak naciski strony brytyjskiej, uzależniającej dopływ pieniędzy od sprawności państwa podziemnego, okazały się skuteczne. Jak słusznie pisał Waldemar Piasecki, autor monografii o Janie Karskim: „Fakt, iż to polski rząd instytucjonalnie zajmuje się pomocą Żydom, a nie struktury spontanicznie działające z porywu serca i sumienia, był oczywiście wykorzystywany w relacjach rządu Władysława E. Sikorskiego z ekipą [premiera Wielkiej Brytanii Winstona] Churchilla”².

Ambasador RP przy Stolicy Apostolskiej, dr Kazimierz Papée, raportował już w grudniu 1942 r. Sekretariatowi Stanu: »Niemcy eliminują całość populacji żydowskiej w Polsce«.

Rada za pośrednictwem Delegatury Rządu na Kraj otrzymywała pieniądze z budżetu państwa podziemnego, a także – poprzez rząd RP na uchodźstwie – od międzynarodowych organizacji żydowskich. Strona żydowska, czyli syjoniści z Żydowskiego Komitetu Narodowego oraz przedstawiciele Bundu pozostający w konspiracji, podporządkowała się

wówczas po raz pierwszy polskim władzom cywilnym i wojskowym w podziemiu. Współpraca środowisk polskich i żydowskich, choć niepozabawiona napięć – przede wszystkim z racji ograniczonych środków przeznaczanych na pomoc – była zbudowana na wspólnej świadomości ogromu potrzeb: „Jak wielkich na to potrzeba środków finansowych, niechaj przykładowo zaświadczy fakt, że na utrzymanie tylko 10 000 dzieci pozostałych w getcie warszawskim, licząc na każde nieprawdopodobnie niską kwotę 500 zł miesięcznie, potrzeba przynajmniej 5.000.000 zł miesięcznie. A tu przecież chodzi o pomoc dla kilku setek tysięcy ludzi w całym kraju. Dotację miesięczną w kwocie 50 000 zł przyznaną Radzie przez Delegaturę

² W. Piasecki do J. Żaryna, korespondencja elektroniczna z 23 X 2017 r.; por. W. Piasecki, *Jan Karski. Jedno życie*, t. 1 (1914–1939): *Madagaskar*, Kraków 2015; t. 2 (1939–1945): *Inferno*, Kraków 2017.

uważać należy wobec ogromu potrzeb tylko jako symbol pomocy” – alarmowali Witolda Bienkowskiego, „Jana”, „Kalskiego”, przedstawiciela Delegatury Rządu na Kraj, działacze RPŻ w styczniu 1943 r. Tenże z kolei dopisywał od siebie, kierując tajne pismo do Pełnomocnika Rządu RP i dalej do władz na uchodźstwie: „Rada prosi o przekazanie pośpieszną drogą iskrową do Londynu”. Stałe monitorowanie i przynaglanie rządu RP o kolejne środki świadczyło m.in. o mobilizacji struktur podziemnego państwa w realizacji kolejnego celu wojny, który ujawnił się w momencie rozpoczęcia przez Niemców w GG akcji likwidacyjnej polskich Żydów. „Ponadto nawiązany został kontakt z obozem w Skarżysku, gdzie przebywa 8 tys. Ż[ydów], którym można by udzielić potrzebnej im pomocy” – prosił kolejny raz o niezbędne środki finansowe Bienkowski, zwracając się do dyrektora Departamentu Spraw Wewnętrznych Delegatury Leopolda Rutkowskiego³.

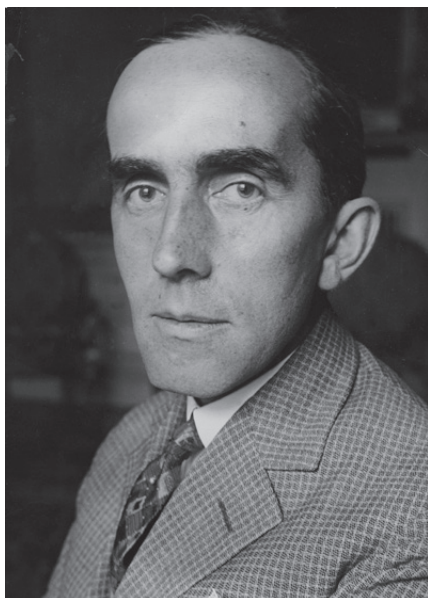
Misja Karskiego

Równoległe z powstawaniem nowej struktury konspiracyjnej, umocowanej organizacyjnie i finansowo przy Pełnomocniku (Delegacie) Rządu na Kraj, dotychczasowa siatka kurierska (m.in. cichociemni przybywający do kraju od 1941 r.) została obciążona nowymi zadaniami. Realizował je również kurier podziemia por. Jan Karski, pracujący w Biurze Informacji i Propagandy Komendy Głównej AK, a następnie w wydziale spraw zagranicznych Delegatury, kierowanym przez Romana Knolla. Karski, tak jak Kossak-Szczucka,



Jan Karski. Fot. ze zbiorów Międzynarodowego Instytutu Dialogu i Tolerancji im. Jana Karskiego

³ Archiwum Akt Nowych (AAN), DRnK, RPŻ, sygn. 202/XV/2, k. 84; por. J. Żaryn, *Po-lacy ratujący Żydów...*, s. 55.



Roman Knoll. Fot. NAC

należał do katolickiego FOP. Z inicjatywy Cyryła Ratajskiego, Delegata Rządu na Kraj, przed akcją likwidacyjną w getcie warszawskim z lipca 1942 r. Karski zaczął się przygotowywać do swej historycznej wyprawy londyńskiej. Przede wszystkim należało się spotkać ze wszystkimi przedstawicielami znaczących sił politycznych w podziemiu (od Stronnictwa Narodowego po PPS), z delegatem Ratajskim i kolegami z BIP-u, by otrzymać instrukcje i raporty z misją przekazania ich licznym odbiorcom w polskim Londynie – rządowi, działaczom partii politycznych itd.

To od Ratajskiego Karski dowiedział się o przedstawicielach syjonistów

i Bundu, którzy chcieli się z nim spotkać. Przygotowania do misji trwały kolejne miesiące i zbiegły się z dramatem getta warszawskiego, a następnie powstaniem z inicjatywy Zofii Kossak wspomnianego Komitetu. Ostatecznie Karski musiał wyruszyć z okupowanego kraju na początku października 1942 r., gdyż przygotowane dla niego fałszywe dokumenty dezaktualizowały się w połowie tego miesiąca. Po szczęśliwym dotarciu do Londynu Karski spotkał się z wicepremierem Stanisławem Mikołajczykiem, a następnie za pośrednictwem polskich dyplomatów dotarł do najważniejszych osób w Wielkiej Brytanii. Podjął także rozmowy z przedstawicielami Żydów polskich w Radzie Narodowej (emigracyjnej namiastce parlamentu), którzy natychmiast zaapelowali do rządu RP i do prezydenta Władysława Raczkiewicza o wzmocnienie akcji na rzecz pomocy Żydom.

Ruszyła lawina. Raport Karskiego, w części dotyczącej sytuacji Żydów, został wydany w języku angielskim z datą 10 grudnia 1942 r. jako nota dyplomatyczna adresowana przez polskie MSZ do przywódców USA i Wielkiej Brytanii⁴. Apele

⁴ Republic of Poland, *The Mass Extermination of Jews in German occupied Poland. Note addressed to the Governments of the United Nations on December 10th, 1942, and other documents*, London, New York, Melbourne [1942].



Paszport dyplomatyczny Jana Karskiego. Fot. AMSZ

o pomoc ukazywały się nie tylko w polskiej prasie wychodzącej na emigracji czy w BBC i innych rozgłośniach wolnego świata; różni dyplomaci dotarli bezpośrednio do rządów koalicji antyhitlerowskiej, przygotowując grunt pod późniejsze wizyty Karskiego. Także ambasador RP przy Stolicy Apostolskiej, dr Kazimierz Papée, już w grudniu 1942 r. raportował Sekretariatowi Stanu, powołując się na „wiarygodne źródło”, czyli raport Karskiego: „Niemcy eliminują całość populacji żydowskiej w Polsce. [...] Jeśli chodzi o liczbę polskich Żydów wymordowanych przez Niemców, szacuje się, że przekroczyła już milion. W samej Warszawie w połowie lipca 1942 roku znajdowało się w getcie około 400 tysięcy Żydów; w lipcu i w sierpniu wywieziono na wschód 250 tysięcy; 1 września wydano w tym getcie jedynie 120 tysięcy kart żywnościowych, a 1 października 40 tysięcy. Likwidacja przebiega w ten sam sposób w innych miastach polskich”⁵.

⁵ Cyt. za: J. Karski, M. Wierzyński, *Emisariusz własnymi słowami*, Warszawa 2012, s. 85.

Podjęta akcja dyplomatyczna odnosiła skutki w tym wymiarze, w jakim zależało to od strony polskiej – jak w przypadku akcji pomocowej prowadzonej przez placówkę dyplomatyczną RP w Szwajcarii, w tym przez Aleksandra Ładosia i szyfranta placówki berneńskiej Stanisława E. Nahlika⁶. Jednak skala pomocy zależała także od stron, do których apele – tak Karskiego, jak i pośrednio żydowskie z kraju – docierały i były wysłuchiwane: „Myśmy w getcie marzyli o wujku Rooseveltcie, jako naszym zbawcy – wspominał pisarz Antoni Marianowicz. – Nam się wtedy wydawało, że te wszystkie Morgentauy, Baruchy i Frankfurtery nas uratują, zrobią coś. A oni wszyscy się na nas wypięli. Nie kiwnęli palcem. Im było niewygodnie o nas słyszeć”⁷. Ta ocena była oczywiście zbyt surowa. W USA przedstawiciele żydowskich organizacji czynili niezwykle starania, m.in. zmierzające do mobilizowania opinii publicznej w państwach demokratycznych, jakimi były Wielka Brytania i Stany Zjednoczone, by zbierać pieniądze na rzecz ratowania Żydów w Polsce okupowanej przez Niemców.

Fundusze i inna pomoc

Środki finansowe na działalność RPŻ były przetrzucane przez kurierów, zwłaszcza drogą powietrzną. Nie było to łatwe. Część skoczków spadochronowych nie dolatywała do kraju, strącana przez niemiecką artylerię przeciwlotniczą, inni ginęli po wylądowaniu. Tracono część zrzuconych ładunków, w tym nie odnaleziono ok. 5 proc. nadesłanych walut (głównie dolarów). Skoczkowie wraz z ładunkami byli odbierani przez lokalne struktury Armii Krajowej, głównie kobiety („ciotki”), które zajmowały się legalizacją dokumentów i aklimatyzacją przybyłych ludzi w warunkach okupacji. Ładunki przejmowali mężczyźni (np. zakonspirowani policjanci granatowi), przetrzucając je do specjalnie przygotowanych magazynów. Inni członkowie konspiracji wymieniali waluty na czarnym rynku, jeszcze inni dostarczali je według rozdzielnika potrzebującym instytucjom państwa podziemnego, w tym Departamentowi Spraw Wewnętrznych Delegatury Rządu na Kraj. O skali pomocy w latach 1942–1944/1945 (w zależności od momentu pojawienia

⁶ O akcji dyplomatycznej władz polskich na rzecz pomocy Żydom w okupowanym kraju zob.: D. Stola, *Dyplomacja polska wobec Zagłady Żydów*, [w:] *Historia dyplomacji polskiej*, t. 5: 1939–1945, red. W. Michowicz, Warszawa 1999, s. 666–689.

⁷ Cyt. za: J. Hera, *Polacy ratujący Żydów. Słownik*, Warszawa 2014, s. 30.



Posiedzenie Rady do Spraw Ratowania Ludności Żydowskiej w Kraju, 25 maja 1944 r. Fot. NAC

się Armii Czerwonej) świadczą –nieprecyzyjne wprawdzie – dane wywiadowcze, pochodzące zarówno od Armii Krajowej, jak i służb niemieckich. W jednym z dokumentów z marca 1944 r., nadsyłanych z kraju do rządu RP na uchodźstwie, czytamy: „Sytuacja ukrywających się Żydów w Polsce katastrofalna. Tysiące potrzebują pomocy. Zupełne wyczerpanie osobistych rezerw. Sumy przysłane całkowicie rozchodowane przez Bund i Syjonistów na pomoc charytatywną. Konieczność przesłania b. dużych przekazów od Żydów amerykańskich, angielskich i palestyńskich. [...] Stan [liczbowy] żyjących Żydów na terenie GG określamy na ćwierć miliona”⁸. Analizy formułowane przez wywiad niemiecki, a obejmu-

⁸ Odpis meldunku „Kalskiego” [W. Bienkowskiego] wraz z projektem depechy Delegata Rządu RP na Kraj do Prezesa Rady Ministrów, Warszawa, 10–17 III 1944 r., [w:] *Rada Pomocy Żydom „Żegota” przy Pełnomocniku Rządu RP na Kraj i Referat Żydowski „Żegota” Departamentu Spraw Wewnętrznych Delegatury Rządu RP na Kraj. Dokumenty z zasobu Archiwum Akt Nowych 1942–1944*, wybór i oprac. M. Olczak, Warszawa [2015], s. 141–142 i 217.

» **Krajowe struktury podziemia, wojskowe i cywilne, wspierały akcję pomocy Żydom na różne sposoby, od bezpośredniej ochrony zagrożonych po działanie pośrednie na rzecz ratowanych.** »

jące lata 1943–1944, potwierdzały dane pozyskiwane z terenu przez wywiad AK, ale także ich niepewność: „[...] od listopada 1943 do 31 sierpnia 1944 [r.] w ramach zrzućców przekazano ponad ćwierć miliona dolarów wsparcia dla Żydów

na obszarze byłego państwa polskiego, przy czym później poszukiwano – jak się wydaje, daremnie – dokumentacji potwierdzającej rozdział tej sumy” – pisano w raportach z jesieni 1944 r.⁹ Suma ta, wobec skali finansowania PPP, wydaje się niska, ale trzeba pamiętać, że pomoc dla Żydów (w tym Polaków pochodzenia żydowskiego) była gwarantowana także z innych rubryk budżetowych, jak np. „pomoc społeczna” czy „sprawy wewnętrzne”, obejmujących obywateli II RP bez względu na pochodzenie¹⁰.

Dostarczanie pieniędzy „Żegocie” nie było jedynym zadaniem Delegatury Rządu na Kraj. Udzielała ona bowiem RPŻ stałej i doraźnej pomocy; przede wszystkim jej struktury okręgowe umożliwiły powstawanie lokalnych komórek Rady na terenie GG – w okręgach krakowskim i lwowskim. Po roku działalności Rady Pomocy Żydom pisano w sprawozdaniu nadesłanym do rządu RP w Londynie: „Rada dostarcza tych [fałszywych] dokumentów wszystkim Ż[ydom], którzy po takie dokumenty (przez odnośne organizacje) się zgłaszają, oraz przesyła je w terenie, nie pobierając za nie żadnych opłat, aczkolwiek płaci miesięcznie odnośnemu biuru [konspiracyjnemu ds. legalizacji] ryczałty w wysokości od 30 do 45 tys. zł. Ilość tych dokumentów dostarczonych przez Radę w okresie sprawozdawczym [a więc do października 1943 r.] wynosi kilka tysięcy”¹¹.

Rada kierowała także specjalnymi referatami zadanowymi, m.in. referatem dziecięcym z Ireną Sendlerową na czele, którego celem była opieka nad dziećmi,

⁹ Cyt. za: *Polskie podziemie w oczach wroga. Tajny raport dowódcy niemieckiego wywiadu gen. Reinharda Gehlena*, oprac. J. Rydel, A.L. Sowa, Kraków 2016, s. 161.

¹⁰ *Ibidem*. Zob. też W. Grabowski, *Polska tajna administracja cywilna 1940–1945*, Warszawa 2003, s. 150–152.

¹¹ Sprawozdanie z działalności Rady Pomocy Żydom przy pełnomocniku (delegacie) rządu RP na kraj za okres grudzień 1942–październik 1943, Warszawa, 23 X 1943 r., cyt. za: T. Prekero-wa, *Konspiracyjna Rada Pomocy Żydom w Warszawie 1942–1945*, Warszawa 1982, s. 390 i nast.



Spotkanie rządu gen. Władysława Sikorskiego i Rady Narodowej, Londyn, lata czterdzieste. Fot. NAC

w tym przekazywanie ich w bezpieczne miejsca, zwłaszcza do prywatnych domów i do żeńskich zgromadzeń zakonnych – niepełna lista zakonnice zaangażowanych bezpośrednio w tę pomoc liczy ponad 310 osób, z s. Matyldą (Marią) Getter na czele. Rada Pomocy Żydom działała głównie w Warszawie, ale miała też swoje okręgowe odpowiedniki w Krakowie i we Lwowie, utrzymujące stałą łączność z lokalnymi strukturami Armii Krajowej (od okręgów po placówki) i okręgowymi delegaturami Delegatury Rządu na Kraj. Rada dzieliła się w centrali i w okręgach na referaty zadaniowe: legalizacyjny, finansowy, dziecięcy, lekarski, odzieżowy (szczególnie ważny w okresach zimowych) i mieszkaniowy, w końcu propagandowy i akcji przeciwszantażowej. W ciągu pierwszego roku działalności Rada wydała cztery ulotki o łącznym nakładzie 25 tys. egzemplarzy. „Ulotki te – jak czytamy w sprawozdaniu z działalności RPŻ – były kolportowane po domach i rozlepiane

na murach Warszawy i miast prowincjonalnych¹². Niezależnie od tego, komunikaty RPŻ wzywające do udzielania pomocy i piętnujące szantażystów były publikowane w prasie konspiracyjnej. Działacze Rady, polscy i żydowscy, szukając lokali konspiracyjnych czy pokoju lub mieszkania pod wynajem, a także przejmując fałszywe dokumenty, musieli stale rozbudowywać swoje kontakty z innymi komórkami podziemia oraz szukać ludzi godnych zaufania, którzy bez zbędnych pytań wykonają zlecone zadanie, np. skontaktują z fryzjerami farbującymi włosy na blond, z lekarzami (jak dr Zofia Franio) udającymi się do chorych lub zapisującymi stosowne lekarstwa dla osoby ukrywającej się, z kapłanami i pracownikami kancelarii parafialnych fałszującymi dokumentację, w końcu z właścicielami mieszkań szukającymi najemcy czy z pracownikami w domach i gospodarstwach (od dworów ziemiańskich po chłopskie zagrody i domy zakonne, sierocińce oraz bursy), w których mogli pozostawić swoich podopiecznych. Siatka RPŻ współpracująca z terenowymi ogniwami PPP oraz ludnością cywilną obejmowała zatem tysiące osób, gotowych do przyjęcia zadania zleconego przez działaczy Rady, nie zawsze do końca świadomych znaczenia przysługi.

Krajowe struktury podziemia, wojskowe i cywilne, wspierały zatem akcję pomocy Żydom na różne sposoby, od bezpośredniej ochrony zagrożonych po działanie pośrednie na rzecz ratowanych. Jak wspominał gen. Tadeusz Bór-Komorowski, gdy tylko 29 lipca 1942 r. do kierownictwa Armii Krajowej dotarła wiadomość, że „transporty Żydów idą do obozu koncentracyjnego w Treblince i że tam znikają bez śladu. [...] [komendant główny AK gen. Stefan] Rowecki, decydując się jak zwykle szybko, uznał, że nie możemy przyglądać się biernie temu, co się dzieje, i że w takim stopniu, w jakim to jest możliwe, musimy przyjść Żydom z pomocą. W tej myśli zwołał odprawę ścisłego kierownictwa¹³. W Biurze Informacji i Propagandy KG AK działał specjalny referat ds. mniejszości narodowych, w tym podreferat żydowski, którym kierował Henryk Woliński „Wacław”. Jego zadaniem było m.in. zbieranie informacji na temat położenia Żydów w GG.

Ważną inicjatywą – prowadzoną głównie przez Kierownictwo Walki Cywilnej i przez AK – była akcja antyszantażowa, będąca odpowiedzią na jedną

¹² *Ibidem.*

¹³ T. Bór-Komorowski, *Armia Podziemna*, Warszawa 2009, s. 119.

z plag czasu okupacji. „Walka z szantażem jest prowadzona. Leży ona w interesie całego ruchu Polski Podziemnej” – przyznawano w raporcie Bundu z czerwca 1943 r.¹⁴

Filosemici z AK

W szeregach podziemia – w Armii Krajowej i Narodowych Siłach Zbrojnych, a szczególnie w oddziałach komunistycznych – służyli żołnierze pochodzenia żydowskiego. Oddziały AK wyzwoliły w czasie Powstania Warszawskiego w sierpniu 1944 r. Żydów z więzienia przy ul. Gęsiej (tzw. Gęsiówki). Podobnie w terenie partyzanci Armii Krajowej wyzwolali więźniów z aresztów, np. Stanisław Sojczyński „Warszyc”, dowódca oddziału dywersyjnego Obwodu AK w Radomsku, wraz ze swoimi żołnierzami wyzwolił m.in. Żydów, po udanym ataku na miejscowy areszt gestapo w sierpniu 1943 r. Część z nich znalazła się później w oddziałach partyzanckich. W ostatnich dniach wojny Brygada Świętokrzyska NSZ, stacjonując na tyłach frontu niemieckiego, wyzwoliła ok. 1,5 tys. więźniarek obozu koncentracyjnego w Holiszowie, w tym kilkaset Żydówek.

Uciekając z getta do lasów, Żydzi łączyli się początkowo z oddziałami partyzantki komunistycznej (GL i AL), realizującej sowieckie zadania polityczne, ale jednocześnie dającej szansę na przeżycie (na obcym terenie i przy braku wsparcia ze strony polskich oddziałów, Żydzi mogli jedynie stworzyć bandy grabieżcze lub oddziały szybko likwidowane przez Niemców. „[...] na własną rękę zaczęli się organizować, zdobyli trochę broni. Inicjatorem był Gecel Frydland, lat 24, z Borysławia. Grupa liczyła zrazu 19 osób. Uzbrojeni i zaprowiantowani wyszli – wspominał dr Maurycy Karpf. – W terenie okazało się, że nie byli przygotowani. Przez dwa dni wędrowali po lasach, po trzech dniach, wycieńczeni zupełnie, zostali wytropieni przez chłopą ukraińskiego. Otoczeni przez Niemców, nawet nie mogli stawić oporu...”. Niestety, także z rąk komunistycznej partyzantki, często napadającej na polskie wioski, groziła Żydom śmierć.

Olbrzymim wsparciem dla RPŻ i wszystkich, którzy zajmowali się pomocą Żydom, była obecność w terenie Armii Krajowej, w tym struktur wywiadowczych i kontrwywiadowczych, a także dywersyjnych i likwidacyjnych (z wyroku

¹⁴ Cyt. za: A. Żbikowski, *Karski*, Warszawa 2011, s. 388.

» **Olbrzymim wsparciem dla RPŻ i wszystkich, którzy zajmowali się pomocą Żydom, była obecność w terenie Armii Krajowej, w tym struktur wywiadowczych i kontrwywiadowczych, a także dywersyjnych oraz propagandowych.** »

Rzeczypospolitej rozstrzelujących szmalcowników i agentów niemieckich) oraz propagandowych. W „Biuletynie Informacyjnym”, głównym organie KG AK, stale podawano przypadki bestialstwa Niemców, na-

woływano do pomocy potrzebującym i grożono sankcjami za jakiegokolwiek przejawy kolaboracji z okupantem. Podobnie czyniła liczna prasa centralna i lokalna AK oraz podziemnych partii politycznych, a przede wszystkim Kierownictwo Walki Cywilnej. Już we wrześniu 1942 r., na progu ostatecznej zagłady narodu żydowskiego, w podziemnej „Rzeczypospolitej Polskiej” (organie KWC) w sposób jednoznaczny ustosunkowało się do tragedii Żydów: „Masowy ten mord nie znajduje przykładu w dziejach świata, bledną przy nim wszystkie znane z historii okrucieństwa. [...] Nie mogąc czynnie temu przeciwdziałać, Kierownictwo Walki Cywilnej w imieniu całego społeczeństwa polskiego protestuje przeciw zbrodni dokonywanej na Żydach. W tym proteście łączą się wszystkie polskie ugrupowania polityczne i społeczne. Podobnie jak w sprawie ofiar polskich, odpowiedzialność fizyczna za zbrodnie spadnie na katów i ich współników”¹⁵. Komenda Główna AK i dowództwa okręgów (np. warszawskiego) podejmowały także decyzje o dostarczeniu broni żydowskiemu ruchowi oporu, przed i w czasie powstania w getcie warszawskim z wiosny 1943 r. Pod osłoną żołnierzy AK część bojowców została wyprowadzona poza getto.

* * *

Biorąc pod uwagę skalę pomocy udzielanej Żydom przez PPP i rząd RP na uchodźstwie, można stwierdzić z całą odpowiedzialnością, że celem wojny prowadzonej przez Polaków z Niemcami stała się także próba uratowania narodu żydowskiego od Zagłady. W dzieło pomocy zostały zaangażowane wszystkie struktury państwa, tak cywilne, jak i wojskowe, krajowe i emigracyjne. Ta jedno-

¹⁵ Cyt. za: S. Wroński, M. Zwolakowa, *Polacy – Żydzi 1939–1945*, Warszawa 1971, s. 124.

znaczna postawa elit polskich z lat 1942–1945 wpisała się także w nastroje narodu – coraz wyraźniej buntującego się i coraz bardziej przejmującego się losem polskich Żydów. Tak opisywał te nastroje dowódca AK, gen. Bór-Komorowski: „Zasada odpowiedzialności zbiorowej, stosowana przez Niemców wobec ludności za każdy wykonany przez nas akt oporu czy sabotażu, zmusiła nas do szukania takich metod, które by uniemożliwiły odwety tego rodzaju. Musieliśmy także wyrównać stosunek strat własnych i strat zadawanych wrogowi. Tymczasem w polskiej opinii publicznej pod koniec roku 1942 zaszła zmiana. Społeczeństwo polskie, które do tej pory niechętnie było wystąpieniu podziemia z bronią w rękę, zaczęło sobie zdawać sprawę, że niepodobna dalej biernie poddawać się eksterminacji. Zmiana ta nastąpiła nie tylko na skutek niepowodzeń niemieckich na różnych frontach wojennych. Bezpośredniego jej powodu należy szukać w samej Polsce. Mam na myśli masowe wymordowanie Żydów przez Niemców”¹⁶. Polacy byli bowiem kolejnym narodem przewidzianym do całkowitego wytępienia. ■

¹⁶ T. Bór-Komorowski, *Armia Podziemna...*, s. 118 i nast. (tamże cały rozdział poświęcony akcji AK na rzecz ratowania Żydów).



Jan Żaryn (ur. 1958) – historyk, prof. dr hab., senator RP. Redaktor naczelny miesięcznika „W Sieci Historii”. Autor książek: *Kościół w PRL* (2004); *„Taniec na linie, nad przepaścią”*. *Organizacja Polska na wychodźstwie i jej łączność z krajem w latach 1945–1955* (2011); *Kościół, naród, człowiek czyli Opowieść optymistyczna o Polakach w XX wieku* (2012); (z Tomaszem Sudołem) *Polacy ratujący Żydów. Historie niezwykłe* (2014) i in.

Anna Zechenter

Szarytki otworzyły drzwi Żydom

Nie sposób policzyć Żydów uratowanych pod niemiecką okupacją przez zakonnice ze Zgromadzenia Sióstr Miłosierdzia św. Wincentego à Paulo, znane jako szarytki. Ze strzępów ocalałych świadectw wyłania się imponujący obraz udzielanej przez nie pomocy.

Kurs obrony przeciwgazowej dla szarytek ze szpitala św. Rocha w Warszawie, lata trzydzieste. Fot. NAC

Dla Irit Romano dzień, w którym dotarła do domu szarytek w Ignacowie, oznaczał koniec długiej gehenny. Trzynastoletnia dziewczynka z Mińska Mazowieckiego miała za sobą koszmar rocznego głodu w getcie, potem tułaczkę od domu do domu po „aryjskiej” stronie, gdzie przyjmowano ją na jakiś czas pod dach. Wysłuchiwała gróźb wiecznie pijanego chłopca, którego żona udzieliła jej schronienia, że wyda ją Niemcom, i wreszcie odbyła samodzielną wyprawę po metrykę do kościoła w Mińsku w 1943 r. Księdzu podała zmyślane nazwisko i imiona rodziców, a ten wystawił jej dokument zaświadczający, że nazywa się Irena Kowalczyk i jest nieślubnym dzieckiem Zofii ze wsi Cudna. Pomijając osobę ojca, ograniczył jej dane do niezbędnego minimum, zmniejszając ryzyko zidentyfikowania dziecka przez Niemców. Mieszkała na wsi, szczęśliwa, że jest „znajdkiem” – bo tak na nią zaczęto wołać. „Znajdek” miał prawo żyć, Żydówka nie. Gdy w końcu gospodarz kazał się jej wynosić, czy to żywiąc podejrzenia o sfałszowanie metryki, czy po prostu ze zwykłego skąpstwa, jego żona poradziła Irit-Irenie, żeby szukała pomocy u siostr pod Mińskiem.

„Gdy przyszedłam do klasztoru, poszłam do siostry przełożonej i dałam jej swoją metrykę – napisała w relacji złożonej w 1987 r. w Tel Awiwie i opublikowanej przez Ewę Kurek w książce *Dzieci żydowskie w klasztorach. Udział żeńskich zgromadzeń zakonnych w akcji ratowania dzieci żydowskich w Polsce w latach 1939–1945*. – Byłam już wtedy na tyle mądra, że zdawałam sobie sprawę, iż moja metryka mówi wszystko. Siostra nie pytała mnie o nic, tylko powiedziała, że będę pracowała w kuchni, gdzie będzie dość jedzenia i będzie mi ciepło. Najcudowniejsze u siostry przełożonej było to, że nie powiedziała nikomu, co stoi w metryce, lecz rozgłosiła, że przywiózł mnie ze sobą ksiądz z Jakubowa. W klasztorze nie byłam więc już ani Żydówką, ani »znajdkiem«.

Od siostry Ireny Szpak, swojej imienniczki, z którą pracowała w ogrodzie, dostała na urodziny wyhaftowaną bluzkę: „Była i jest najlepszym prezentem mojego życia. [...] Miałam uczucie, że jeszcze raz jestem człowiekiem, bo tylko człowiek człowiekowi daje podarunki i robi coś specjalnie dla niego” – napisała w swoim świadectwie.

Szczątki danych

Wierne swojej dewizie „Miłość Chrystusa Ukrzyżowanego ponagła nas!”, siostry – od chwili powstania zgromadzenia we Francji w drugiej połowie XVII w. – wspierały chorych i słabych, prowadząc szpitale, domy starców, sierocińce oraz ochronki i opiekując się potrzebującymi w ich domach.



Dom wychowawczy im. ks. Gabriela Boduena przy ul. Nowogrodzkiej w Warszawie. Fot. NAC

Gdy nastał czas prześladowania Żydów, stawały po wielkroć przed strasznym konfliktem sumienia: narazić swoich podopiecznych, przyjmując żydowskie dziecko lub dorosłego, czy odesłać potrzebującego od furty? Sytuacja wymagała bowiem od nich nie tylko wierności posłannictwu, ale i czujności wobec prowokacji, słowem – intuicji. Bo bywało przecież tak, że do drzwi pukał mężczyzna z dzieckiem, prosił o wsparcie, a za nim wkraczali Niemcy. A na obszarze okupowanej Polski, w odróżnieniu od zajętych przez III Rzeszę krajów zachodnich, karą za podanie Żydowi kromki chleba mogło być rozstrzelanie na miejscu.

Działalność szarytek na ziemiach polskich ograniczała się do Generalnego Gubernatorstwa i częściowo Okręgu Białystok – na terytorium wcielonym do Rzeszy albo je rozpędzono, albo strzeżono tak, że jakakolwiek akcja na rzecz Żydów była nie do pomyslenia. Nikt też nie prowadził żadnych rejestrów, ślady pobytu Żydów w klasztorach zacierano, zachowały się zatem szczątkowe dane i zaledwie kilka dokładniejszych relacji zakonnic oraz ludzi uchronionych przed śmiercią dzięki ich poświęceniu.

„Anioł zszedł z nieba...”

W haftowanej bluzeczce Irit, podarunku od siostry Ireny Szpak, brała po wojnie ślub jej przyjaciółka z czasów klasztornych, Frania Aronson. Ocalała jako jedyna z rodziny, gdy Niemcy wywieźli w 1942 r. jej najbliższych ze Stanisławowa na Mazowszu do obozu w Treblince. Po długiej tułaczce, skulona z zimna i głodna, straciwszy nadzieję i siły do ukrywania się po lasach, wyszła wprost na szosę. Chciała, żeby Niemcy ją złapali i położyli koniec udreće. „Gdybym była bardzo wierząca, to powiedziałabym, że jakiś anioł zszedł z nieba...” – napisała w swoim świadectwie dla Ewy Kurek z 1987 r. Był luty 1942 r., miała gołe nogi i bluzkę z krótkimi rękawami. I wtedy właśnie na jej drodze stanęła starsza kobieta, wskazując wieżę kościelną: „Tam są zakonnice, idź tam, może cię przyjmą”. „Uklękałam na kolana i modliłam się. Po raz pierwszy modliłam się do Jezusa. Przynurzałam Mu, że jeśli przyjmą mnie do klasztoru i przeżyję wojnę, to znaczy, że On jest prawdziwym Bogiem i ja nigdy Go nie opuszczę” – wspominała.

Dotarła szczęśliwie do Zakładu Wychowawczego dla Dziewcząt w Ignacowie. Wtedy zobaczyła zakonnice pierwszy raz w życiu. I bardzo się przestraszyła – szarytki nosiły wówczas jeszcze na głowach szerokie krochmalone kornety.



Dzieci żydowskie w Lublinie, 1940 r.

Fot. PAP

Przyjęła ją siostra Marcjanna Reszko. „Dużo nie pytała. Może zrozumiała, kim jestem, ale widocznie nie chciała wiedzieć, bo była zainteresowana, by ratować człowieka” – wspominała Franciszka w 1976 r. w liście do jednej z siostr, opublikowanym przez Annę Jurczak w opracowaniu *Zgromadzenie Sióstr Miłosierdzia św. Wincentego à Paulo Sług Ubogich Chorych. Prowincja warszawska*. Dziewczyna została u zakonnice do końca wojny i choć potem wyjechała do Izraela, kontakt z nimi utrzymywała latami. W relacji z 1987 r. napisała: „Pochodzę z bardzo religijnej żydowskiej rodziny. Po pierwsze, młody człowiek jest bardzo elastyczny. Po drugie, będąc w klasztorze – gdyby to był nie wiem kto, też by uwierzył! Być w tej atmosferze, w tym życiu... w tym ładnym życiu. Zakonnice ładnie żyją!”. Chrtu jednak nie przyjęła, bo wszyscy jej bliscy zginęli „za to, że byli Żydami”. „Nie mogłam zdradzić swoich bliskich, swojego narodu” – wyznała.

„Modlili się wszyscy”

Ze strzępów ocalałych świadectw wyłania się rozmiar pomocy udzielonej przez szarytki. Najwięcej żydowskich dzieci przygarnął Dom Wychowawczy im. ks. Boduena przy Nowogrodzkiej w centrum Warszawy, gdzie pracowały siostry – już



Kładka nad ul. Chłodną w Warszawie łącząca dwie części getta, luty 1942 r.

Fot. NAC

Gdy nastał czas prześladowania Żydów, siostry stawały po wielekroć przed strasznym konfliktem sumienia: narazić swoich podopiecznych, przyjmując żydowskie dziecko lub dorosłego, czy odesłać potrzebującego od furty?

w 1939 r. przejął wychowanków zakładu żydowskiego „Pogotowie”, a potem rodzice sami zaczęli tam podrzucać zagrożone dzieci. Jak podaje Anna Jurczak, wśród 96 wychowanków było 45 dzieci żydowskich.

Liczba podopiecznych żydowskiego pochodzenia rosła przy Nowogrodzkiej tak szybko, że część umieszczano dla bezpieczeństwa w filiach domów szarytek w Klarysewie i Górze Kalwarii oraz wysyłano do Ignacowa. Zachowała się relacja o odwadze i przytomności umysłu siostry Józefy Sadowskiej, która zagroziła Niemcom drogę na oddział, na którym przechowywano żydowskie dzieci, ostrzegając w maseczce na twarzy przed szkarlatyną i tyfusem. „Dobry Bóg odpuści mi to kłamstwo” – miała wyszeptać, kiedy intruzi się wycofali.

Nie wiadomo, ile osób ukrywało się w Domu Opatrzności Bożej przy Rakowieckiej, ponieważ siostra Alojza Rowińska zatajała ich tożsamość nawet przed personelem. Podobnie było w Ignacowie, gdzie – jak pisze Jurczak – „żadna (!) z sióstr nie wiedziała, ile Żydówek przebywa w zakładzie”. Przy Rakowieckiej przetrwała okupację dr Eleonora Reicher, późniejsza założycielka warszawskiego Instytutu Reumatologii. Miała zwyczaj spacerować po ogrodzie, a nawet wymykać się do miasta. Kiedyś zdumiony Niemiec zapytał ją na ulicy, dlaczego z „takim wyglądem” przechadza się poza gettem. Ale przetrwała. „Nie wiem, kto wyprosił ten cud u Opatrzności Bożej. Modlili się wszyscy” – wspominała siostra Natalia Grabowska.

Tylko cztery Sprawiedliwe

Szarytki z zakładu na Tamce w Warszawie ukrywały dzieci przez całe lata; siostra Mamerta Sienkiewicz z Opoczna wyszukiwała bezpieczne miejsca dla małych podopiecznych w mieście; siostry z Bialegostoku jeździły po wkroczeniu Niemców w 1941 r. po wsiach, wyszukując i zabierając ze sobą wynędzniałe sieroty – żydowskie, polskie, rosyjskie.

Nie pytały o światopogląd potrzebujących: w Domu Miłosierdzia św. Wincenego, gdzie ukrywano starsze dzieci, schronienie znalazła żydowska dziewczyna, której narzeczonemu, komuniście, szarytki też nie odmówiły miejsca. Po wojnie

oboje wybrali życie po stronie wrogów Kościoła – dziewczyna w cenzurze, a jej mąż w Komitecie Centralnym PPR.

Za swoim powołaniem szły siostry z Ochrony św. Wincentego w Kielcach, Sali Sierot w Lublinie, Domu św. Marcina w Supraślu. Dorosłych przygarniały zakonne przytułki dla starców w Warszawie, w Górze Kalwarii, w Mieni. Dom Pracy św. Rodziny w Radomiu przekazywał do getta worki żywności, kobiety z dziećmi przechowywano w tamtejszej kaplicy. Żydzi znajdowali pomoc w szpitalach, w których posługiwały szarytki: Szpital Przemienienia Pańskiego w Warszawie ukrywał około trzydziestu osób; do stołecznego Szpitala dla Dzieci przy ul. Kopernika trafiały dzieci żydowskie – także te z płonącego w 1943 r. getta; w Szpitalu Wolskim dr Leon Manteuffel – po wojnie kardiochirurg światowej sławy – przeprowadzał operacje plastyczne twarzy, by zmienić semickie rysy.

Tylko cztery polskie szarytki: Kazimiera Małolepszy, Janina Popławska, Marcjanna Reszko i Julia Sosnowska, zostały uhonorowane po wojnie izraelskim medalem Sprawiedliwy wśród Narodów Świata. Brak świadectw i restrykcyjna procedura, wymagająca, by ocalony Żyd osobiście złożył zeznanie, zamknęły drogę przed upamiętnieniem innych siostr – przecież nie każdy przygarnięty przez nie człowiek przeżył, nie każdy pamiętał szczegóły.



Ofiara głodu w getcie warszawskim, 1941 r.

Fot. Bundesarchiv

„Przywrócono mnie żydostwu”

Różne były powojenne losy ocalonych dzieci – po wiele z nich zgłosiły się rodziny, ale też liczne zostały „przejęte” z aprobatą władz komunistycznych przez żydowskie organizacje, przekazujące je do adopcji rodzinom wyznającym judaizm na Zachodzie. Niejeden dramat rozegrał się, gdy dzieciom przyszło rozstawać się z bliskim im środowiskiem, do którego trafiły jako niemowlęta i w którym wyrosły.

Zdarzało się, że dzieci ukrywane przez siostry zaczynały garnąć się do katolicyzmu. W historii Miriam Saadii znajduje odzwierciedlenie ów dramatyczny splot uwarunkowań, z którym przyszło mierzyć się i siostrą, i dziećmi. Uratowana przez szarytki Miriam wybrała własną drogę – postanowiła wstąpić do klasztoru. Rodziny nie miała, zakonnice wysłały ją zatem po wojnie do gimnazjum niepokalańskiego w Jarosławiu. Rok przed maturą odnalazł ją człowiek z Izraela. Dowiedziała się od niego, że jej dziadkowie wyjechali przed wojną do Palestyny i życzą sobie mieć ją u siebie. Dziewczyna nie chciała słyszeć o wyjeździe – przede wszystkim dlatego, że odnalazła swoje zakonne powołanie.

Kiedy jednak przyszedł telegram, że dziadek kona i pragnie ujrzeć ją przed śmiercią, człowiek ów dał jej pierścionek z brylantem jako gwarancję powrotu – za pieniądze z jego sprzedaży w Izraelu miała kupić bilet do Polski. Do wyjazdu przekonywały też siostry, napominając, że woli umierającego nie wolno lekceważyć. „To było oszustwo – napisała w relacji złożonej w 1988 r. Ewie Kurek. – Już na statku zabrano mi krzyż i różaniec. Dziadek wcale nie zamierzał umierać”. Biletu powrotnego nie kupiła, bo okazało się, że dostała paszport w jedną stronę. „Nie mogłam zdać polskiej matury, nie mogłam zostać zakonnicą. Myślałam, że zwa-riuję. Tak przywrócono mnie żydostwu”. Wydano ją za egipskiego Żyda, urodziła dzieci, doczekała wnuków – wszyscy oni są wyznawcami judaizmu.

Dylematy i dramaty

Nie budziła aprobaty żydowskich środowisk praktyka chrzczenia dzieci w klasztorach. Nie znamy liczby osób, którym udzielono tego sakramentu, wiemy jednak, że postawione w sytuacji wyboru siostry chrzczyły niemal odruchowo dzieci umierające – tak samo uczyniłyby z każdym człowiekiem w stanie krytycznym. Niekiedy przesądzającą rolę grały względy bezpieczeństwa – sakrament otwierał przed ukrywanymi drogą do Komunii Świętej podczas liturgii, co wykluczało podej-

rzenia innych mieszkańców o ich żydowskie pochodzenie. Przecież w klasztorach i przytułkach były też dzieci chrześcijańskie, uczestniczące wraz z ukrywanymi Żydami w nabożeństwach – i dla nich jasne było, że ten, kto nie przyjmuje Ciała Pańskiego przy ołtarzu, chrześcijaninem nie jest.

Siostry wystawione zostały na zaiste niełatwą próbę: przyjmując żydowskie dziecko, nie tylko narażały całą wspólnotę na nieszczęście, lecz także musiały rozstrzygać we własnych sumieniach problem etyczny wielkiej wagi. Z jednej strony nie wolno im było dopuścić do świętokradztwa, z drugiej zaś miały obowiązek ratowania bliźnich. Wiele zależało od sytuacji w konkretnym klasztorze czy sierocińcu, bo żadnych szczegółowych instrukcji czy zaleceń władz kościelnych w okupacyjnej rzeczywistości być nie mogło. Najczęściej każda wtajemniczona musiała decydować sama, kierując się własnym rozeznaniami moralnymi.

Z wielu relacji wynika, że przeważało podejście aprobujące prawo rodziców do wyboru wyznania. Czasem sami Żydzi, nie widząc dla siebie ratunku, oddawali dzieci siostrom z prośbą: „Chowajcie! To już wasze!” bądź podrzucali z karteczką: „Ochrzćcie i wychowajcie” – wtedy dalszy los dziecka był w rękach zakonnic.

Chrześcijanom równie trudno poczuć ciężar każdego takiego dramatu, jak Żydom zrozumieć, że chrzczenie dzieci służyło wyłącznie uniknięciu tragedii, która dotknęłaby nie tylko je, lecz także wszystkich podopiecznych domów zakonnych, sierocińców oraz szpitali; że Kościół nie wykorzystywał sytuacji, by rozpocząć „polowanie na duszyczki” – co zarzucił klerowi katolickiemu w grudniu 1942 r. w swoich zapiskach Emanuel Ringelblum, żydowski historyk i działacz społeczny, twórca podziemnego archiwum getta warszawskiego, zamordowany przez Niemców w roku 1944.

Podczas jednego ze spotkań warszawskich środowisk żydowskich w 1942 r., kiedy stawało się jasne, że Adolf Hitler i jego współpracownicy przygotowują Zagładę, zaczęto rozważać racje przemawiające za skorzystaniem z opieki zakonnic. Wyrażano różne opinie – ani jedna z odnotowanych przez Ringelbluma nie zakładała dobrej woli duchowieństwa, nikt z zebranych nie rozumiał, że Kościół chce czynić swoją powinność zgodnie z nauką Chrystusową, ryzykując życie wielu chrześcijan. „Kler katolicki zawsze wykorzystywał ciężkie chwile w życiu Żydów [...], żeby pozyskać dorosłych i dzieci. Ten moment odgrywa zapewne najważniejszą rolę, mimo iż kler zapewnia, że nie ma zamiaru ochrzcić dzieci żydowskich,



Zakład wychowawczy dla dziewcząt w Ignacowie prowadzony przez szarytki, stan przedwojenny. Fot. NAC

które przyjmie do zakładów” – zapisał Ringelblum. Tymczasem szarytki, nie mając nawet świadomości, że wspólnoty żydowskie posądzają Kościół o jak najgorsze intencje, ratowały dzieci od 1939 r. ■

BIBLIOGRAFIA

- Jurczak A., *Zgromadzenie Sióstr Miłosierdzia św. Wincentego à Paulo Sług Ubogich Chorych. Prowincja warszawska*, seria „Studia i Materiały do Historii Chrześcijaństwa w Polsce. Żeńskie Zgromadzenia Zakonne w Polsce 1939–1947”, t. 14, Lublin 2000.
- „Kto w takich czasach Żydów przechowuje?...” *Polacy niosący pomoc ludności żydowskiej w okresie okupacji niemieckiej*, red. A. Namysło, Warszawa 2009.
- Kurek E., *Dzieci żydowskie w klasztorach. Udział żeńskich zgromadzeń zakonnych w akcji ratowania dzieci żydowskich w Polsce w latach 1939–1945*, Zakrzewo 2012.
- Ringelblum E., *Kronika getta warszawskiego*, Warszawa 1983.



Anna Zechenter (ur. 1959) – pracownik Oddziału IPN w Krakowie. W latach osiemdziesiątych działaczka antysystemowej opozycji. W 1994 r. opublikowała na łamach „Czasu Krakowskiego” i „Życia Warszawy” raporty agentów Stasi. Autorka książek: *KGB gra w szachy* (2010); *Kremłowskie trucizny* (2012); *Pod czerwoną okupacją. Adam Macedoński w rozmowie z Anną Zechenter* (2013); (z D. Gorajczykiem, M. Komaniecką, K. Samsonowską i M. Szyptmą) *Zbrodnia katyńska. Materiały edukacyjne* (2014) i in.

Sprawiedliwi wzorem człowieczeństwa

Z dr. Mateuszem Szpytmą, zastępcą Prezesa IPN, pomysłodawcą i pierwszym szefem Muzeum Polaków Ratujących Żydów podczas II wojny światowej im. Rodziny Ulmów, a także honorowym członkiem Polskiego Towarzystwa Sprawiedliwych wśród Narodów Świata, rozmawia Maciej Foks

Rozmawiamy w 75. rocznicę utworzenia Rady Pomocy Żydom „Żegota”. Jak ocenia pan wojenną postawę Rzeczypospolitej wobec Zagłady?

Państwo polskie zachowało się jak trzeba, wypełniło zobowiązania, walczyło, nie skapitulowało. Ani przez sekundę wojny nie brało udziału w zbrodniach totalitaryzmów. Nie zawieraliśmy z Niemcami żadnego układu, nie było przekazywania władzy itp. Od pierwszego do ostatniego dnia wojny Polska była zawsze po właściwej stronie, co miało także konsekwencje w relacjach między etnicznymi Polakami i tymi, którzy byli pochodzenia żydowskiego. Nie było rządowej, instytucjonalnej kolaboracji z niemieckim okupantem. Natomiast w każdym społeczeństwie ujawniają się w czasie wojny bardzo różne postawy. Są bohaterowie i zdrajcy, a także osoby przytłoczone

rzeczywistością, które stoją obok, niezależnie od tego, czy współczują, czy nie. Podobnie w polskim społeczeństwie obserwowaliśmy całą gamę zachowań. Często jestem pytany, czy pomocy dla Żydów było dużo, czy mało. Patrząc na to, jak wiele było do zrobienia, ilu było potrzebujących, można powiedzieć, że było jej za mało. Z drugiej strony, obserwując sytuację, w jakiej byli Polacy, biorąc pod uwagę, że groziła im kara śmierci (a wiemy, że w Europie Zachodniej niemiecka okupacja była znacznie łagodniejsza, i np. za ratowanie Żydów groziły zwykle tylko kary finansowe) – liczbę osób ratujących Żydów można uznać za znaczną.

A może nie było instytucjonalnej kolaboracji, bo Niemcy nie byli tym zainteresowani?

Polska w 1939 r. mogła prosić o rozpoczęcie negocjacji kapitulacyjnych zamiast walczyć do końca. Tak jak to czyniła Francja w 1940 r. Mogłoby to oznaczać przyjęcie warunków Niemców. Byłoby to dla nich wygodne z różnych względów, również propagandowych. Ale nie było takiej opcji, bo Polska nie zamierzała kapitulować. I nie zamierzała z Niemcami kolaborować. To, że Niemcy nie stworzyli konkurencyjnego „pseudorządu”, wynikało z różnych przesłanek. Ale faktem jest, że nie mieli tutaj takiego zaplecza jakie dawał im np. Vidkun Quisling w Norwegii. To także brali pod uwagę. Sondowali różne osoby, np. byłego trzykrotnego premiera II RP Wincentego Witosa. Bez skutku.

Rejestr faktów represji na obywatelach polskich za pomoc ludności żydowskiej w okresie II wojny światowej, dostępny w bibliotece cyfrowej IPN, wspomina również o innych karach stosowanych na terenie okupowanej Polski.

Zarządzenia okupanta najczęściej groziły śmiercią. Rzadziej przewidywały inne formy represji, jak np. osadzenie w więzieniu. Niemcy jednak, będąc panami życia i śmierci Polaków i Żydów, robili co im się podobało. Mogli zamordować za domniemanie pomocy, a równie dobrze ukarać pobiciem czy rabunkiem mienia (w przypadku kobiet też gwałtem) za rzeczywiste wsparcie uciekiniera z getta. To zależało nierzadko od fantazji lokalnego niemieckiego urzędnika czy żandarma wymierzającego karę na miejscu. Pamiętajmy, że zarządzenia niemieckie nie miały na celu spowodowania „respektowania prawa”, ale przede wszystkim wytłumaczenie własnych bestialstw. To ofiary miały być zobowiązane ich treścią, nie zaś oprawy. Nielegalne i zagrożone śmiercią ze strony Niemców było nawet dożywia-





Mateusz Szpytma oprowadza po muzeum w dniu jego otwarcia. Fot. Maciej Foks

nie czy kupowanie czegośkolwiek od Żydów. Jak dzisiaj ma ktoś udowodnić, że jest Sprawiedliwym wśród Narodów Świata, bo wynosił w pole jedzenie? Mnóstwo przejawów pomocy było i pozostało anonimowych. I nie wszystkie polegały na przechowywaniu ludzi w domu. Jeśli Żyd uciekł z getta i przetrwał kilka miesięcy dzięki pomocy anonimowych ludzi w obcym dla niego terenie, a na koniec został zastrzelony przez Niemców – nigdy się o tych osobach nie dowiemy. Jeśli mu pomogło w tym czasie kilka albo kilkanaście osób – pozostaną anonimowe.

Niemcy rozpoczęli likwidację getta warszawskiego w lipcu 1942 r. „Żegota” powstała w grudniu. Czy nie za późno?

Ależ pomocy Polacy udzielali już wcześniej. Czyniły to indywidualne osoby, niekiedy konspiracyjne środowiska polityczne (zwłaszcza lewicowe). Takiego wsparcia materialnego udzielał Żydom np. miejski Wydział Opieki Społecznej w Warszawie. Pamiętajmy także, że od lutego 1942 r. przy ZWZ i następnie AK istniał Referat Żydowski, który nie tylko informował Rząd na Uchodźstwie (a za jego pośrednictwem opinię światową) o losie polskich Żydów, ale również udzielał wsparcia powstałym później Żydowskiej Organizacji Bojowej i Żydowskiemu Komitetowi Narodowemu.

Czy można ustalić liczbę Polaków, którzy ratowali Żydów, oraz tych, którzy zapłacili najwyższą cenę za tę pomoc?

Z badań kierowanych w IPN przez dr Aleksandrę Namysło i prof. Grzegorza Berendta, dziś wicedyrektora Muzeum II Wojny Światowej, wynika, że jest to kilkaset osób ustalonych z nazwiska. Naukowcy zebrali przypadki udokumentowane również w źródłach niemieckich, umieszczając w *Rejestrze* tylko te z nich, gdzie wyraźnym

powodem skazania jest pomoc udzielana Żydom. Z kolei ks. Paweł Rytel-Andrianik i Artur Rytel-Andrianik z zespołem ustalili 1059 osób zamordowanych za pomoc Żydom. Ich nazwiska są umieszczone w sanktuarium NMP Gwiazdy Nowej Ewangelizacji i św. Jana Pawła II w Toruniu. Odpowiedź na pytanie, jak wielu Polaków ratowało Żydów, jest jeszcze trudniejsza. Po pierwsze zależy to w dużej mierze od tego, jak definiujemy pojęcie „pomocy”. Nikt nie przeprowadził na ten temat dokładnych badań, więc podawane w literaturze dane są szacunkowe. Jan Żaryn mówi, że takich osób mogło być nawet milion, dr Marcin Urynowicz szacuje je na 300 tys. Z najróżniejszych przyczyn wymienić z nazwiska można o wiele mniej osób; wspomniany już prof. Grzegorz Berendt do tej pory ustalił ich ok. 10 tys.

Pomocy Żydom udzielały też instytucje kościelne, zakony.

Wiele zgromadzeń, w szczególności żeńskich, otworzyło się na pomoc. Irena Sendlerowa, kierowniczka referatu dziecięcego „Żegoty”, miała z ich strony duże wsparcie. Było poczucie, że trzeba ratować życie, nie zważając na religię i narodowość. Warto podkreślić, że Kościół mocno wówczas represjonowano. Trudno znaleźć drugą grupę społeczną, która byłaby tak bardzo represjonowana jak kapłani.

Kiedy w okresie Polski „ludowej” zaczęto mówić o Sprawiedliwych?

Przez kilka lat po wojnie wiele mówiono o martyrologii narodu żydowskiego. Później jednak władze komunistyczne nagle wygasily temat. Wśród niewielkiej ilości tekstów najpoważniejszym dziełem z lat PRL jest książka Władysława Bartoszewskiego i Zofii Lewinówny *Ten jest z ojczyzny mojej* (I wydanie 1966, kilkakrotnie wznawiana). Do dziś pozostaje ona cennym źródłem. Autorzy dokonali wielkiej rzeczy, zbierając informacje, które w latach późniejszych mogły być już niedostępne. Potem przez wiele lat znowu nie było woli władz, żeby zajmować się tym tematem. Od 1963 r., w którym rozpoczęto przyznawanie medali *Yad Vashem* dla Sprawiedliwych, otrzymywali go również Polacy, nie było to jednak szczególnie nagłaśniane. Komuniści w większym zakresie do tematyki żydowskiej pozwolili wrócić w drugiej połowie lat osiemdziesiątych. Wyraźne zwracanie uwagi w Polsce na heroizm i dokonania Sprawiedliwych zaczęło się dopiero w XXI w., a właściwie najpełniej w ostatnich dziesięciu latach. Tak naprawdę rozpoczęło się od Ireny Sendlerowej...

...której Parlament RP poświęcił rok 2018. W jaki sposób Instytut Pamięci Narodowej planuje włączyć się w obchody?

Naszym akcentem będzie całkowicie nowa wystawa o Radzie Pomocy Żydom „Żegota”, którą w roku Ireny Sendlerowej chcemy pokazywać w kraju i za granicą. Także jeszcze w tym roku odbędzie się konferencja ukazująca postawę narodów okupowanych przez Niemców wobec Holocaustu.

Pochodzi Pan z Markowej. Kiedy po raz pierwszy usłyszał Pan o historii Ulmów i straszliwej cenie, jaką zapłacili za ratowanie Żydów?

Kiedy byłem dzieckiem, w albumie rodzinnym zobaczyłem zdjęcia osób, których nie znałem. Rodzice wyjaśnili mi, że przedstawiają one rodzinę Ulmów, zamordowaną przez Niemców (Wiktoria Ulma była siostrą mojej babci i mamą chrzestną mojego taty). Kiedy w 2000 r. rozpocząłem pracę w IPN, uświadomiłem sobie, że poza Markową zbrodnia ta w zasadzie nie jest znana. Wiosną 2003 r. zachęciłem lokalne władze do postawienia pomnika. Na uroczystość odsłonięcia w 2004 r. przybył Abraham Segal, jeden z Żydów uratowanych przez markowian. Temat wzbudził zainteresowanie nie tylko polskich mediów. Do Markowej zaczęły przyjeżdżać wycieczki z Izraela – ok. 5 tys. osób rocznie. Pojawił się więc pomysł, aby opowiedzieć im więcej o historii ukrywania Żydów przez rodzinę Ulmów. Wraz z Bogdanem Romaniukiem, ówczesnym prezesem Stowarzyszenia Szczęśliwy Dom im. Rodziny Ulmów, przekonaaliśmy do idei budowy Muzeum władze województwa podkarpackiego. Korzystając z bogatego dorobku oddziałów IPN w Rzeszowie i Krakowie, stworzono wystawę stałą poświęconą nie tylko Ulmom, ale i innym Polakom ratującym Żydów.

Muzeum jest ciekawie rozwiązane pod względem architektonicznym.

Byłem ekspertem komisji konkursowej powołanej przez Muzeum–Zamek w Łańcucie realizujące inwestycję i cieszę się, że miałem udział w wyborze tego niezwykle odważnego projektu. Przemawia w nim nie tylko wystawa, ale i sama architektura. Jest to muzeum-pomnik, które nikogo nie pozostawia obojętnym. Nie jest to tylko jedno z wielu małych muzeów.

W Muzeum w Markowej znajduje się rekonstrukcja domu Ulmów.

Poprzez jego nietypowe odtworzenie chcieliśmy pokazać, na jakiej powierzchni przez niemal półtora roku musiało żyć szesnaście osób. Umieściliśmy w nim zachowane sprzęty domowe, których używały, oraz dokumenty osobiste i zdjęcia.

Najnowszym sukcesem Muzeum w Markowej jest decyzja ministra kultury i dziedzictwa narodowego o utworzeniu jego filii w Nowym Jorku.

To znakomita wiadomość. Powstanie takiej placówki w „stolicy świata” może być przełomem w walce o pokazanie za granicą wkładu Polski w zwycięstwo nad niemieckim nazizmem. Stwarza szansę, by przedstawić realia niemieckiej okupacji. Zwłaszcza za oceanem obraz Polski podczas II wojny światowej jest bardzo zniekształcony. Możemy to zmienić, pokazując „Żegotę”, Irenę Sendlerową, Jana Karskiego, Witolda Pileckiego oraz tych, którzy jak Ulmowie oddali życie za ratowanie Żydów.

Jakie projekty IPN zrealizowali wspólnie z Muzeum?

Największym była chyba ogólnopolska akcja „Kamienie Pamięci”, zorganizowana przez Oddział IPN w Rzeszowie, podczas której uczniowie przedstawiali sylwetki osób ratujących Żydów w różnych regionach Polski. Niedawno odbyło się szkolenie dla nauczycieli, które Muzeum zorganizowało wspólnie z naszymi pracownikami z oddziału krakowskiego.

Podkarpacie jest przebadane pod względem Sprawiedliwych, a inne regiony?

Niestety, inne regiony Polski nie doczekały się tak wyczerpujących prac jak napisane przez prof. Elżbietę Rączy z rzeszowskiego oddziału IPN. Jest to zadanie wymagające długotrwałej i żmudnej pracy źródłowej. Dodatkowo powstała w ostatnich latach presja na badaczy, którzy prowadzą badania nad pomocą dla Żydów. Są oni często negatywnie szufladkowani. Mówi się im czasem, że starają się tworzyć alibi, które ma chronić Polaków przed zarzutami o rzekomą współodpowiedzialność za Holocaust. A przecież chodzi o prawdę, o rzetelność badań naukowych, pokazujących wszystkie aspekty sytuacji, wynikłej ze zbrodniczych decyzji niemieckiego państwa. Bez tej ogromnej maszyny urzędniczej, militarnej i prawnej, która nosiła nazwę Rzesza Niemiecka, nie byłoby na ziemiach polskich żadnego Holocaustu. To Rzesza przeprowadziła ludobójstwo Żydów. To ona chroniła i nagradzała każdego, kto podjął w tym zakresie współpracę z Niemcami. Nie można rozmywać niemieckiej odpowiedzialności państwowej za Holocaust. Nawet mówiąc o osobach czy grupach osób innej narodowości, które wzięły udział w zbrodni nie można pomijać ochrony prawno-państwowej ze strony Rzeszy, jaką uzyskiwali zbrodniarze. Inaczej budowalibyśmy fałszywe punkty odniesienia do fałszywej oceny. Paradoksalnie prowadzą one do zdejmowania odpowiedzialności z państwa i społeczeństwa, które na swego wodza wybrało Adolfa Hitlera. Do wybielania roli milionów żołnierzy, funkcjonariuszy i działaczy spod znaku swastyki. Brak uwzględnienia roli państwa niemieckiego prowadzi do absurdalnych pytań typu: skoro zbrodni Holocaustu dokonywali wszyscy, to dlaczego czepiamy się akurat Niemców?

Holocaust to zbrodnicze dzieło Rzeszy Niemieckiej. Jeśli ktoś spośród polskich obywateli poszedł jej służyć – dokonywał aktu zdrady Rzeczypospolitej Polskiej.

Jakie badania dotyczące ratowania Żydów prowadzi IPN?

Istnieje centralny program badawczy dotyczący stosunków polsko-żydowskich. Chciałbym, by zbadano stosunki polsko-żydowskie i żydowsko-polskie w poszczególnych regionach podczas okupacji niemieckiej, w tym w sposób wyczerpujący także pomoc udzielaną Żydom. Nie jest to proste ze względu na ograniczoną liczbę pracowników, którzy się tym zajmują. Ale nawet to nie tłumaczy, dlaczego tak niewiele wiemy o ratowaniu Żydów np. na Lubelszczyźnie. Staramy się to jednak zmienić.

Dzieci Ireny Sendlerowej, W ciemności, Sprawiedliwy, Historia Kowalskich, a ostatnio Azył, nakręcony poza Polską – to przykłady filmów poświęconych Sprawiedliwym.

Jak Pan ocenia obecność tego tematu w kinematografii polskiej i światowej?

Uważam, że nadal brakuje pełnometrażowego filmu fabularnego, który by swoją treścią, a jednocześnie wysokimi walorami artystycznymi przemówił do światowej opinii publicznej.

Z inicjatywy Prezydenta 17 marca będzie Narodowym Dniem Pamięci Polaków Ratujących Żydów.

To bardzo ważne. Będzie to stale mobilizowało instytucje państwowe i różne środowiska, by pamiętać o tych, którzy narażali życie swoje i bliskich, aby przyjść z pomocą prześladowanym Żydom. Będzie także przypominało o ofierze tych, którzy za taką pomoc zginęli. Życia pomordowanym przez Niemców nie przywrócimy. Możemy jednak ich ofiarę ocalić od zapomnienia. Obowiązkiem państwa jest ukazywanie bohaterów, jako wzór do naśladowania. I ten obowiązek spełniamy. ■

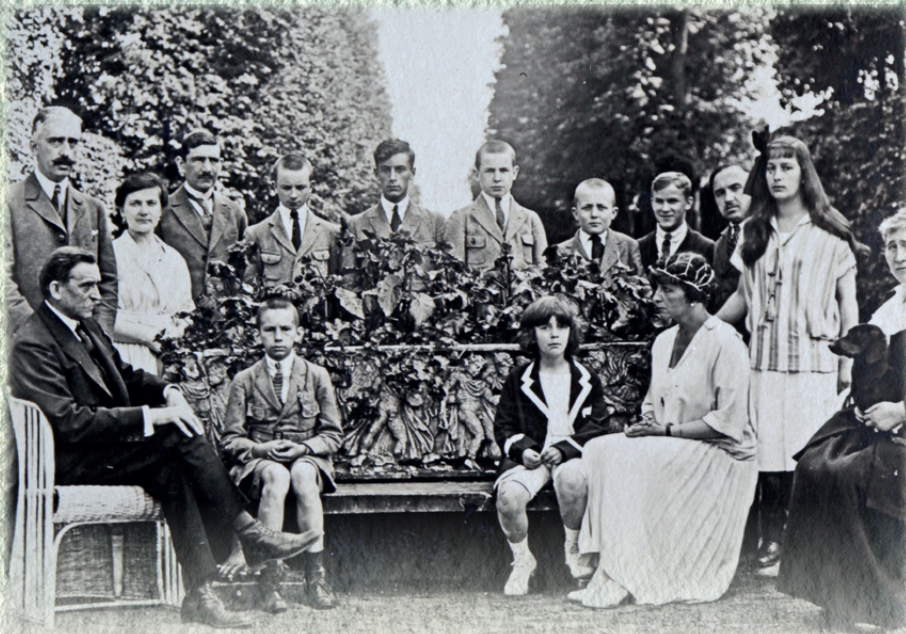


Zeskanuj kod lub wpisz adres strony i przeczytaj publikację:
http://www.pamiec.pl/rejestr_faktow



Maciej Foks (ur. 1975) – redaktor portalu edukacyjnego IPN Pamięć.pl, autor wywiadów i notacji ze świadkami historii, w szczególności więźniami niemieckich obozów koncentracyjnych i zagłady.





Janusz i Anna (z Lubomirskich) Radziwiłłowie z rodziną w Nieborowie, 1921 r.

Agnieszka Łuczak

Zasady w czasach pogwałcenia zasad

Radziwiłłowie

Ród Radziwiłłów herbu Trąby wywodzi się z Wielkiego Księstwa Litewskiego, gdzie od XV w. piastował wysokie urzędy. Przedstawiciele tej arystokratycznej dynastii byli wszechstronnie wykształceni, już od XVI stulecia kształcili się na europejskich uniwersytetach, regularnie podróżowali za granicę. Nie brakuje w tej rodzinie osób wielce zasłużonych dla Polski.

Mecenas sztuki i polityk

Radziwiłłowie posiadali rezydencje w Antoninie, Nieborowie z Arkadią, Nieświeżu, Ołyce i Warszawie. Protoplastą linii berlińskiej był Antoni Radziwiłł (1775–1833), ordynat przygodzicki, nieświeski i ołycki. Został ożeniony z księżniczką pruską Fryderyką Luizą Hohenzollern, bratanicą króla Fryderyka II, i zamieszkał w Berlinie. Życie księstwa Radziwiłłów toczyło się między ich „Hotel de Radziwill” w Berlinie przy Wilhelmstraße 77 a Poznaniem, gdzie książę Antoni aktywnie włączył się w życie polityczne po kongresie wiedeńskim, otrzymując stanowisko namiestnika (1815–1833) Wielkiego Księstwa Poznańskiego. Był zwolennikiem porozumienia między szlachtą wielkopolską a rządem pruskim, jednak stanowczo sprzeciwiał się próbom germanizacji ludności.

Poza działalnością polityczną znane jest jego zainteresowanie sztuką. „Było to w Poznańskim, w otoczonym wielkimi lasami zamku księcia Radziwiłła, w nie licznym, ale bardzo doborowym towarzystwie. Rano polowaliśmy, wieczorem muzykowaliśmy” – wspominał Fryderyk Chopin w 1840 r. swój pobyt w Antoninie.

Antoni Radziwiłł utrzymywał imponujące kontakty wśród ludzi kultury swoich czasów. Do jego przyjaciół i znajomych należeli poeta Johann Wolfgang Goethe i kompozytor Ludwig van Beethoven. Chopin napisał dla księcia *Poloneza* op. 3 oraz zadedykował mu *Trio g-moll* op. 8. Beethoven zadedykował Radziwiłłowi *Uwerturę* op. 115. Antoni Radziwiłł, jak na mecenasa sztuki przystało, był wszechstronnie wykształcony, utalentowany muzycznie, grał na wiolonczeli, komponował (m.in. cenioną muzykę do *Fausta* Goethego, polonezy na fortepian, utwory wiolonczelowe, romanse, pieśni).

Przywódcą konserwatystów

Wyrazistą postacią, odgrywającą w XX w. ważną rolę w polskiej polityce, był prawnik Antoniego – Janusz Radziwiłł (1880–1967), który działał w Rządzie Rady Regencyjnej, a następnie organizował służbę dyplomatyczną II Rzeczypospolitej. Przewodniczył polskiej delegacji na konferencji w Rydze w 1921 r.

„Jedyną osobistością, obdarzoną autorytetem i którą rzeczywiście szanowałem, był w tym środowisku [konserwatystów] Janusz Radziwiłł: Miał wyrobione poglądy w każdej dziedzinie, zarówno gdy szło o politykę zagraniczną jak o sprawy gospodarcze, i wielką inteligencję” – wspominał księcia Jerzy Giedroyc w 1994 r.



Pałac myśliwski Radziwiłłów w Antoninie.

W II Rzeczypospolitej Radziwiłł odgrywał znaczącą rolę jako jeden z przywódców polskich konserwatystów. Był jednym z animatorów Bezpartyjnego Bloku Współpracy z Rządem i jego wiceprezesem (1928–1930), posłem na sejm (1928–1935) i senatorem (1935–1939). W 1937 r. wstąpił do sanacyjnego Obozu Zjednoczenia Narodowego. Trafnie zdiagnozował oba totalitaryzmy, które zagrażały w XX w. polskiemu społeczeństwu: „Zarówno narodowy socjalizm, jak komunizm są kierunkami ideowymi, które wyrosły na obcym nam zupełnie gruncie, które tym samym obce są naszej kulturze i naszej psychice narodowej. Zachodzi więc niebezpieczeństwo, byśmy pod ich wpływem nie ztratili naszego własnego oblicza ideowego i nie odeszli od pewnych kardynalnych zasad, które nam przyświecały w ciągu tysiącletnich dziejów i na których oparta jest polska kultura” – pisał w swojej pracy *Kilka uwag o konserwatyzmie* w 1938 r.

Solidaryzm społeczny

Książę Radziwiłł był ponadto zaangażowany w działalność w licznych organizacjach i stowarzyszeniach społecznych i gospodarczych. Był m.in. wieloletnim wiceprezesem Centralnego Związku Przemysłu, Górnictwa i Handlu oraz baliwem (prezydentem) Związku Polskich Kawalerów Maltańskich. Statutowa działalność tego związku polegała na „[...] zakładaniu, utrzymywaniu i wspieraniu domów

chorych i podobnych zakładów [a w czasie wojny na] pielęgnowaniu chorych i rannych wojskowych [...]”. Janusz Radziwiłł w 1936 r. zainicjował i współfinansował budowę małego szpitala maltańskiego w Ołyce oraz przekazał fundusze na szpital maltański w Warszawie przy ul. Senatorskiej 40, który służył chorym przez całą wojnę, w tym w czasie Powstania Warszawskiego.

Radziwiłł wspierał finansowo edukację zdolnych chłopców w szkole z internatem w Pszczynie. Księżę z żoną Anną pragnęli, aby ich dzieci uczyły się w zwyczajnych warunkach. Założyli internat przy szkole państwowej w Pszczynie, gdzie umieścili swych synów i grupę młodzieży ze spokrewnionych rodzin. Uczęszczali oni do państwowej szkoły i gimnazjum z dziećmi robotników, sklepikarzy, kolejarzy i rolników. I tam zdawali maturę.

Pomoc uchodźcom

W pierwszych dniach po wybuchu II wojny światowej i agresji III Rzeszy na Polskę szczególnie ważna okazała się opieka i pomoc udzielona polskim uchodźcom, którzy we wrześniu 1939 r. dotarli do majątków księcia Janusza Radziwiłła. Katarzyna Z.D. w relacji *Pobyt u Księcia Radziwiłła w Ołyce* wspomina: „Z Księciem Radziwiłłem [...] zetknęłam się w tragicznych dniach września 1939 roku, kiedy to ewakuacja ludności na Pomorzu zaprowadziła nas do Ołyki. [...] Księżę ze swoimi poddanymi powitał nas serdecznie i zaprosił na śniadanie. Każdej rodzinie przydzielono bochen białego, wspaniałego chleba, osefkę masła i białego sera, ugotowane jajka i dzbanek gorącego mleka. Dzisiaj po latach rozumiem, jakie to było wielkie przedsięwzięcie, nakarmienie ogromnej masy ludzi, którzy wylegli ze składu pociągu złożonego z kilkudziesięciu wagonów osobowych. [...] Księżę wraz ze swoimi ludźmi dwoił się i troił, aby dotrzeć do każdej rodziny. [...] Mając nas, uciekinierów, na głowie, organizował w zamku szpital polowy dla rannych żołnierzy przywożonych z frontu. Wielką rolę odgrywali w tym księżna ze swoimi służącymi”.

Janusz Radziwiłł we wrześniu 1939 r. został razem z rodziną aresztowany przez władze sowieckie i uwięziony na Łubiance w Moskwie. Uwolniony po interwencji dworu włoskiego zamieszkał w okupowanej Warszawie. Prowadził aktywną działalność na rzecz ofiar niemieckiego terroru w ramach Polskiego Państwa Podziemnego, m.in. w Stołecznym Komitecie Samopomocy Społecznej i Radzie Głównej Opiekuńczej (RGO), a także wspierał Delegaturę Rządu na Kraj.

„Janusz Radziwiłł był [...] puklerzem, za którym w pierwszych latach okupacji kipiła najbardziej skryta robota podziemna. [...] Pałac Radziwiłłów przy Bielańskiej 14 był chyba jednym z bardzo nielicznych budynków w Warszawie, gdzie noga gestapowca nie stanęła. Tam więc odbywały się zebrania organizującego się wtedy ruchu oporu. Drugim miejscem spotkań, przeważnie w soboty, był pałac w Nieborowie, gdzie nie było Treuhändera [powiernika], a majątkiem zarządzał syn księcia, Edmund” – wspominał po latach Stanisław Wachowiak, wiceprezes RGO z okresu okupacji.



Anna i Janusz Radziwiłłowie w 25. rocznicę ich ślubu.

O Radzie Głównej Opiekuńczej, organizacji dobroczynnej działającej w Generalnym Gubernatorstwie za zgodą Niemców, tak wyrażała się pisarka Zofia Kossak-Szczucka: „Instytucja zacna, użyteczna, arcyniepopularna. Mówiono o niej z przekąsem i lekceważeniem: »to Ergieło«... Niby że »Ergieło« to tchórze, że drżą przed Niemcami, że odzęgnują się od Podziemia... A »Ergieło« wydawało parę milionów obiadów dziennie, cała zabiedzona inteligencja polska żyła zupkami RGO, kuchnie RGO pokrywały gęstą siecią Generalną Gubernię, obok kuchni przytułki, sierocińce, ochronki. Bezcenna akcja społeczna zakrojona na wielką skalę nie mogła być, rzecz prosta, konspiracyjną. Była legalna, zależała od okupanta i musiała zachowywać pozory ścisłej lojalności, czego żyjące w temperaturze wrzenia społeczeństwo nie mogło przebaczyć. Mało kto wiedział wówczas, że ta pozornie lojalna proniemiecka machina posiada z Podziemiem kontakty nadzwyczaj bliskie. Wszystkie »grube ryby« konspiracyjne pokrywały swą właściwą rolę pracą w RGO, dającą im dobre alibi”.

Rada weszła także w porozumienie ze środowiskiem żydowskim, podejmując współpracę przy organizowaniu instytucji charytatywnych, takich jak sierocińce i przytułki. To właśnie w obecności Janusza Radziwiłła, w jego warszawskim pa-



Ślub Edmunda Radziwiłła, syna Janusza, i Izabelli z Radziwiłłów, 1934 r.



Podczas wojny Izabella Radziwiłłowa ukrywała w Nieborowie dzieci żydowskie.

łacu przy ul. Bielańskiej 14, wiosną 1940 r. toczyły się rozmowy w sprawie udzielenia pomocy dla Żydowskiej Samopomocy Społecznej.

Sprawiedliwa księżna Izabella

Pomoc rodziny Radziwiłłów dla ludności żydowskiej w GG nie ograniczała się tylko do legalnej działalności w ramach RGO. Pałac Radziwiłłów przy ul. Bielańskiej w czasie okupacji niemieckiej znajdował się tuż obok getta i kanałami przechodziły do niego dzieci żydowskie, którym pomocy udzielała Izabella z Radziwiłłów Radziwiłłowa (1915–1996), synowa księcia Janusza.

„Dzieci żydowskie dostawały jedzenie w specjalnie do tego przeznaczonym pokoju, z zamkniętymi okiennicami. Następnie wypełniano im menażki, w których niosły jedzenie dla swoich rodzin. Dzieci były małe, mogły mieć 8–10 lat, były potwornie smutne i wyraz ich oczu pozostał na zawsze w mej pamięci. Pewnego dnia dzieci przestały przychodzić [...]” – wspominała Izabella Radziwiłłowa.

Ponadto w pałacu Radziwiłłów w Nieborowie księżna Izabella ukrywała dzieci żydowskie, a po Powstaniu Warszawskim – prof. Tadeusza Nusbauma-Hilarowicza z żoną i córką. Księżna uczyła wówczas dzieci żydowskie języka polskiego. Lekcje te odbywały się m.in. w pałacu w Wilanowie w rodziny Branickich. Według ustaleń



Dziewczynki pochodzenia żydowskiego (mają na sukienkach wyhaftowane litery), ukrywające się w pałacu w Nieborowie w czasie niemieckiej okupacji 1939–1945.

Jarosława Durki, dzieci żydowskie przewożono następnie do pałacu w Nieborowie, gdzie opiekowali się nimi ks. Stefan Niedzielak i siostra Matylda Getter. Za swoje zasługi księżna Izabella otrzymała po wojnie medal Sprawiedliwy wśród Narodów Świata.

Represje

W styczniu 1945 r. Janusz Radziwiłł został ponownie aresztowany przez NKWD wraz żoną Anną. Przewieziono ich 4 marca do położonego niedaleko Moskwy Krasnogorska i umieszczono w strzeżonym budynku, należącym do osiedla NKWD Braszczaty nr 43. Dwa kilometry dalej za drutami znajdował się obóz jeniecki nr 27, gdzie więziono wyższych oficerów niemieckich i węgierskich, a także kilku Włochów i grupę Japończyków. Byli to ludzie pozostający w sferze sowieckich zainteresowań, których można by w jakiś sposób politycznie wykorzystać. Przechowywano tam m.in. Marię z Lubomirskich Zamoyską, Beatę z Potockich Branicką, Adama Branickiego, Franciszka Zamoyskiego, Izabellę z Radziwiłłów Radziwiłłową, Xawerego Krasickiego, Annę z Branickich Wolską, Zeneidę z Zamoyskich Poklewską-Kozieł, Krystynę z Radziwiłłów Milewską. Sam Janusz Radziwiłł tak wspominał okres uwięzienia w Krasnogorsku:



Cegielka Rady Głównej Opiekuńczej, 1943 r.

„[...] rygory nie były zbyt surowe, traktowanie względnie poprawne. Dręczyła niepewność jutra. Minął rok, półtora – nikt nie pofatygował się, aby poinformować, dlaczego są aresztowani, o co oskarżeni, czy wytoczona będzie sprawa sądowa, nic, absolutne milczenie. Domagali się prawa korespondencji, ale komendant obozu oświadczył, wrzeszcząc ramionami, że nie otrzymał żadnych instrukcji w tym względzie. A skoro nie ma instrukcji, to on na własną rękę pozwolenia udzielić nie może. Na tym sprawa upadła”.

Anna zmarła w Krasnogorsku w 1947 r.

Janusz Radziwiłł, po odzyskaniu wolności w tymże roku i powrocie do kraju – Polski Ludowej – został pozbawiony wszystkich dóbr i wycofał się całkowicie z życia politycznego. Zamieszkał w małym mieszkaniu w Warszawie i nie miał możliwości kontaktu (z wyjątkiem korespondencji) z rodziną przebywającą na Zachodzie. Jednak mimo to pozostał w ojczyźnie. ■

Fotografie pochodzą ze zbiorów Krystyny z Radziwiłłów Milewskiej. Reprodukcje: Piotr Życieński.

BIBLIOGRAFIA

- Branicka-Wolska A., *Listy nie wysłane*, Warszawa 1990.
 [Cat]-Mackiewicz S., *Dom Radziwiłłów*, Warszawa 1990.
 Durka J., *Janusz Radziwiłł (1880–1967). Biografia polityczna*, Warszawa 2011.
 Majewski P., *Wojna i kultura. Instytucje kultury polskiej w okupowanych realiach Generalnego Gubernatorstwa 1939–1945*, Warszawa 2005.
Rody magnackie Rzeczypospolitej, oprac. H. Kamiński, M. Wilińska, M. Ziemińska, Warszawa 2009.



Agnieszka Łuczak (ur. 1969) – historyk, dr, naczelnik Oddziałowego Biura Edukacji Narodowej IPN w Poznaniu. Autorka książek: (z A. Pietrowicz), *Polityczne oczyszczanie gruntu. Zagłada polskich elit w Wielkopolsce (1939–1941)* (2009); *Utraczone decorum. Grabież dóbr kultury z majątków ziemiaństwa polskiego w Wielkopolsce w czasie okupacji niemieckiej w latach 1939–1945* (2011); (z J. Kubiakiem), *Wypędzeni 1939... Deportacje obywateli polskich z ziem wcielonych do III Rzeszy* (2015) i in.



Gmach główny Politechniki Lwowskiej, 1925 r. Fot. NAC

Sławomir Kalbarczyk

Politechnika Lwowska

Kuźnia kadr II Rzeczypospolitej

Co łączy premierów Jędrzeja Moraczewskiego, Władysława Sikorskiego i Kazimierza Bartla oraz ministra spraw wojskowych Kazimierza Sosnkowskiego? Wszyscy ci wybitni politycy II RP byli wychowankami Politechniki Lwowskiej¹.

¹ Sosnkowski nie uzyskał dyplomu ukończenia Politechniki Lwowskiej, zaliczył jednak wszystkie przedmioty i egzaminy wymagane w toku studiów – i to na stopień celujący. W tej sytuacji trudno odmawiać mu miana wychowanka tej uczelni, tym bardziej że i on sam uznawał, że lwowska uczelnia ukształtowała go intelektualnie.


Aprzecież ludzi, którzy przed 1918 r. pobierali naukę na tej uczelni, czasami zresztą tylko przejściowo, potem zaś sprawowali ważne stanowiska państwowe w odrodzonej Rzeczypospolitej, było znacznie więcej. I raczej to nie kwestia przypadku. Lwowska uczelnia dawała bowiem nie tylko znakomite przygotowanie zawodowe. Była także miejscem formowania ideowego, z którego wyszedł liczny zastęp polskich patriotów, tak potrzebnych w procesie budowy państwa po stodwudziestotrzyletniej niewoli.

Polskość w czasach zaborów

W okresie zaborów lwowska „technika” – jak ją wówczas potocznie nazywano – stanowiła prawdziwy ewenement. Była bowiem jedyną wyższą uczelnią techniczną na ziemiach polskich, na której wykładano po polsku (w Instytucie Politechnicznym, powołanym w 1898 r. w Warszawie, językiem wykładowym był rosyjski). Także większość studentów – ok. 90 proc. – była narodowości polskiej.

„Macierz polskich politechnik”, bo tak, zresztą jak najśluszej, nazywa się lwowską politechnikę, powstała w 1844 r. Początkowo nosiła nazwę Akademii Technicznej, jednak w 1876 r. została przemianowana na c.k. Szkołę Politechniczną we Lwowie (niemniej nieoficjalnie była nazywana Politechniką Lwowską). Nauczanie odbywało się najpierw po niemiecku; w 1870 r. językiem wykładowym stał się polski². Do najwybitniejszych profesorów, którzy przed I wojną światową nauczali na Politechnice Lwowskiej, należeli: Roman Dzieślewski (1863–1924), pierwszy Polak, który uzyskał tytuł profesora elektrotechniki; Leon Syroczyński (1844–1925), kierownik katedry górnictwa; Bronisław Pawlewski (1852–1917), wykładowca technologii chemicznej; Stefan Niementowski (1866–1925), profesor zwyczajny chemii ogólnej; Tadeusz Fiedler (1858–1933), specjalista w zakresie mechaniki, i Maksymilian Thullie (1853–1939), profesor budowy mostów i statyki budowli. Krótko, bo tylko przez dwa lata przed wybuchem wojny, wykładał prof. chemii Ignacy Mościcki (1867–1946), zaproszony w 1912 r. na politechnikę ze Szwajcarii; podobna sytuacja dotyczyła prof. geometrii wykreślnej Kazimierza Bartla (1882–1941), który został mianowany na stanowisko profesorskie również w tym samym 1912 r.

² R. Sroczyński, *Politechnika Lwowska 1844–1994*, [w:] *Politechnika Lwowska. Macierz polskich politechnik. Materiały*, Wrocław 1995, s. 18; M. Jakubiak, *Akademickie szkolnictwo techniczne w Drugiej Rzeczypospolitej*, Warszawa 2015, s. 36 i nast.



Aula gmachu głównego Politechniki Lwowskiej z obrazami Jana Matejki. Fot. Wikimedia Commons

Uczelnia nie działała w próżni: Lwów przełomu XIX i XX w. był bardzo silnym ośrodkiem akademickim. Miasto, jak pisał Erazm Piltz w broszurze wydanej w 1903 r., „liczy więcej młodzieży akademickiej niż Kraków. Oprócz uniwersytetu posiada bowiem szkołę politechniczną, akademię weterynaryjną³, a wreszcie położoną wprawdzie za rogatkami lwowskimi, lecz faktycznie do Lwowa należącą akademię rolniczą w Dublanach⁴.”

Młodzież studiująca na politechnice była bardzo rozbudzona politycznie. Studentowi wstępującemu w progi uczelni niezmiernie trudno było poświęcić się wyłącznie wybranemu kierunkowi studiów. Proces upolityczniania studentów pierwszych roczników najlepiej opisał Sikorski w liście do swego przyjaciela, Franciszka Smolki, z 1903 r. „Chociaż przed maturą zarzekałem się przed udziałem w politycznym życiu – pisał ze swego rodzaju rezygnacją przyszły premier – to jednak znalazłszy się w gronie krzykliwych gawronów, i ja krakać począłem, porwany potężnym wirem⁵”. To rozpolitykowanie młodzieży nierzadko wpływało negatywnie na przebieg studiów – wymagania stawiane przez profesorów były bowiem bardzo wysokie; w szczególności problem stwarzało terminowe zdawanie egzaminów.

³ Chodzi o c.k. Szkołę Weterynaryjną we Lwowie.

⁴ E. Piltz, *Nasza młodzież*, Kraków 1903, s. 59. Oficjalna nazwa tej ostatniej placówki: Wyższa Szkoła Rolnicza w Dublanach.

⁵ W. Korpalska, *Władysław Eugeniusz Sikorski. Biografia polityczna*, Wrocław 1988, s. 20.



Kazimierz Bartel (stoi drugi z lewej) z kolegami ze studiów. Fot. ze zbiorów Muzeum Historii Polski w Warszawie

Jeśli chodzi o orientacje ideowe, politechnika była domeną wpływów młodzieży „postępowej”, w przeciwieństwie do uniwersytetu, gdzie przewagę miała młodzież narodowa.

Z myślą o oddziaływaniu na uczniów szkół średnich w 1898 r. studenci politechniki powołali do życia pismo „Promień”. Od samego początku przyjęło ono jednoznacznie niepodległościową orientację. „Idealem naszym – deklarowano w pierwszym numerze – jest zawsze wolna i niepodległa Ojczyzna”⁶. Obok tego podstawowym postulatem „Promienia” było zniesienie przywilejów i nadanie pełni praw „masom ludowym”. Postulat równouprawnienia „ludu” wynikał z silnego oddziaływania na młodzież lwowskiej „techniki” idei socjalistycznych (właśnie z uwagi na hołdowanie socjalizmowi ci studenci uważali się za „postępowych” i zarzucali młodzieży narodowej „wsteczność”). Przy piśmie powstała organizacja „Promienistych”, która łączyła hasła czynnej walki o wyzwolenie narodowe ze wspomnianymi postulatami natury społecznej. Chociaż to politechnika była kolebką „Promienistych”, organizacja szybko rozszerzyła działalność na całą Galicję.

⁶ E. Piltz, *Nasza młodzież...*, s. 73.

Nabrawszy charakteru ogólnozaborowego, zaczęła być kierowana także przez ludzi niezwiązanych z politechniką, m.in. przez Mariana Kukiela i Stanisława Kota⁷.

„Bratniak” i szkoła ludowa

Trudną do przecenienia rolę w życiu uczelni odgrywało Towarzystwo Bratniej Pomocy Słuchaczy Politechniki we Lwowie. Popularny „Bratniak” został założony w 1861 r. jako instytucja o charakterze samopomocowym, która miała wspierać pożyczkami niezamożnych studentów oraz prowadzić stołówkę i bibliotekę. Jednak już w latach osiemdziesiątych XIX w. „Bratniak” stał się czymś więcej: środowiskiem, w którym ogniskowało się zaangażowanie patriotyczne studiującej młodzieży. Coraz silniej manifestowano też patriotyzm i przywiązanie do idei niepodległości Polski. I tak np., kiedy 15 czerwca 1890 r. w Stanisławowie odsłaniano pomnik jednego z przywódców Powstania Styczniowego, Agatona Gillera, „Bratnia Pomoc” wysłała na tę uroczystość dwóch swoich delegatów: Jędrzeja Moraczewskiego i Wilhelma Kramera. W swoim wystąpieniu Moraczewski „[...] w gorących słowach podniósł zasługi śp. Agatona, dzielnego patrioty polskiego”⁸. Z kolei 29 listopada 1898 r. „Bratniak” urządził uroczysty wieczór w celu uczczenia 68. rocznicy wybuchu Powstania Listopadowego⁹.

Działalność „Bratniaka” nie ograniczała się do organizowania tylko tego typu patriotycznych uroczystości. Skupiona w nim młodzież nawoływała kolegów z uczelni do wyjścia poza typowe obowiązki studenckie – z myślą o tym, że będzie to służyć odrodzonej ojczyźnie. 3 maja 1899 r. na uroczystości związanej z rocznicą Konstytucji 3 maja członek „Bratniaka”, Jan Karłowicz, wskazywał, że obowiązkiem studentów jest m.in. „[...] budzić ducha narodowego tam, gdzie go nie ma, nieść oświaty kaganiec pod ubogie strzechy wieśniacze, bo nasza przyszłość, jako narodu, leży w oświacie i podniesieniu moralnem warstw dotąd upośledzonych”¹⁰. Na wieczorku urządzonym

⁷ S. Loewenstein, *Młodzież promienista w Galicji*, „Niepodległość” 1934, t. X, s. 223 i nast. Zob. też: M. Grzybowska, *W kręgu inspiracji niepodległościowych – ruch „Promienistych” (publicystyka polityczna grupy młodzieży galicyjskiej okresu poprzedzającego I wojnę światową)*, „Studia Historyczne” 1989, z. 1, s. 34.

⁸ *Księga Pamiątkowa Towarzystwa „Bratniej Pomocy” Słuchaczy Politechniki we Lwowie*, Lwów 1897, s. 83.

⁹ *XXXVIII Sprawozdanie Wydziału Towarzystwa Bratniej Pomocy Słuchaczy Politechniki we Lwowie za rok administracyjny 1898/99*, Lwów 1900, s. 13.

¹⁰ *Ibidem*, s. 21.



Aleksander Litwinowicz.

Fot. Wikimedia Commons

przez „Bratnią Pomoc” 15 października 1900 r. z okazji inauguracji nowego roku akademickiego inny członek „Bratniaka”, Aleksander Litwinowicz, wzywał kolegów, by wykorzystali pobyt na politechnice nie tylko do zdobycia fachowej wiedzy, ale także w celu ukształtowania się na świadomych obywateli i patriotów. „Stańmy się – mówił – obywatelami patriotami, lecz nie takimi, w których ustach wyrazy »wolność« i »niepodległość«, a serce zimne, lecz takimi, których patriotyzm czynem się wyraża”¹¹.

Przez „Bratniak” przewinęło się wielu przysłych, wybitnych polityków II RP. Przewodniczącymi towarzystwa byli: Aleksander Litwinowicz, w II RP generał WP; Władysław Kucharski, w II RP minister przemysłu i handlu oraz skarbu, a także poseł; Władysław Sikorski; Stanisław Downarowicz, w II RP minister spraw wewnętrznych i wojewoda wołyński i poleski, oraz Tadeusz Kobylański, później m.in. senator RP. Członkami „Bratniaka” byli m.in.: Kazimierz Bartel; Medard Downarowicz, w II RP minister kultury i sztuk pięknych oraz poseł; Jan Haluch-Brzozowski, w latach trzydziestych poseł i prezydent Lwowa; Kazimierz Fabrycy, w odrodzonej Rzeczypospolitej generał i wiceminister spraw wojskowych, oraz Franciszek Pacześniak, senator II RP.

Studenci politechniki, realizując postulat oświecenia „mas ludowych”, aktywnie działali w Towarzystwie Szkoły Ludowej. Organizacji tej, powołanej do życia w 1891 r. w Krakowie, przyswiecało hasło: „Przez oświatę do niepodległości Polski”. Od 1902 r. miała ona na lwowskiej politechnice swoją filię, liczącą dwustu członków i noszącą nazwę Technicznego Koła TSL. Praca w kole polegała głównie na niedzielnych wyjazdach „w teren” – z wykładami i prelekcjami. Działali w nim m.in. Sikorski i Bartel, który w 1939 r. tak wspominał to swoje zaangażowanie w okresie studiów: „W moich czasach nie było niedzieli, w której byśmy nie zabierali

¹¹ XXXIX Sprawozdanie Wydziału Towarzystwa Bratniej Pomocy Sluchaczy Politechniki Lwowskiej za rok administracyjny 1899/1900, Lwów 1900, s. 49.

tzw. lampy czarodziejskiej [lampa naftowa lub lampa ze świeczką], kawałka chleba w kieszeń i [nie] jechali na wieś. I wielu, wielu ludzi o wielkich dzisiaj nazwiskach poświęcało każdą niedzielę dla pracy wśród ludu. Jeden mówił o geografii, drugi o historii, inny o literaturze, i w ten sposób wyżywaliśmy się my, studiujący we Lwowie, gdzie gromadziła się młodzież z zaboru rosyjskiego, młodzież bohatera, która w 1905 r. odgrywała wielką rolę¹². Podobnie jak zaangażowanie polityczne, tak i praca oświatowa w TSL miała swoje – negatywne dla studiów – konsekwencje. Jeden ze studentów wspominał, że niedzielne wyjazdy w teren tak go zmęczyły „[...] że w jakiś poniedziałek rano na wykładzie fizyki prof. [Tadeusza] Godlewskiego zasnąłem i tylko zawdzięczając sąsiadowi, Tadziovi Kobyłańskiemu, który po moim chrapnięciu obudził mnie, uniknąłem kompromitacji”¹³.

Kadry dla wojska

Lwów przełomu wieków był nie tylko miejscem, gdzie kwitła nauka polska. Odgrywał także rolę ośrodka polskich działań niepodległościowych. Niemały w tym udział miała lwowska „technika”. Tak o tym pisał Sosnkowski, od 1907 r. student Politechniki Lwowskiej, a w następnym roku założyciel tajnego Związku Walki Czynnej: „Lwów pozostał [...] aż do wybuchu wojny światowej, centralą polskich organizacji wojskowych, których sieć pokrywała całą Małopolskę, zabór rosyjski, centra polskie w Rosji oraz liczne kraje Europy środkowej i zachodniej. Ośrodkiem zaś – rzecz można matczynikiem – odradzającej się wojskowości polskiej była Politechnika Lwowska i jej młodzież. W pierwszych miesiącach istnienia Związku Walki Czynnej jego szeregi rekrutowały się prawie wyłącznie z techników; niewielki stosunkowo odsetek stanowiła młodzież robotnicza. Stają mi żywo w pamięci pierwsze konspiracyjne ćwiczenia, odbywane na Pohulance, pod Dublanami, na Czartowskiej Skale. Broń przemycałiśmy za miasto w kołdrach i kocach, pod pozorem słynnych wówczas »studenckich przeprowadzek«. Pozór był dobrze wybrany, gdyż oczy policjantów lwowskich były przyzwyczajone do wesołych żartów, kawałów

¹² *Oskarżenie senatora prof. Bartla. Młodzież akademicka zeszła na manowce*, „Dziennik Polski” 1939, nr 74.

¹³ H.J. Bagiński, *Politechnika we Lwowie. Zarzewie*, [w:] *Zarzewie 1909–1920. Wspomnienia i materiały*, Warszawa 1973, s. 177–178.



Jędrzej Moraczewski. Fot. Wikimedia Commons

i wybryków młodzieży technicznej¹⁴. Członkami powołanej przez Sosnkowskiego organizacji zostali m.in.: Henryk Krok-Paszkowski, student politechniki od 1908 r., w II RP generał WP; Władysław Belina-Prażmowski, student politechniki od tego samego roku, w odrodzonej RP m.in. prezydent Krakowa i wojewoda lwowski, a także Tadeusz Piskor, który studia na lwowskiej „technice” rozpoczął w roku 1910, a w II RP dosłużył się stopnia generała dywizji¹⁵.

Inicjatywy niepodległościowe – niekiedy o charakterze wojskowym – w których znaczący udział miała młodzież „technicka”, rodziły się, jeszcze zanim Sosnkowski pojawił się we Lwowie i założył tu ZWC. Już w końcu XIX w. na politechnice powołano tajny związek studencki, który stawiał sobie za cel moralne przygotowanie społeczeństwa polskiego do walki o niepodległość. Był doskonale zorganizowany i rozwijał energiczną działalność. Kierowała nim grupa z Moraczewskim oraz Mieczysławem Rybczyńskim na czele¹⁶. Ten ostatni, student i absolwent Politechniki Lwowskiej, został później ministrem robót publicznych.

W 1903 r. powstała organizacja o nazwie „Odrodzenie”, która w programie miała czynną walkę o niepodległość Polski. Wśród jej kadry kierowniczej znaleźli się słuchacze politechniki: Sikorski oraz bracia Downarowiczowie, a jednym z jej członków był inny student lwowskiej „techniki”, Zygmunt Platowski, który w II Rzeczypospolitej otrzymał generalskie szlify. W drugim roku istnienia organizacji jej członkowie rozpoczęli ćwiczenia z bronią, co było elementem kształcenia kadr przyszłego ruchu powstańczego. Po utworzeniu ZWC znaczna część członków „Odrodzenia” weszła w jego skład¹⁷.

¹⁴ K. Sosnkowski, *Materiały historyczne*, Londyn 1966, s. 578.

¹⁵ J.M. Majchrowski, *Pierwsza Kompania kadrowa. Portret oddziału*, Kraków 2004, s. 59.

¹⁶ W. Borzemski, *Ruch patriotyczny wśród młodzieży polskiej w Galicji (1886–1894)*, „Niepodległość” 1930, t. II, s. 69.

¹⁷ J. Hulewicz, *Udział Galicji w walce o szkołę polską 1899–1914*, Warszawa 1934, s. 63; S. Kot, *Przed tamtą i obecną wojną*, „Polska Walcząca. Żołnierz Polski na Obczyźnie” 1943, nr 28.

W roku 1904 na politechnice powstała Organizacja Wojskowa „Nieprzejednani”, na czele której stanął Ignacy Lubicz-Sadowski. Należeli do niej Medard Downarowicz oraz Rajmund Jaworowski, w II RP znany działacz PPS i poseł. Organizacja liczyła około trzystu osób – głównie słuchaczy lwowskiej „techniki” (pozostali członkowie rekrutowali się spośród studentów uniwersytetu i uczniów szkół średnich). Za cel swoich wysiłków młodzi uznali stworzenie kadr dla przyszłego powstańczego wojska¹⁸.

Studenci Politechniki Lwowskiej, zgodnie ze swą niepodległościową orientacją, włączyli się do działań PPS-Frakcji Rewolucyjnej, powstałej w 1906 r. w wyniku rozłamu w Polskiej Partii Socjalistycznej. Następstwem powołania nowego ugrupowania było m.in. ukonstytuowanie się w 1907 r. w Krakowie i we Lwowie „kółek milicyjnych”. W przeciwieństwie do „kółek milicyjnych” tworzonych przez PPS-FR w Królestwie, których celem była obrona społeczeństwa i samej partii przed prześladowaniami ze strony caratu, „kółka” w Galicji miały za zadanie przygotowanie swoich członków do zbrojnej akcji niepodległościowej¹⁹. We Lwowie zorganizowały się trzy „kółka”, liczące po sześć osób (stąd nazywano je „szóstkami” milicyjnymi): dwa złożone były z robotników, jedno – w całości ze studentów politechniki (wśród nich był wymieniony już Fabrycy). Owe „szóstki” stanowiły bazę organizacyjną dla Związku Walki Czynnej²⁰. Wielu studentów, którzy byli członkami wymienionych organizacji konspiracyjnych o profilu niepodległościowym, weszło w skład powołanej w 1910 r. we Lwowie jawnej „emanacji” ZWC – Związku Strzeleckiego (Sikorski, Litwinowicz i inni).

Oprócz organizacji patriotycznych na uczelni istniały różne koła zainteresowań. Jednym z nich był powstały w 1909 r. Związek Awiatyczny Słuchaczy Politechniki, skupiający miłośników rodzącego się lotnictwa. Młodzieńców zrzeszonych w tym związku ponosiła niekiedy fantazja: widzieli siebie w roli twórców potężnego lotnictwa polskiego, które zniszczy z powietrza zaborcze

¹⁸ I.W. Lubicz-Sadowski, *Tajna Organizacja Wojskowa Nieprzejednanych*, „Panteon Polski” 1928, nr 41, s. 35.

¹⁹ T. Ładyka, *Polska Partia Socjalistyczna (Frakcja Rewolucyjna) w latach 1906–1914*, Warszawa 1972, s. 103; W. Korpalska, *Władysław Eugeniusz Sikorski...*, s. 21.

²⁰ J. Stachiewicz, *Początki Związku Walki Czynnej*, „Niepodległość” 1930, t. 2, s. 45 i nast.

armie i doprowadzi w ten sposób do odzyskania przez Polskę wolności²¹. Należeli doń również m.in. Sosnkowski i Fabrycy, ale wydaje się, że oni nie podzielali tych wysoce oryginalnych poglądów i w dążeniu do niepodległości stali zdecydowanie bardziej twardo na ziemi.

Poczet wybitnych studentów

Nie pretendując do wymienienia w tym krótkim tekście wszystkich absolwentów Politechniki Lwowskiej, którzy objęli ważne stanowiska w II RP, wspomnijmy jeszcze tylko Maksymiliana Matakiewicza, ministra robót publicznych; Stefana Ossowskiego, ministra przemysłu i handlu; Wiktora Przedpeńskiego, działacza gospodarczego i posła; Emila Kalińskiego, ministra poczty i telegrafów; Jana Łopuszańskiego, ministra robót publicznych; Andrzeja Nosowicza, ministra kolei żelaznych, oraz Stefana Bryłę, polityka chadecji i posła (znanego przede wszystkim jako znakomitego konstruktora – profesora Politechniki Lwowskiej).

Na koniec warto wspomnieć o politykach II RP, którzy wprawdzie studiowali na politechnice przed I wojną światową, ale tylko przejściowo.

Zacznijmy od Eugeniusza Kwiatkowskiego, ministra przemysłu i handlu, a także skarbu oraz wicepremiera II Rzeczypospolitej, kojarzonego przede wszystkim z budową portu w Gdyni oraz Centralnego Okręgu Przemysłowego. Studia na Wydziale Chemii Technicznej rozpoczął w 1907 r. – i jeszcze w tym samym roku został wciągnięty do Związku Młodzieży Polskiej „Zet”. W tym czasie „Zet” wyzwał się z podległości Lidze Narodowej i jej głównemu ideologowi – Romanowi Dmowskiemu, któremu zarzucał odejście od idei niepodległości Polski i rusofilstwo. Wkrótce w samym „Zecie” dokonał się rozłam – odeszła część młodzieży prąca do czynu i oskarżająca organizację o marazm. „Rozłamowcy” utworzyli tzw. niezależny „Zet”, do którego przeszedł Kwiatkowski wraz z całą grupą studentów chemii technicznej. W 1909 r. niezależny „Zet” przekształcił się w nową organizację – „Zarzewie”. Jej członkowie zmierzali do niepodległości, dystansując się jednak nie tylko od Dmowskiego, lecz i od Piłsudskiego (którego odrzucano z uwagi na zbyt bliskie związki z PPS). Następnym

²¹ H. Feuerstein, *Fragmenty z dziejów współżycia młodzieży we Lwowie*, [w:] *Żydzi bojownicy o niepodległość Polski*, Lwów 1939, s. 161.

znalezienia się Kwiatkowskiego w „Zarzewiu” było zaangażowanie się przyszłego ministra w tworzenie powołanej przez „Zarzewiaków” tajnej Armii Polskiej i jej jawnej emanacji – Polskich Drużyn Strzeleckich. Aktywność ta została przerwana już w 1910 r., ponieważ Kwiatkowski – na prośbę matki, obawiającej się, że z powodu zaangażowania w działalność niepodległościową syn nie skończy studiów w terminie – opuścił politechnikę i wyjechał do Monachium²².



Eugeniusz Kwiatkowski. Fot. Wikimedia Commons

Podobnie było w przypadku przyszłego generała – Mariana Żegoty-Januszajtisa.

Jako student Wydziału Budowy Maszyn lwowskiej politechniki (od 1908 r.) został członkiem „Zetu”, a następnie „Zarzewia”. Potem – tak jak Kwiatkowski – organizował Armię Polską i Polskie Drużyny Strzeleckie. W 1909 r. Januszajtis przeniósł się do Szkoły Rolniczej w Dublinach, gdzie kontynuował działalność niepodległościową²³.

Zarówno „Zarzewie”, jak i Polskie Drużyny Strzeleckie od samego początku były tworzone głównie przez studentów Politechniki Lwowskiej. Na szesnaście grup zarzewiackich, które funkcjonowały we Lwowie w latach 1909–1910, osiem działało na politechnice (łącznie liczyły one 89 studentów, pozostałych osiem skupiało 73 studentów uniwersytetu). Na czele jednej z nich stał student Mieczysław Neugebauer (w późniejszym okresie zmienił nazwisko na Norwid-Neugebauer), w latach II Rzeczypospolitej generał i minister robót publicznych (studia ukończył w 1911 r.)²⁴. Przede wszystkim ze słuchaczy politechniki składała się także 1. Lwowska Drużyna Strzelecka. Jednym z „drużyniaków” był studiujący

²² J. Rakowski, *Eugeniusz Kwiatkowski. Szkic biograficzny młodych lat na tle ruchu niepodległościowego ZETU i ZARZEWIA 1886–1920*, Londyn 1977, s. 7. W Monachium udało mu się dokończyć studia.

²³ M. Żegota-Januszajtis, *Życie moje tak burzliwe... Wspomnienia i dokumenty*, Warszawa 1993, s. 11 i nast.

²⁴ H. Bagiński, *U podstaw organizacji Wojska Polskiego 1908–1914*, Warszawa 1935, s. 42 i nast.

architekturę (w latach 1910–1914) Józef Olszyna-Wilczyński, w odrodzonej Polsce generał WP²⁵.

Wymieniając tych, którzy przez pewien czas studiowali na politechnice we Lwowie, nie sposób pominąć dwóch późniejszych generałów WP: Stanisława Burhardta (potem zmienił nazwisko na Burhardt-Bukacki), który był słuchaczem politechniki w latach 1910–1913, oraz Stanisława Tessaro, studiującego na tej uczelni w latach 1909–1911, który już na pierwszym roku studiów wstąpił do Związku Walki Czynnej²⁶.

Znanym politykiem II Rzeczypospolitej, który przejściowo studiował na Politechnice Lwowskiej, był Józef Beck. Przyszły minister spraw zagranicznych rozpoczął studia w 1912 r., ale już po roku przeniósł się na Akademię Eksportową w Wiedniu²⁷. Nieco dłużej wytrwał na „technice” przyszły minister poczty i telegrafów – Bogusław Miedziński. Studia na Wydziale Chemii Technicznej rozpoczął w 1910 r. Dwa lata później wraz ze świeżo poślubioną Janiną Szein wyjechał do Krakowa, gdzie podjął studia rolnicze na Uniwersytecie Jagiellońskim. Warto odnotować, że już w czasie studiów na politechnice Miedziński włączył się w działalność ZWC i ZS²⁸.

Na politechnice studiowali przez pewien czas inni późniejsi politycy: minister kolei żelaznych Zygmunt Jasiński, szef resortu rolnictwa Seweryn Ludkiewicz, minister pracy i opieki społecznej Bronisław Ziemięcki, poseł Kazimierz Bagiński, a także generał WP, poseł i senator Andrzej Galica²⁹.

Budowniczy Polski

Pracownicy i studenci lwowskiej „techniki” chlubnie zapisali się w walkach o granice II RP. Uczestniczyli w obronie Lwowa, Powstaniach Śląskich, walkach o Śląsk Cieszyński. Brali też udział w akcjach plebiscytowych na Spiszu i Orawie³⁰.

²⁵ J. Olszyna-Wilczyński, *Z dziennika Lwowskiego Drużyniaka 1911–1914*, Lwów 1937, s. 1 i nast.

²⁶ Z. Gnat-Wieteska, *Generał brygady Stanisław Tessaro-Zosik*, Pruszków 2014, s. 9–10.

²⁷ P. Samuś, *Minister Józef Beck. Dom rodzinny i lata młodzieńcze*, Łódź 2015, s. 129.

²⁸ A. Adamczyk, *Bogusław Miedziński (1891–1972). Biografia polityczna*, Toruń 2001, s. 16.

²⁹ A.A. Kozłowska, *Góral generałem. Andrzej Galica. Biografia żołnierza, polityka i literata*, Łódź 2013, s. 51 i nast.

³⁰ A. Kątski, *Historia Towarzystwa Bratniej Pomocy Studentów Politechniki Lwowskiej 1861/62–1936/37*, „Życie Techniczne” 1973, z. 2, s. 123.



Kazimierz Sosnkowski. Fot. Wikimedia Commons

Absolwenci tej uczelni z entuzjazmem włączyli się w budowanie państwa. I znów odwołajmy się do wspomnień Kazimierza Sosnkowskiego: „Gdy przed wojną zwiedzałem nasze centra przemysłowe i nowo powstałe placówki przemysłu wojennego, uderzał mnie wszędzie zapał młodych inżynierów, ich sprawność w pracy, wysoki poziom osiągniętych wysiłków. Spotkałem wśród nich licznych wychowanków Politechniki Lwowskiej”³¹.

Pisząc o tej uczelni jako o „kuźni”, w której wykuwały się kadry II Rzeczypospolitej, trzeba zachować właściwe proporcje i umiar. Nierzadko młodzi ludzie

przychodzili na lwowską politechnikę już w znacznej mierze ukształtowani ideowo: przez dom albo/i szkołę. Musimy być bowiem świadomi, że niemal w każdej szkole średniej w Galicji istniały tajne „kółka” uczniowskie o charakterze niepodległościowym i patriotycznym, i wielu z tych, którzy po maturze podejmowali studia na lwowskiej „technice”, było zaangażowanych w ich działalność. Jeszcze bardziej ukształtowana była młodzież, która przybywała na studia do Lwowa z terenu zaboru rosyjskiego. Przykładem przybysza z „Kongresówki”, który został studentem politechniki, mając już na swym koncie czynną walkę o niepodległość, może być Mieczysław Smorawiński. Będąc uczniem Szkoły Handlowej w Kaliszu, zaangażował się w działania mające na celu bojkot rosyjskiej szkoły. W rezultacie w 1911 r. został aresztowany i zesłany do Jekaterynosławia. Za zgodą władz rosyjskich wyjechał do Lwowa i w roku następnym zdał tu maturę, a w październiku

³¹ K. Sosnkowski, *Materiały historyczne...*, s. 140.



Dziś jest to Uniwersytet „Lwowska Politechnika”. Fot. Ewa Skomorowska

1912 r. rozpoczął studia na miejscowej politechnice. Edukacja Smorawińskiego, który w II RP dosłużył się stopnia generalskiego, została przerwana przez wybuch I wojny światowej. Jego studia były połączone – jak to często bywało w przypadku słuchaczy tej uczelni – z działalnością niepodległościową; w przypadku Smorawińskiego było to zaangażowanie w Polskich Drużynach Strzeleckich³².

Nie można też zapominać, że mimo swej wyjątkowości Politechnika Lwowska nie była jedyną – a może nawet nie była najważniejszą – uczelnią, na której wykuwały się kadry odrodzonego w 1918 r. państwa polskiego (choć z braku badań porównawczych trudno tu o jakieś kategoryczne sądy). Byłoby jednak bardzo krzywdzące, gdybyśmy nie pamiętali, że uczelnia ta dała odrodzonej Polsce nie tylko utalentowanych inżynierów, lecz także polityków i wojskowych, którzy wnieśli znaczący wkład w budowę II Rzeczypospolitej. ■

³² G. Mazur, *Generał Mieczysław Smorawiński*, Turek 2012, s. 84 i nast.



Sławomir Kalbarczyk (ur. 1961) – historyk, dr hab., pracownik Biura Badań Historycznych IPN. Autor książek: *Wykaz łagrów sowieckich, miejsc przymusowej pracy obywateli polskich w latach 1939–1943* (t. 1 – 1993, t. 2 – 1997); *Polscy pracownicy nauki – ofiary zbrodni sowieckich w latach II wojny światowej. Zamordowani, więzieni, deportowani* (2001); *Kazimierz Bartel (1882–1941). Uczony w świecie polityki* (2015) i in.

Biblioteka dawnej Politechniki Lwowskiej, 1947 r.
Fot. Archiwum Politechniki Lwowskiej



Piotr Olechowski

Polacy na sowieckiej uczelni

Politechnika Lwowska po 1946 roku

Po II wojnie światowej Lwów znalazł się w granicach Związku Sowieckiego. Podczas dwuletniego okresu przejściowego 1944–1946 Lwi gród opuszczały kolejne transporty ludności polskiej. Na miejscu pozostawali nieliczni. Wśród nich była jednak spora grupa uczonych, zwłaszcza pracowników dawnej Politechniki Lwowskiej.

W opinii sowieckich władz ściśle umysły inżynierskie nie stanowiły większego zagrożenia dla rozkwitu państwa socjalistycznego. Co więcej, wybitni fachowcy byli po prostu niezbędni dla funkcjonowania uczelni. Dzięki temu polscy uczeni, również po II wojnie światowej zapisali wspaniałą kartę historii. Zajmowali w tym czasie wysokie stanowiska administracyjne, naukowo pracowali zaś nawet po przejściu na emeryturę.

„Ponowne wyzwolenie”

Polski rozdział w dziejach Politechniki Lwowskiej, najlepszej w okresie międzywojennym uczelni technicznej w kraju, zakończył się bezpowrotnie w 1939 r. Wówczas, zgodnie z sowieckim prawodawstwem, w jej miejsce powołano Lwowski Instytut Politechniczny. Funkcjonował on do czasów wejścia do miasta wojsk niemieckich latem 1941 r. Wtedy też miało miejsce najtragiczniejsze wydarzenie w historii uczelni – na Wzgórzach Wuleckich (dzisiejsza ulica Sacharowa) zamordowano ponad 40 polskich naukowców, wśród nich kilkunastu pracowników i absolwentów Politechniki Lwowskiej. W okresie okupacji niemieckiej dawna uczelnia funkcjonowała jedynie jako „zawodowe kursy techniczne”. Było to podyktowane hitlerowską polityką wobec ludności polskiej, której nie pozwalano na zdobycie wyższego wykształcenia.

W momencie „ponownego wyzwolenia” Lwowa – miasta *semper fidelis* (zawsze wiernego) Rzeczypospolitej – przez Armię Czerwoną latem 1944 r., powrócono do modelu z lat 1939–1941. Powtórne powołanie sowieckiego instytutu wiązało się z całkowitą sowietyzacją uczelni. Nowym dyrektorem (w instytutach nie było stanowiska rektora) został Iwan Jampolski, który przybył z Odessy. Początkowo zdecydowaną większość kadry nauczającej stanowili ciągle Polacy. Jeszcze w 1945 r. wśród wszystkich pracowników naukowo-dydaktycznych (272) było aż 205 osób narodowości polskiej (ok. 75 proc.)¹. Kolejne miesiące przynosiły jednak dalsze zmiany w strukturze mieszkańców Lwowa. Nasilające się represje, zastraszanie i niepewność jutra skłaniały Polaków do opuszczania miasta. Wykładowcy akademicy byli w tym zakresie w nieco lepszej sytuacji od reszty ludności. Zorganizowano bowiem dla nich tzw. transporty profesorskie (łącznie trzy), w ramach których dawano możliwość zabrania ze sobą o wiele większego bagażu. Ponadto odbywały się w pociągach przystosowanych do przewozu ludzi. Miało to duże znaczenie, gdyż w „zwyczajnych” transportach zdarzały się nawet wypadki podróżowania w towarzystwie zwierząt gospodarskich².

¹ S. Kalbarczyk, *Czystka na uczelniach. Zagłada polskiego środowiska naukowego we Lwowie po 44*, „Biuletyn IPN” 2011, nr 3 (124), s. 69–73.

² J. Majka, *Ostatni dzień Lwowa*, Kraków 2004, s. 7.

Polscy studenci

Rok akademicki 1946/1947 Lwowski Instytut Politechniczny rozpoczął już w znacznie zmienionym składzie. Dotyczyło to przede wszystkim studentów. Polskich żaków zastąpili wówczas w dużej mierze przybysze ze wschodu, często z odległych połaci ZSRS. Znacznie mniej było natomiast studentów Ukraińców z pobliskich miejscowości. Wynikało to z toczących się wciąż walk z tamtejszym nacjonalistycznym podziemiem i brakiem zaufania władz komunistycznych do przedstawicieli tego narodu³. We wspomnianym roku akademickim w murach dawnej Politechniki Lwowskiej studiowały już tylko 23 osoby polskiej narodowości. Stanowiły one zaledwie ok. 1,5 proc. wszystkich osób pobierających wówczas naukę na uczelni (łącznie było to 1530 studentów). Tymczasem jeszcze rok wcześniej (1945/1946) polskich studentów było 175, a w pierwszym powojennym roku akademickim 1944/1945 – 350. Po tym spadku kolejne lata przyniosły jednak wzrost obecności Polaków w gronie słuchaczy sowieckiej szkoły wyższej. W roku akademickim 1948/1949 było ich przeszło dwukrotnie więcej (54 osoby). W następnym liczba ta zmalała o zaledwie jedną osobę. Niestety, w kolejnych latach nie wyszczególniano już Polaków w statystykach, lecz po prostu przypisywano ich do grupy „innych narodowości”. Było ich więc zapewne bardzo mało.

Polscy naukowcy w nowej rzeczywistości

W pierwszych latach powojennych kadra wykładowców wciąż się formowała. Wynikało to z przybywania do Lwowa nowych uczonych, wykształconych najczęściej już według sowieckich wzorców. Jednak polscy profesorowie stanowili wciąż niezwykle ważny filar w funkcjonowaniu uczelni. Z oczywistych względów nie mogli oni obejmować najwyższych stanowisk kierowniczych. Byli za to wśród nich dziekani wydziałów, a zwłaszcza kierownicy katedr. Pozwalało to w pewnej mierze na kontynu-



Gabriel Sokolnicki.
Fot. NAC

³ R. Heneha, *Lwów. Nowi miszczarzy, studenci ta reżym 1944–1953 pp.*, Lwów 2015, s. 118–119.

» **Po wojnie polscy profesorowie stanowili niezwykle ważny filar lwowskiej uczelni. Z oczywistych względów nie mogli oni piastować najwyższych urzędów kierowniczych. Byli za to wśród nich dziekani wydziałów, a zwłaszcza kierownicy katedr.** »

nym najwyższą posadę zajmował prof. Witold Aulich. W latach 1944–1948 był on dziekanem Wydziału Budowy Maszyn Elektrycznych. W tym samym czasie kierował pracami Katedry Teorii Mechanizmów Maszyn. W opinii kierownictwa uczelni Polak wykazywał zdolności zarówno organizacyjne, jak i dydaktyczne. Dyrektor Jampolski przewidywał nawet pozostawienie go na obu stanowiskach na kolejne lata. Plany te przerwała jednak gwałtowna choroba Aulicha. W maju 1948 r. przestał wykładać na uczelni, a trzy miesiące później zmarł. Podczas ceremonii pogrzebowej na Cmentarzu Łyczakowskim pożegnalną mowę wygłosił prof. Gabriel Sokolnicki. Powiedział m.in.: „jesteś już wolny od wszelkich materializmów”⁴. W oczywisty sposób miało to na celu skrytykowanie sowieckich obyczajów panujących na uczelni (zwłaszcza obowiązkowego uczestnictwa w mityngach i wykładach z zakresu teorii marksizmu-leninizmu). Śmierć prof. Aulicha nie przerwała tradycji naukowych w jego rodzinie. Jego syn, znany wówczas jako Witold Witoldowicz Aulich (ur. we Lwowie w 1928 r.), pracował jako sowiecki, a później ukraiński archeolog. Specjalizował się w badaniach okresu staroruskiego na Wołyniu i Podkarpaciu. Zmarł we Lwowie w 1994 r.

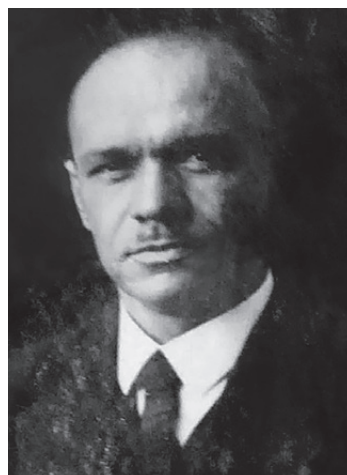
Znaczne uszczuplenie żywołu polskiego w Lwowskim Instytucie Politechnicznym przyniósł początek lat pięćdziesiątych. Uczelnię opuściło wówczas trzech pracowników narodowości polskiej. Jako pierwszy odszedł Marian Nikodemowicz, znany przedwojenny architekt lwowski. Początkowo nie zamierzał zostać w sowieckim Lwowie, lecz chciał wyjechać do Polski. Przerazał go zwłaszcza niski poziom wiedzy i umiejętności studentów przybyłych z głębi ZSRS. Zapewne dlatego był nieustannie przrzućany na podrzędne stanowiska w strukturach uczel-

owanie działalności naukowej. Bywało też tak, że większość czasu pochłaniały jednak obowiązki dydaktyczno-administracyjne.

Wśród polskich uczonych pracujących po 1946 r. w Lwowskim Instytucie Politechnicz-

⁴ A. Fastnacht-Stupnicka, *Zostali we Lwowie*, Wrocław 2010, s. 180.

nianych (starszy wykładowca, starszy laborant z niskimi zarobkami – zaledwie 980 rubli miesięcznie). Ostatecznie przegrał nie z władzami instytutu, lecz z chorobą. W 1950 r. przestał z tego powodu przychodzić do pracy. Władze uczelni zainteresowały się tym dopiero po czterech miesiącach, kiedy już można było zwolnić niesforne go Polaka. Pozbawiony zatrudnienia i głodowej pensji, przeżył we Lwowie jeszcze niespełna dwa lata. Zmarł w 1952 r. i został pochowany na Cmentarzu Janowskim⁵. Również w przypadku tej rodziny tradycje naukowe były kontynuowane. Jeden z synów słynnego architekta, Andrzej Nikodemowicz, w późniejszych latach był uznanym lwowskim kompozytorem. Z powodu szykan na tle religijnym, wyjechał ze Lwowa w 1980 r. Osiadł wówczas w Lublinie i walczył przyczynił się do rozwoju tamtejszego środowiska muzycznego. Zmarł na początku 2017 r.



Marian Nikodemowicz.

Fot. Archiwum Politechniki Lwowskiej

Na temat inż. Józefa Jurkowskiego, wykładowcy w Katedrze Budowy Mostów, wiadomo stosunkowo niewiele. Po 1946 r. pracował w instytucie przez pięć lat. Później, z powodu złego stanu zdrowia, napisał prośbę o przeniesienie na emeryturę, która została rozpatrzona pozytywnie. Jego świadczenia emerytalne stały, o dziwo, na przyzwoitym poziomie, gdyż Jurkowskiemu zaliczono przedwojenny staż pracy. A tego nie czyniono bynajmniej w stosunku do wszystkich.

Lat pracy na rzecz „pańskiej Polski” w okresie międzywojennym nie zaliczono inż. Józefowi Kowalczewskiemu. W strukturach sowieckiej uczelni pełnił on funkcję szefa Katedry Instalacji Przemysłu Naftowego. Dodatkowo, jako wybitny znawca swej branży, był zatrudniony jako konsultant w przedsiębiorstwie państwowym „Ukrgaz”. W ciągu kilku lat pracy w Instytucie Politechnicznym we Lwowie Polak otrzymał wiele nagród i wyróżnień (m.in. medal „zasłużony uczestnik socjalistycznego współzawodnictwa naftowego w ZSRS”). Nie uznano mu jednak dawnego tytułu naukowego, stąd też pracował zaledwie na posadzie

⁵ B. Patlewicz, R. Tomczyk, *Cmentarz Janowski we Lwowie*, Szczecin 2017, s. 466.

docenta. Nie doczekał się głodowej emerytury, gdyż zmarł w 1951 r. Co jednak godne odnotowania, władze uczelni wspólnie z „Ukrgazem” wystąpiły do władz państwowych o nadanie jego żonie Małgorzacie dożywotnich świadczeń emerytalnych za zasługi męża. Ich wysokość nie została dokładnie określona. Faktem jest jednak pozytywne rozpatrzenie tej sprawy w Moskwie.

Inaczej przebiegała powojenna kariera prof. Wilhelma Mozera. W latach czterdziestych zajmował on stanowisko kierownika Katedry Maszyn Parowych i Lokomotyw. Szybko uznano także jego przedwojenny stopień profesorski. W opinii kierownictwa uczelni był to jeden z najstarszych wykładowców, doświadczonych i cieszących się największym autorytetem wśród studentów. Później jednak zarzucono mu brak biegłej znajomości języka rosyjskiego oraz zbyt małą aktywność na niwie rozwoju własnego poziomu ideowo-politycznego. Żadną tajemnicą nie była też wielka religijność uczonego. Uczęszczał on do położonego nieopodal uczelni kościoła św. Marii Magdaleny. Pod koniec lat pięćdziesiątych Mozer rozpoczął starania o przyznanie delegacji wyjazdowej do PRL. Chciał odwiedzić Gdańsk i zapoznać się z warunkami panującymi na tamtejszej politechnice, pod kątem przenosin. Dobiegała bowiem końca tzw. druga repatriacja Polaków z terenów ZSRS. W listopadzie 1957 r. Mozer dotarł do Gdańska i do Lwowa już nie powrócił. Z powodu choroby trafił do szpitala, gdzie podano mu penicylinę, na którą był uczulony. Doprowadziło to do jego śmierci.

Problemy z władzami Lwowskiego Instytutu Politechnicznego miał także architekt Jan Bagiński. Po II wojnie światowej w ciągu ponad dwudziestu lat pracy wykształcił on 370 architektów. Choć zatwierdzono mu przedwojenny tytuł naukowy, nie chciano zaliczyć dawnych lat pracy do stażu. Interweniowali w jego sprawie pozostali Polacy zatrudnieni na uczelni. Wspomniani już Witold Aulich i Gabriel Sokolnicki, a także Adam Kuryłło potwierdzili w 1951 r. pisemnie obecność Bagińskiego w murach dawnej politechniki od 1921 r. Nawet jeśli przyniosło to oczekiwany



Witold Aulich.

Fot. Archiwum Politechniki Lwowskiej

efekt, to polski architekt niezbyt długo cieszył się z pobierania świadczeń emerytalnych. Z uczelni odszedł w 1966 r., a już rok później zmarł. Został pochowany na Cmentarzu Łyczakowskim, co warte podkreślenia – w alei zasłużonych. Inskrypcja nagrobna została wykonana w dwóch językach (polskim i ukraińskim) i taka pozostaje do dzisiaj.

Większy brak zaufania władze uczelni demonstrowały w stosunku do prof. Stanisława Żukowskiego. Pracę w nowych realiach rozpoczął za ledwie na posadzie asystenta. Gdy awansował na starszego wykładowcę, zmniejszono mu pensum do poziomu pół etatu. Dopiero po śmierci Stalina w 1953 r. przyznano mu stanowisko docenta. Rok później obronił pracę kandydacką (odpowiednik polskiego stopnia doktora), co oznacza, że nie uznano mu przedwojennego tytułu i dorobku. Żukowski rozstał się z Instytutem Politechnicznym w 1966 r. na własną prośbę, oficjalnie z powodu złego stanu zdrowia. Dalsze jego losy pozostają nieznanne.

Karta zteczki osobowej prof. Stanisława Żukowskiego.
 Fot. Archiwum Politechniki Lwowskiej

Особистий листок по обліку кадрів

1. Прізвище *Жуковський*
 ім'я *Станіслав* по батькові *Миколайович*

2. Стать *чол.* 3. Рік народження *1897* 4. Місце народження: а) за існуючим адм. поділом *м. Бердичів*
 б) за колишнім адм. поділом *Київської губернії*

5. Національність *полк* 6. Соц. походження:
 а) бувш. сословіє батьків *мещанин*
 б) основне заняття батьків до Жовтневої Революції *кустар*
 після Жовтневої Революції *не працював*


7. Основна професія (заняття) зараз (для членів ВКП(б)—до вступу в партію)
був на отриманні стаж роботи за цим фахом з 1933 р. 8. Соц. стан *служб. з. П.Р.*

9. Партійність *без партії* 10. Якою організацією прийнятий в члени ВКП(б) *не член*
 або к/картки _____ 11. Партстаж *без партії* № партквитка _____

13. Чи перебував в інших партіях (якхх, де, з якого і по який час) *не належав ні в якій* 14. Чи перебував раніш в ВКП(б) і причини виключення чи вибуття *не був*

15. Чи були коливання в проведенні лінії партії, чи брав участь в опозиціях (яких, коли) *до партії не належав. Коли брав не було. Брав*

16. Членом якої профспілки перебуває і з якого року *чином спілки Стр.*
М.А.С. прол. з 1933. 17. Освіта *вища*





Tadeusz Szubert.

Fot. Archiwum Politechniki Lwowskiej

Trzej „długowieczni”

W Lwowskim Instytucie Politechnicznym pozostało już tylko trzech „długowiecznych” Polaków. Gabriel Sokolnicki, Tadeusz Szubert i Adam Kuryłło. Przez długie lata piastowali stanowiska kierowników katedr, a po przejściu na emeryturę byli zatrudnieni w charakterze konsultantów.

Szubert przez szesnaście lat pełnił obowiązki szefa Katedry Budowy Mostów i Dróg. Nie miał jednak stopnia profesorskiego, więc nie mógł pełnoprawnie objąć tego stanowiska. Nie chciano mu zaliczyć przedwojennego stażu pracy. W tym wypadku potrzebne było świadectwo „mężów zaufania”, czyli polskich kolegów po fachu. W 1948 r. Mozer i Kuryłło potwierdzili jego związki z uczelnią od 1926 r. Dwa lata później zatwierdzono mu stopień kandydata nauk bez konieczności ponownej obrony dysertacji. W Instytucie pracował aż do śmierci w 1972 r.

Prof. Gabriel Sokolnicki, przedwojenny rektor Politechniki Lwowskiej. Posiadał willę na terenie „zielonych płuc Lwowa”, jak określano niegdyś pobliskie Brzuchowice. Od początku pracy w nowej rzeczywistości zajmował stanowisko szefa Katedry Urządzeń Elektrycznych. Biorąc pod uwagę jego umiejętności i materialne dowody działalności (stacje elektryczne w Drohobyczu, Samborze, Przemyślu i wielu innych miastach), władze uczelni nie mogły się go pozbyć. Był po prostu niezbędny. Wybaczone mu nawet wspomniane wyżej słowa wygłoszone na pogrzebie Aulichy w 1948 r. Sokolnicki miał również głośno narzekać na warunki pracy w sowieckim systemie szkolnictwa wyższego. Twierdził, że trudno mu było choć w niewielkim stopniu nawiązać do badań prowadzonych w czasach II RP. Drażniło to kierownictwo uczelni, podobnie jak apolityczność Polaka. Mimo to dwukrotnie – z okazji 75. i 80. urodzin (w 1952 r. i 1957 r.) – zorganizowano mu jubileusz. Otrzymał także wiele nagród socjalistycznych, niemających wiele wspólnego z nauką (m.in. medal z okazji rocznicy rewolucji październikowej). Zawsze podkreślał swą polską narodowość. Dobitnie dał temu



Adam Kuryłło.

Fot. Wikimedia Commons

wyraz podczas jednego ze wspomnianych jubileuszy. Na słowa dyrektora instytutu, wyrażające nadzieję na „dalszą aktywną pracę na chwałę ojczyzny socjalistycznej”, odparł, że wszystkie rzeczywiste jego zasługi należą do Polski.⁶

Sokolnicki nie zerwał kontaktów z krajem. Kilkukrotnie był w powojennej Polsce, gdzie otrzymał nawet tytuł honorowego członka Stowarzyszenia Elektryków Polskich. Na emeryturę odszedł w połowie lat sześćdziesiątych. Jako konsultant nadal jednak wspomagał uczelnię, bardziej z pasji niż z powodów materialnych. Jego pobory wynosiły wówczas bowiem... 190 rubli. Sokolnicki zmarł w 1975 r. w wieku 98 lat. Został pochowany na cmentarzu w Brzuchowicach. Również w jego przypadku rodzinne tradycje naukowe były kontynuowane – syn Stefan Sokolnicki (zm. w 2012 r.) także zajmował się elektryką i wykładał na Politechnice Wrocławskiej.


Rolę ostatniego Polaka w murach dawnej Politechniki Lwowskiej odegrał prof. Adam Kuryłło. Już w latach czterdziestych objął stanowisko kierownika Katedry Konstrukcji Żelbetowych. Był zresztą jednym z nielicznych specjalistów w tej dziedzinie w całym ZSRS. Podobnie jak w przypadku Sokolnickiego, władze nie mogły go po prostu zwolnić, gdyż był im zbyt potrzebny. Zresztą każdorazowo w charakterystykach okresowych określano go jako wybitnego specjalistę, cieszącego się szacunkiem wśród studentów. Kuryłło umiejętnie łączył pracę dydaktyczną i wychowywanie młodej kadry z działalnością naukową. W latach 1948–1968 wypromował szesnastu kandydatów nauk (odpowiedników polskich doktorów). W ciągu dziesięciu lat (1944–1954) opublikował 44 prace naukowe, zarówno w ZSRS, jak i za granicą, w tym również i w Polsce. Po przejściu na emeryturę został konsultantem naukowym. Zmarł 8 stycznia 1980 r. Zamknięty został polski rozdział w sowieckich dziejach tej uczelni. ■

Informacje na temat polskich wykładowców Lwowskiego Instytutu Politechnicznego pochodzą z ich teczek osobowych, zgromadzonych w archiwum dzisiejszego Lwowskiego Uniwersytetu Narodowego „Lwowska Politechnika”.

⁶ A. Fastnacht-Stupnicka, *Zostali we Lwowie...*, s. 181–182.



Piotr Olechowski (ur. 1990) – historyk, doktorant w Instytucie Historii Uniwersytetu Rzeszowskiego, gdzie przygotowuje rozprawę poświęconą polskiej społeczności Lwowa w latach 1944–1959. Uczestnik Centralnego Projektu Badawczego BBH IPN „Polacy w Rosji i Związku Sowieckim”.



Ján Langoš.

Fot. www.upn.gov.sk

Andrzej Grajewski

Solidarny w wielu wymiarach

Ján Langoš (1946–2006)

Decyzje słowackiego dysydenta, a później ministra spraw wewnętrznych Czechosłowacji Jána Langoša pomogły nam w negocjacjach o wyjściu sowieckich wojsk z Polski.

W latach osiemdziesiątych był jednym z najbardziej znanych dysydentów na Słowacji, gdzie ruch oporu przeciwko władzy komunistycznej nie miał tak szerokiego zasięgu jak w Czechach. Przyczyn tego było wiele. Praska Wiosna zakończyła się przekształceniem unitarnego państwa czechosłowackiego w federalne, co w znacznym stopniu odpowiadało ambicjom Słowaków. Słowacja w czasach prezydentury Gustáva Husáka przeżywała burz-

liwą industrializację, co przekładało się na zmiany społeczne w całym kraju. O ile niezwykle aktywnie działały środowiska słowackich katolików, tworząc rozwiniętą strukturę Kościoła podziemnego, o tyle idee obywatelskiego oporu, propagowane przez Kartę 77, spotykały się ze znacznie słabszym rezonansem. Wśród 1889 osób, które podpisały Kartę, Słowaków było 36, według innych danych 42, co stanowiło zaledwie 2 proc. wszystkich sygnatariuszy tego dokumentu. Langoš także jej nie podpisał. Jego inicjacją obywatelską, podobnie jak dla wielu innych dysydentów, był okres Praskiej Wiosny, którą przeżywał jako uczeń szkoły średniej. Urodził się w 1946 r. w Bańskiej Bystrzycy. Jego ojciec Michal walczył w słowackiej partyzantce, ale po wojnie nie zapisał się do partii komunistycznej. Wielki wpływ na kształtowanie poglądów przyszłego likwidatora komunistycznej bezpieki w Czechosłowacji miał brat jego babci, ks. kanonik Alexander Vajcík. W latach siedemdziesiątych Langoš studiował w Słowackiej Wyższej Szkole Technicznej w Bratysławie (SVŠT). W czasie „normalizacji” – jak nazywano okres po stłumieniu Praskiej Wiosny – jako zdolny cybernetyk podjął pracę w Słowackiej Akademii Nauk, gdzie spotkał się z wieloma znanymi później dysydentami, przede wszystkim z szeregiem Kościoła podziemnego.

Dysydent konsekwentny

Należał do grupy, którą później zaczęto nazywać Pokoleniem 1968 r. albo Zdegenerowaną Generacją¹. Założyli ją młodzi artyści i intelektualisci odrzucający obecność w oficjalnych strukturach państwowych. W odróżnieniu od starszych kolegów, partyjnych reformatorów, nie wierzyli w możliwość stworzenia socjalizmu z „ludzką twarzą”. Langoš w latach siedemdziesiątych zaczął współpracować z chadeckim nurtem słowackiego ruchu dysydenckiego, który tworzyli znany adwokat Ján Čarnogurský oraz matematyk František Mikloško. Istotne było także zaangażowanie Langoša w kwestie ekologiczne. W ten sposób poznał m.in. Jána Budaja, później jednego z liderów protestów w listopadzie 1989 r. Od 1988 r. wraz z Čarnogurským wydawał „Bratislavské listy”, jeden z najważniejszych tytułów

¹ J. Daniška, *Generácia roku 1968*, www.postoj.sk/5498/generacia-roku-1968 [dostęp: 23 X 2017 r.]; J. Mauršiak, N. Kmet', *Wprowadzenie do rozdziału słowackiego*, [w:] *Słownik dysydentów. Czołowe postacie ruchów opozycyjnych w krajach komunistycznych w latach 1956–1989*, t. I, Warszawa 2007, s. 201.



Václav Havel i Ján Langoš, 17 listopada 1989 r.

Fot. www.medzikhami.dennik.sk

drugiego obiegu na Słowacji, który ustanowił nową jakość w słowackim samizdacie. Langoš zajmował się tam nie tylko tematyką kulturalną, lecz także stawiał ważne kwestie społeczne i polityczne, m.in. dotyczące sytuacji mniejszości węgierskiej na Słowacji². Brał także udział w największej manifestacji po 1968 r., tzw. demonstracji świeczkowej, którą w obronie praw ludzi wierzących zorganizowali 25 marca 1988 r. Mikloško, Čarnogurský oraz Vladimír Jukl. Pod koniec 1988 r. nieformalna grupa, której Langoš był inicjatorem, wysunęła projekt opracowania samodzielnej ustawy zasadniczej Słowackiej Republiki Socjalistycznej. Debata nad tym dokumentem odegrała ważną rolę w budowaniu świadomości państwowej niezależnych elit słowackich i przyczyniła się do bliskiej współpracy ze środowiskiem węgierskiej mniejszości narodowej. W październiku 1989 r. przy udziale Langoša doszło do spotkania czołowych przedstawicieli słowackich i węgierskich ruchów społecznych i rozmów o współdziałaniu w obliczu zbliżającego się kryzysu politycznego w Czechosłowacji³. Odwaga, bezkompromisowość oraz zdolności organizacyjne Langoša spowodowały, że jesienią 1989 r. był jednym z organizatorów manifestacji w Bratysławie, a później współzałożycielem organizacji Społeczeństwo przeciwko Przemocy – Veřejnost proti

² Wprowadzenie..., s. 203.

³ *Ibidem*, s. 207.

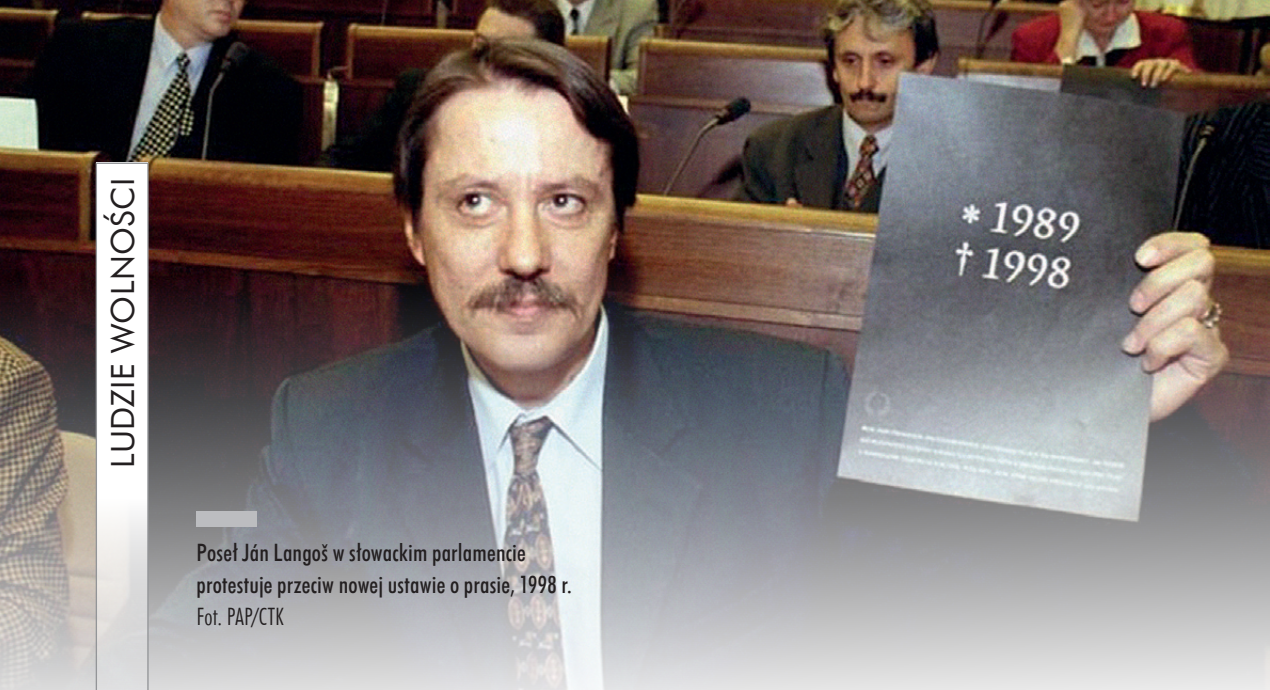
násilí (VPN), słowackiego odpowiednika Forum Obywatelskiego (FO). Został także członkiem władz centralnych VPN – komitetu koordynacyjnego⁴.

Polityk i minister

Zanim w Czechosłowacji doszło do pierwszych wolnych wyborów parlamentarnych, funkcjonował tam mechanizm umożliwiający częściową wymianę Zgromadzenia Federalnego – dwuizbowego parlamentu, składającego się z Izby Narodów oraz Izby Ludowej. Mechanizm polegał na odwoływaniu komunistycznych posłów i desygnowaniu w ich miejsce działaczy opozycji. W styczniu 1990 r. Langoš, jako przedstawiciel VPN, został dokooptowany do Zgromadzenia Federalnego. Ponowny mandat zdobył już w czasie wolnych wyborów w czerwcu 1990 r., także reprezentując VPN. W wyniku tych wyborów powstał rząd federalny, którego premierem został były działacz komunistyczny, Słowak Marián Čalfa. Stanowisko federalnego ministra spraw wewnętrznych powierzono Langošowi – ze względu na autorytet, jakim się cieszył w różnych środowiskach, powszechnie znaną prawość oraz zdolności organizacyjne. Tak więc w latach 1990–1992 stał na czele resortu, który przez ponad czterdzieści lat miał decydujący wpływ na życie Czechów i Słowaków. W strukturach ministerstwa, poza pionem milicyjnym, znajdowała się także służba bezpieczeństwa. Langoš w krótkim czasie doprowadził do rozwiązania komunistycznej bezpieki (Státní bezpečnost – StB) i zaproponował nową koncepcję funkcjonowania służb specjalnych. Był zwolennikiem lustracji, ale nie żywiłowej, prowadzonej metodą przecieków przez media i różnych polityków, lecz uregulowanej prawnie⁵. Zdawał sobie przy tym sprawę, że kwestia lustracji generuje dodatkowe konflikty między czeskimi i słowackimi elitami politycznymi. Słowacką scenę polityczną zdominował już wówczas Ruch na rzecz Demokratycznej Słowacji (HZDS), którego lider, Vladimír Mečiar, był zdecydowanym przeciwnikiem lustracji, także ze względu na własne problemy z rozliczeniem przeszłości. Dzięki wsparciu Alexandra Dubczeka w styczniu 1990 r. Mečiar został ministrem spraw wewnętrznych Słowacji i sprawował nadzór nad słowackimi archiwami, a pięć miesięcy później objął urząd premiera Słowacji. W tej sytuacji

⁴ Biogram Langoša na stronie słowackiego Instytutu Pamięci Narodu: www.upn.gov.sk/sk/jan-langos/ [dostęp: 23 X 2017 r.].

⁵ P. Žáček, *Boje o minulosť*, Praha 2000, s. 46.



Poseł Ján Langoš w słowackim parlamencie protestuje przeciw nowej ustawie o prasie, 1998 r.
Fot. PAP/CTK

Langoš musiał działać roztropnie. Mimo oporu wielu polityków udało mu się doprowadzić do przyjęcia przez Zgromadzenie Federalne ustawy lustracyjnej⁶.

Kontynuował przebudowę czechosłowackich służb specjalnych, powołując Federalną Służbę Bezpieczeństwa i Informacji (Federální bezpečnostní informační služba – FBIS). Kompetencje, struktury i zakres działania FBIS zostały uregulowane ustawą federalną z 29 maja 1991 r.⁷ Kontrwywiad został – w wyniku tej reorganizacji – wyłączony ze struktur Federalnego Ministerstwa Spraw Wewnętrznych i stał się samodzielnym podmiotem prawnym.

Gest wobec Polski

W październiku 1990 r. w Bonn została podpisana umowa o wycofaniu Zachodniej Grupy Wojsk Sowieckich z terytorium Niemiec. Wcześniej sowieci wycofali się z Czechosłowacji i Węgier. Tymczasem próby rozmów podejmowane w analogicznej sprawie przez rząd premiera Tadeusza Mazowieckiego były nieskuteczne. Nic nie wskazywało na to, że Moskwa zamierza wycofać z Polski jednostki Północnej Grupy Wojsk Sowieckich. Było to 70 tys. żołnierzy, rozmieszczonych w blisko siedemdziesięciu garnizonach w piętnastu województwach. Z tym problemem musiał się zmierzyć rząd Jana Krzysztofa Bieleckiego, sformowany na początku 1991 r. Tymczasem

⁶ A. Grajewski, *Transformacja służb specjalnych Czechosłowacji w latach 1990–1992. Wybrane zagadnienia*, „Przegląd Bezpieczeństwa Wewnętrznego” 2010, wyd. specjalne, s. 93–105.

⁷ Ustawa č. 244/1991 Sb.

– bez żadnych uzgodnień – strona sowiecka rozpoczęła w styczniu 1991 r. transport swych wojsk z Niemiec przez Polskę, co spotkało się ze stanowczą reakcją Warszawy. Konwój został zawrócony, ale niewielka jego część, która przekroczyła Wisłę, dotarła na wschód. W tej sytuacji wszystkie rozmowy o likwidacji sowieckich garnizonów w Polsce zostały zawieszono. Oczywiście nie było mowy także o żadnym tranzycie jednostek sowieckich z Niemiec. Sytuacja niepokoiła kanclerza Helmuta Kohla, który chciał, aby Moskwa jak najszybciej wycofała swoje jednostki z jego kraju. W Bonn wiedziano, że słabnie pozycja sowieckiego przywódcy Michaiła Gorbaczowa, a nikt nie dawał gwarancji, że po jego upadku następcy zechcą dotrzymać umów. Ponieważ Polska stawiała Moskwie warunki, a transport drogą morską do Kaliningradu był kosztowny (zresztą obwód kaliningradzki nie był przygotowany na przyjęcie tak wielkiej masy wojska i uzbrojenia), powstał pomysł, aby tranzyt jednostek sowieckich z Niemiec odbywał się przez Czechosłowację. Oficjalnie Bonn zaproponowało Pradze ogromną kwotę 8 mld marek. Miało to być wynagrodzenie dla kolei czeskosłowackich za przygotowanie i realizację tranzytu. O propozycji poinformował w głównym wydaniu telewizyjnych wiadomości federalny minister obrony Luboš Dobrovský.

Wówczas chargé d'affaires polskiej ambasady Mirosław Jasiński, współtwórca Solidarności Polsko-Czechosłowackiej, znakomicie znający czołowych czeskich polityków, zaproponował prywatne spotkanie z Langošem i jego zastępczynią, Petruską Šustrovą⁸. Oboje byli byłymi dysydentami i stali wówczas na czele Federalnego Ministerstwa Spraw Wewnętrznych. Podczas prywatnej rozmowy w restauracji „Deminka” Jasiński przedstawił rozmówcom negatywne dla Polski konsekwencje ewentualnej zgody na transport wojsk sowieckich przez terytorium Czechosłowacji. Minister Langoš obiecał działać. Natychmiast wystąpił do prezydenta Václava Havla, który o sprawie był uprzedzony, z wnioskiem o zwołanie w trybie pilnym Rady Bezpieczeństwa Narodowego. Do jej posiedzenia doszło na początku lutego 1991 r. Wzięli w nim udział prezydent Havel, premier Čalfa, minister spraw zagranicznych Jiří Dienstbier, minister finansów Václav Klaus, minister obrony Dobrovský, minister spraw wewnętrznych Langoš i jego zastępca Jan Ruml, referujący propozycję swojego zwierzchnika⁹. W efekcie strona czechosłowacka

⁸ Rozmowa z Mirosławem Jasińskim, Czeski Cieszyń, 7 X 2017 r., oraz list do autora z 11 X 2017 r.

⁹ O tych wydarzeniach opowiada m.in. dokumentalny film Mirosława Jasińskiego *Europa Środkowa idzie na wolność* (2012).

wacka nie przyjęła niemieckiej propozycji, co więcej, zamknęła granicę z Niemcami dla jakichkolwiek sowieckich pojazdów wojskowych.

– Specyficzny był kontekst ideowo-personalny tamtego czasu – wspominał owe rozmowy Jasiński. Wszystko toczyło się w niemal półkonspiracyjnej atmosferze. Na przykład o spotkaniach w Pradze w polskim MSZ informowany na bieżąco był jedynie wicedyrektor Departamentu Europy Grzegorz Kostrzewa-Zorbas. W ocenie Jasińskiego, decyzja władz Czechosłowacji, podjęta z inicjatywy Langoša, była najważniejszym przejawem solidarności krajów Europy Środkowej po 1989 r., a ze strony tego polityka – dowodem dużej odwagi i przenikliwości.

Decyzja nie spotkała się z przychylnym odzewem wszystkich ówczesnych polityków i opinii publicznej. „Langoš kvůli Polákům okradl Československo o 8 miliard marek” (Langoš z powodu Polaków okradł Czechosłowację na 8 mld marek) – tak komentowali tę decyzję niektórzy politycy w parlamencie – wspomina Jaromír Piskoř, wcześniej działacz Solidarności Polsko-Czechosłowackiej z Ostrawy, a później poseł do Zgromadzenia Federalnego¹⁰. „Nie ulegało jednak dla nas wątpliwości, że decyzja o odrzuceniu niemieckiej propozycji była słuszna i umożliwiła Polakom skuteczne negocjacje z Moskwą o wycofaniu wojsk sowieckich. A to było także w interesie Czechosłowacji” – dodaje.

Ostatnie dzieło

Langoš miał świadomość, że warunkiem niezbędnym dla budowy demokracji jest rozliczenie się z totalitarną przeszłością. Przede wszystkim w wymiarze instytucjonalnym: przez prawne zadośćuczynienie ofiarom zbrodni i prześladowań i osądzenie sprawców tych zbrodni, jak też przez udostępnienie pokrzywdzonym dokumentacji zbieranej w przeszłości na ich temat; wreszcie przez stworzenie norm uniemożliwiających funkcjonariuszom byłych komunistycznych służb specjalnych i ich współpracownikom wpływanie na życie publiczne (lustracja). Ale chodziło także o rozliczenie się z przeszłością w wymiarze naukowo-edukacyjnym¹¹. Dlatego wspierał powołanie w ramach MSW Urzędu ds. Dokumentacji i Ścigania Działań StB, który później pozwolił jego następcy na stworzenie Urzędu Dokumentacji i Ścigania Zbrodni Komunizmu (Úřad dokumentace a vyšetřování zločinů komunismu, UDV).

¹⁰ Rozmowa z Jaromírem Piskořem, Czeski Cieszyn, 7 X 2017 r., oraz list do autora z 8 X 2017 r.

¹¹ Rozmowa z Petrušką Šustrovą, Czeski Cieszyn, 7 X 2017 r.

Na Słowacji możliwość powołania podobnej instytucji pojawiła się dopiero po odsunięciu od władzy premiera Mečiara, co nastąpiło po wyborach 1998 r. Jednak nawet w korzystnej sytuacji politycznej projekt wywołał szeroki opór sporej części słowackiej elity politycznej¹². W końcu projekt ustawy, przygotowany przez Langoša¹³, został przegłosowany w parlamencie 19 sierpnia 2002 r. Regulowała ona kwestię udostępnienia dokumentów służb bezpieczeństwa z okresu 1939–1989, a także przesądzała utworzenie specjalnej instytucji o nazwie wyraźnie nawiązującej do polskiego IPN – Instytutu Pamięci Narodu (Ústav pamäti národa, UPN). Instytut przejął 1783 metry akt, pochodzących z zasobów MSW, Ministerstwa Sprawiedliwości, Ministerstwa Obrony Narodowej i Słowackiej Służby Informacyjnej, czyli cywilnego wywiadu i kontrwywiadu, powstałego w 1992 r. po rozpadzie federalnego państwa¹⁴. W 2003 r. Langoš został pierwszym prezesem Instytutu, a później przewodniczącym jego Rady. Zginął w wypadku samochodowym 15 czerwca 2006 r. Jego śmierć wywołała lawinę spekulacji politycznych, ale dochodzenie prokuratorskie wykazało, że do wypadku doszło na skutek nadmiernej szybkości, z jaką jechał kierujący autem Langoš¹⁵.

Stale interesował się sprawami polskimi i miał w naszym kraju grono przyjaciół. Tworząc słowacki Instytut, korzystał z doświadczenia Instytutu Pamięci Narodowej i był zwolennikiem bliskiej współpracy obu instytucji. Był jednym z tych dysydentów, którzy po 1989 r. nie zapomnieli o wartościach, jakie przyświecały im w latach walki z komunistyczną dyktaturą. ■

¹² Zákon z 19. augusta 2002 o sprístupnení dokumentov o činnosti bezpečnostných zložiek štátu 1939–1989 a o založení Ústavu pamäti národa a o doplnení niektorých zákonov (zákon o pamäti národa), č. 553/2002, Zbierka zákonov SR (Kodeks Praw Republiki Słowackiej) www.epi.sk [dostęp: 23 X 2017 r.].

¹³ Rolę Langoša w tworzeniu UPN wspominają osoby, które w tym procesie uczestniczyły, https://www.youtube.com/watch?time_continue=2612&v=vvTpDSuvyzo [dostęp: 23 X 2017 r.].

¹⁴ *Kmeňové archívne fondy Archívu ÚPN a ich preberanie*, <http://www.upn.gov.sk/sk/kmenove-archivne-fondy-archivu-upn-a-ich-preberanie/> [dostęp: 23 X 2017 r.].

¹⁵ *Prokuratúra: Nehodu spôsobil Langoš*, <https://domov.sme.sk/c/4361061/prokuratúra-nehodu-sposobil-langos.html> [dostęp: 23 X 2017 r.].



Andrzej Grajewski (ur. 1953) – historyk, dr, zastępca redaktora naczelnego tygodnika „Gość Niedzielny”. W latach 1999–2006 członek Kolegium IPN. Autor m.in.: *Tarcza i miecz. Rosyjskie służby specjalne 1991–1998* (1998); *Kompleks Judasza. Kościół zraniony. Chrzęścianie w Europie Środkowo-Wschodniej między oporem a kolaboracją* (1999); (z Michałem Skwarą) „*Agca nie był sam*”. *Wokół udziału komunistycznych służb specjalnych w zamachu na Jana Pawła II* (2015) i in.



Gmach Domu Historii Europejskiej w Brukseli.
Fot. Peter Rendek/Platforma Europejskiej Pamięci i Sumienia

Cecylia Kuta
Maciej Zakrzewski

Bez fundamentów

Wizyta w Domu Historii Europejskiej w Brukseli

**Muzeum, które miało opowiedzieć o wspólnym dziedzictwie Europejczyków,
razi nachalną ideologią i marginalnym potraktowaniem doświadczeń takich krajów
jak Polska**

W sierpniu 2017 r., w ramach wizyty studyjnej zorganizowanej przez zarząd Platformy Europejskiej Pamięci i Sumienia (PEMC), zwiedziliśmy ekspozycję Domu Historii Europejskiej w Brukseli.

Powstałe z inicjatywy Parlamentu Europejskiego muzeum zostało otwarte 6 maja 2017 r. w budynku dawnej kliniki stomatologicznej im. George'a Eastmana w parku Leopolda. Pomysłodawcą muzeum jest Hans-Gert Pöttering, były przewodniczący Parlamentu Europejskiego. W założeniu twórców placówka ma przedstawiać dzieje najnowsze Europy, z uwzględnieniem ważnych dla kontynentu wydarzeń z epok wcześniejszych, a także historię integracji europejskiej. Rezultatem naszej wizyty będzie przygotowanie przez grupę autorów z różnych państw recenzji na potrzeby wspólnej publikacji.

Zaproszenie zostało skierowane do członków Platformy Europejskiej Pamięci i Sumienia, w szczególności historyków. Zrzesza ona 55 organizacji rządowych oraz pozarządowych z Unii Europejskiej i całego świata. Celem Platformy jest współpraca na rzecz rozpowszechniania wiedzy dotyczącej systemów totalitarnych i upamiętnianie ofiar zbrodni systemu komunistycznego. Instytut Pamięci Narodowej jest jednym z członków-założycieli PEMC.

Przemilczenia i przeinaczenia

Wystawa główna zajmuje pięć pięter i jest podzielona na sześć części prezentujących poszczególne etapy przeszłości Starego Kontynentu. Całość otwiera część zatytułowana „Kształtowanie Europy”, selektywnie pokazująca elementy składające się na szerokie pojęcie europejskiej tożsamości. Zostały tutaj zestawione pewne hasła i symbole, takie jak chrześcijaństwo, oświecenie, demokracja i filozofia. Zwiedzający zostaje skonfrontowany z pytaniami o to, które elementy dziedzictwa należy odrzucić, a które zachować. Nie jest jednak zachęcany do dalszego samodzielnego poszukiwania odpowiedzi, lecz są mu one podsuwane w dalszych częściach wystawy: „Globalna władza”, „Zrujnowana Europa”, „Odbudowany i podzielony kontynent”, „Rozczarowania” oraz „Uznanie i krytyka”, prezentujących problemy związane z kształtowaniem się współczesnej Europy.

Od strony technicznej wystawa główna robi duże wrażenie rozmachem oraz wielością interesujących pomysłów ekspozycyjnych. Znakomita gra światłem i dźwiękiem, duża staranność w doborze ciekawych i rzadkich eksponatów (np. pistolet Gawriły Principa, z którego został zastrzelony w czerwcu 1914 r. arcyksiążę Franciszek Ferdynand) są bardzo silnymi stronami Domu Historii Europejskiej. Brak jest natomiast podpisów pod eksponatami. Wystawę zwiedza się

z tabletem, z którego można odsłuchać komentarz do ekspozycji w jednym z 24 języków Unii Europejskiej. Jednak uwagę zwraca nie tylko forma, lecz i treść.

Autorzy wystawy głównej podjęli się trudnego przedsięwzięcia prezentacji w spójnej i klarownej formie najważniejszych elementów wspólnego doświadczenia kontynentu. Znalezienie wspólnego mianownika, zrównoważona prezentacja różnych tradycji narodowych jako części składowych jednej tożsamości wymagały swoistej delikatności i rozważli w podejściu do tematu. Niestety, postulat wyszukiwania wspólnej platformy doświadczeń Europejczyków został zrealizowany z trudnej do ukrycia perspektywy

Chrześcijaństwo, leżące u podstaw jedności europejskiej, okazało się dla twórców wystawy kłopotliwe. Zostało przedstawione jako religia, która wprawdzie dominowała na kontynencie, ale już powoli ustępuje.

ideologicznej. Wystawa główna – bez większego wysiłku łagodzenia przekazu – opowiada historię europejskiej tożsamości z perspektywy nie wspólnego doświadczenia,

lecz arbitralnie wyznaczonego punktu „końca historii”, rozumianego wedle materializmu dialektycznego. Antyczne, chrześcijańskie czy nawet oświeceniowe fundamenty Europy zostały jedynie zarysowane i przewartościowane przez formy wykute przez europejską lewicę w doświadczeniu „walki klas”.

Korzenie Europy przedstawiono w bardzo zły sposób. Wśród myślicieli docenieni zostali Arystoteles, Karol Marks i Slavoj Žižek. Nie ma natomiast najwybitniejszych filozofów, takich jak Platon, św. Augustyn, św. Tomasz z Akwinu, Erazm z Rotterdamu, Baruch Spinoza, Blaise Pascal, Gottfried Wilhelm Leibniz, Thomas Hobbes, Jean-Jackues Rousseau, Wolter, Immanuel Kant czy Georg Wilhelm Friedrich Hegel.

Chrześcijaństwo, leżące u podstaw jedności europejskiej, okazało się dla twórców wystawy kłopotliwe. Zostało przedstawione jako religia, która wprawdzie dominowała na kontynencie, ale już powoli ustępuje.

Główna narracja wystawy zaczyna się wraz z XIX stuleciem, scharakteryzowanym przez pryzmat kolonializmu, rewolucji przemysłowej i narodzin ruchu robotniczego. Wszystko, co było wcześniej, zostało potraktowane metaforycznie, tak jakby ojcami dzisiejszej Europy nie byli Karol Wielki, św. Bernard z Clairvaux czy Karol V, lecz Karol Marks i Ferdinand Lassalle.



Karol Marks jako nowy Mojżesz.

Fot. Peter Rendek/Platforma Europejskiej Pamięci i Sumienia

Proces kształtowania się nowych państw w Europie Środkowej po I wojnie światowej jest błędnie interpretowany, bez historycznych odniesień oraz uwzględnienia specyfiki i historii tych krajów.

Została podana informacja o pakcie Ribbentrop–Mołotow, ale bez wyjaśnienia, jakie były jego konsekwencje. Pokazano dwa wycinki z gazet (artykuł w języku francuskim z komunistycznej „L’Humanité” oraz tekst z moskiewskiej „Prawdy”), usprawiedliwiające ten układ jako „słuszny ruch w kierunku obrony pokoju”, oraz dwa wycinki z prasy polskiej, potępiające agresję wynikającą z paktu. Zatem w tym przypadku argumenty krytyczne wobec paktu pozna jedynie ten zwiedzający, który zna język polski, gdyż takich informacji brakuje w narracji z tabletu.

W części poświęconej II wojnie światowej nie ma również wzmianki o ruchu oporu w Polsce, o polskim Państwie Podziemnym, największej podziemnej armii, jaką była Armia Krajowa, o Powstaniu Warszawskim itp. Nie wspomniano np. o rzezi Woli, która była największą pojedynczą masakrą cywilów w Europie lat 1939–1945 i największą zbrodnią popełnioną na narodzie polskim. Nie ma także żadnych informacji o Polakach ratujących Żydów. Cykl fotografii mających ilustrować zbrodnie i cierpienia ludności cywilnej w czasie II wojny światowej



Ideolodzy komunizmu Karol Marks, Fryderyk Engels i anarchista Michaił Bakunin.

Fot. Peter Rendek/Platforma Europejskiej Pamięci i Sumienia

został dobrany w sposób niewłaściwy, nieproporcjonalnie do skali rzeczywistych doświadczeń. Otwiera go zdjęcie wymizerowanej rodziny niemieckich wypędzonych z 1945 r. Dalej widzimy fotografie zabitych partyzantów na Białorusi, zagłodzonych na śmierć jeńców z Armii Czerwonej, a na samym końcu – zdjęcie młodej, uśmiechniętej, elegancko ubranej Polki, która wychodzi z obozu dla przesiedleńców. Nie wyjaśniono, że wysiedlenia zapoczątkował Adolf Hitler.

Oddzielną część na trzecim piętrze budynku poświęcono wyjaśnieniu problematyki pamięci o Holocauście, chociaż samej zbrodni poświęcono znacznie mniej miejsca. Po jednej stronie przedstawiono pamięć niemiecką i austriacką, uznając ją za wzorcową. Naprzeciwko pokazano tych, którzy rzekomo mają kłopoty z pamięcią, czyli Polaków, a także Francuzów i Ukraińców. Innych narodów nie uwzględniono. W jednej z gablot umieszczono egzemplarz książki Jana Tomasza Grossa o Jedwabnem *Sąsiedzi*, a nad gablotą słowa prezydenta Aleksandra Kwaśniewskiego z przeprosinami w imieniu narodu. Z narracji w tablicie zwiedzający usłyszy, że po II wojnie światowej Polacy całkowicie wyeliminowali Holocaust z pamięci, ponieważ rządzący narzucili im jedynie pamięć o partyzantce komunistycznej.

» **W części poświęconej II wojnie światowej nie ma wzmianki o ruchu oporu w Polsce ani o Polakach ratujących Żydów. Jest za to zdjęcie wymizerowanej rodziny niemieckich wypędzonych z 1945 r.** »

Dość radykalna ocena dawnej tradycji europejskiej – charakteryzowanej w dużej mierze przez pryzmat takich zjawisk, jak kolonializm czy handel niewolnikami – kontrastuje z bardzo łagodną oceną bloku komunistycznego po II wojnie światowej. W narracji wystawy pada kluczowe zdanie, że po 1945 r. na zachodzie i wschodzie Europy były realizowane odmienne modele socjalizmu: demokratyczny i niedemokratyczny. W przedstawieniu zimnej wojny bardziej skoncentrowano się na wychwytywaniu podobieństw niż podkreślaniu przeciwieństw po obu stronach żelaznej kurtyny. Najbardziej rzucającym się w oczy brakiem jest pominięcie przez autorów kluczowych przejawów buntu społecznego przeciwko reżimowi komunistycznemu. Powstanie budyapesteńskie 1956 r., interwencja Układu Warszawskiego w Czechosłowacji w 1968 r. czy choćby działania służb bezpieczeństwa względem społeczeństw nie zostały szerzej pokazane. Nigdzie zresztą nie ma najmniejszej nawet wzmianki o komunistycznych tajnych służbach, ich roli i zbrodniach.

Podobnie został zmarginalizowany do minimum kształt szerszego oporu względem dyktatury komunistycznej. Minimalistycznie pokazano Solidarność w Polsce jako jeden z „ruchów społecznych” ówczesnej Europy. Istotnym wydarzeniem w dziejach kontynentu, jakie rozegrały się w 1989 r. w Polsce, Czechosłowacji, na Węgrzech, w Bułgarii i Rumunii, poświęcono zaledwie dwie minuty prezentacji, aż pięć minut zaś – wydarzeniom w Niemczech.

Mieszane uczucia

Wystawa przedstawia dzieje Europy jako wielki proces historyczny, który w toku rozwoju odrzuca pewne formy, jak np. totalitaryzm, i zmierza w kierunku bliżej nieokreślonego projektu emancypacyjnego. Niestety, mimo ambitnych założeń realizacja ważnej inicjatywy, jaką niewątpliwie jest Dom Historii Europejskiej, budzi mieszane uczucia. Niezłe sekcje wystawy, jak np. ta poświęcona I wojnie światowej, zostały zakłócone przez nachalną interpretację ideologiczną. Ekspozycja główna nie tyle odzwierciedla współczesne problemy w zdefiniowaniu tożsamości europejskiej czy dyskusję nad nią, ile prezentuje mocno naiwny schemat, budzący raczej wątpliwości niż będący pozy-

» Antyczne, chrześcijańskie
czy nawet oświeceniowe fundamenty
Europy zostały jedynie zarysowane
i przewartościowane przez formy wykute
przez europejską lewicę w doświadczeniu
»walki klas«.

tywnym wkładem w proces poszukiwania wspólnoty europejskiego doświadczenia. Jednym z głównych celów DHE jest prezentowanie różnych punktów widzenia i wspólnej płaszczyzny w europejskiej historii. Szkoda, że bogactwo i różnorodność doświadczenia oglądamy przez mało inspirujący „peryskop” ideologii. Sporo jest też błędów metodologicznych i interpretacyjnych. Przykładowo Feliks Dzierżyński, który nie uważał się za Polaka, został pokazany jako Polak, a Maria Skłodowska-Curie, która była i czuła się Polką, została przedstawiona jako Maria Curie. Pominięto wiele ważnych dzieł i osobistości europejskiej kultury i literatury. Nie ma znanych i zasłużonych dla kultury postaci, takich jak William Szekspir, Johann Wolfgang Goethe, Fryderyk Chopin itp. Ekspozycja nie wspomina też o tym, że Polska, pokonując bolszewików w 1920 r., ocaliła Europę przed zalewem komunizmu. Nie ma również żadnej wzmianki o roli papieża Jana Pawła II w procesie integracji europejskiej.

Dyskusyjność wielu elementów wystawy staje się widoczna dla instytucji nadzorujących projekt. W uruchomionej niedawno internetowej wersji ekspozycji pominięto – jak łatwo zauważyć – najbardziej kontrowersyjne i rażące elementy. Pytanie, czy jest to początek konstruktywnych zmian w Domu Historii Europejskiej, wciąż pozostaje otwarte. ■



Cecylia Kuta (ur. 1974) – historyk, dr, pracownik Oddziałowego Biura Badań Historycznych IPN w Krakowie, członek redakcji czasopism: „Zeszyty Historyczne WiN-u” i „Pamięć i Sprawiedliwość”. Autorka książek: „Działacze” i „Pismaki”. Aparat bezpieczeństwa wobec organizacji katolików świeckich w Krakowie w latach 1957–1989 (2009); (z J. Błażejowską), *Od uległości do niezależności. Literaci i literatura w latach 1944–1989/1990* (2013) i in.



Maciej Zakrzewski (ur. 1980) – politolog, dr, pracownik Oddziałowego Biura Badań Historycznych IPN w Krakowie oraz Instytutu Historii Uniwersytetu Papieskiego Jana Pawła II. Autor m.in. książki *W obronie konstytucji. Myśl polityczna Henry'ego Saint Johna wicehrabiego Bolingbroke'a* (2012).

Zamów Biuletyn IPN bezpośrednio do domu!



Koszt rocznej prenumeraty wynosi: 80 zł – 20 zł = 60 zł.

Otrzymają Państwo 10 kolejnych numerów, w tym dwa podwójne.

Do każdego numeru dodajemy płytę DVD z filmem lub muzyką.

Zamówienie prenumeraty można złożyć:

- za pomocą blankietu płatniczego zamieszczonego na poprzedniej stronie,
- pocztą elektroniczną prenumerata@ipn.gov.pl
- lub na adres pocztowy:

Instytut Pamięci Narodowej – Księgarnia IPN

ul. Wołoska 7, 02-675 Warszawa

Wszelkie informacje pod numerami: (22) 581-86-78, (22) 581-86-79

**W PRENUMERACIE TANIEJ
I BEZ DOLICZANIA
KOSZTÓW PRZESYŁKI**

Książka zawiera płytę z audiobookiem

Józef Mierzejewski

SPITFAJERZE

BRANKA

CO W LOTNICZEJ SFERZE ZAMEŁ SPOMODOWAŁ

(sam w to świecie wterze,
to wszak dw Spulfajer
na chmurach lodował!)



...i jeszcze inne bajki...



Wszystkie prawa zastrzeżone. Nagranie podlega prawnej ochronie. Płyta z licencją producenta do niekomercyjnego odzwierciedlenia w celach edukacyjnych oraz do użytku domowego. Kopiowanie, wyżyczanie, przetwarzanie, rozpowszechnianie, publiczne odczytywanie, nagrywanie, RTV lub publiczne odzwierciedlenie całości lub części utworu jest zabronione.

Józef Mierzejewski

SPITFAJERZE

BRANKA

czytają
Cezary Żak
Maks Dondziło





Górnicy niosą rannego kolegę przed bramą kopalni „Wujek”, Katowice, 16 grudnia 1981 r. Fot. PAP/Marek Janicki

W następnych numerach:

**Obozy koncentracyjne w austriackich
i niemieckich podręcznikach**

Syrenka z Mauthausen

Sylwetki: Jerzy Łojek, Jan Sehn

Akcja „Wisła” – polemika

Nie tylko „Łączka”

Odnajdywanie polskich Bohaterów

Polskie rodziny – Rutkowsy z Kołomyi

Inwazja Układu Warszawskiego na Czechosłowację

